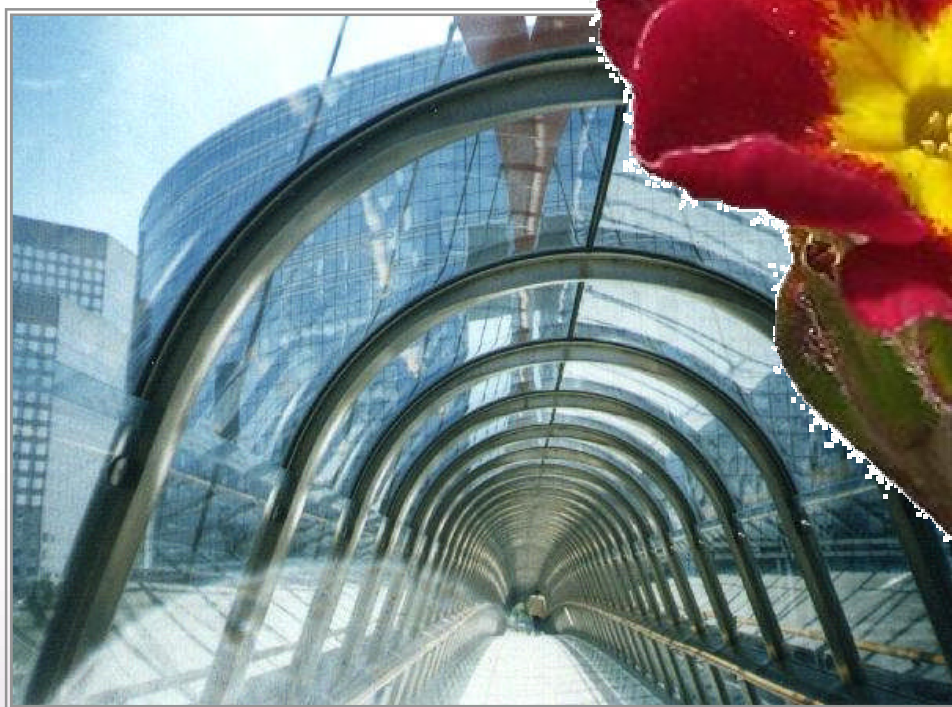


# Tomasz Marcin DUDZIŃSKI



*Opowieści ze Świata Czarowników:  
sezon na Pierwiosnka*

Tomasz Marcin Dudziński  
„Opowieści ze Świata Czarowników: sezon na Pierwiosnka”

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński

All rights reserved

Redaktor:  
Piotr Chruśliński

Korekta:  
Małgorzata Bartosik

Copyright © by Serwis Literacki  
[www.knowacz.pl](http://www.knowacz.pl)

Wydanie I  
ISBN 978-83-925506-8-6

**Świdnik**  
**2007**

Projekt okładki:  
Tomasz Marcin Dudziński

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński

All rights reserved



ISBN 978-83-925506-8-6



*"Mówi się, że prawdziwa sztuka  
obroni się sama...*

*...ale nie przede mną!"*

*Władysław Sikora*

Tomasz Marcin DUDZIŃSKI

*Opowieści ze Świata Czarowników:  
sezon na Pierwiosnka*

# SEZON NA PIERWIOSNKA

## Rozdział I: Sąd Ostateczny

*O tym jak umarłem, lecz także o tym, że duchy wyższego  
rzędu też się myślą. Tylko, kto ponosi tego konsekwencje?*

Upłynęło już mnóstwo wody w Vistula River od czasu, kiedy to wtrąciłem się do walki dobra ze złem. Uczyniłem to z trzech powodów: po pierwsze, to duchy walczyły ze sobą o moją (podobno) nieśmiertelną duszę. Po drugie, ponieważ przekroczyłem już mroczną i ledwie zauważalną granicę pomiędzy życiem i śmiercią, a na dodatek sam się z tej drogi zawróciłem, nieświadomie zostawiając otwarte drzwi. Stanowiłem przez to anomalię parazmysłową, która mogła koegzystować w obu światach – w naszym przyziemnym i w tym rzekomo lepszym, duchowym. I to właśnie stanowiło zagrożenie dla obu światów, bo przy mnie mogły przenikać do świata ziemskiego różne duchy, a moje nowe umiejętności, które pojawiły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zadziwiałały nawet mnie. Wtedy to właśnie świat duchów przypuścił na mnie atak, który miał na celu wymazanie mojej pamięci, o co najmniej pół roku wstecz i umiejscowienie mnie w czasie tuż przed otwarciem drzwi. Trzeci powód był nader prozaiczny. Moje lokum, cały dorobek biednego, studenckiego żywota legł w gruzach w wyniku starcia dwóch opcji duchowych. Mój Diabeł Stróż był zły z natury i raczej mu było wszystko jedno, co mi wysadzi w powietrze, lecz jego alter ego, Anioł Stróż, zachowywał się jeszcze gorzej, niż jego zły brat bliźniak. Dla niego nie liczyła się osoba, tylko zadanie do wykonania. Miał mnie zbawić za wszelką cenę. Do tego wmieszał się Szary Duch Czasu i katastrofa była niemalże nieunikniona. Duchy jednak nie przewidziały jednego: zadarły z niewłaściwym bytem, a efekt konfrontacji z istotą, która nie ma zbyt wiele czasu na improwizację w sytuacji krytycznej, mógł być tylko jeden. I był. Nieprzewidywalny.

Za pomocą skradzionej księgi zaklęć zakląłem wszystkie trzy duchy w małą, szarą książeczkę, która okazała się być zbiorkiem opowieści z nieodległej przyszłości, a moje pierwiastki duchowe, ten zły, dobry i reprezentujący upływający czas, znalazły swoje odzwierciedlenie w głównych bohaterach opowiadań.

Dzięki temu wiedziałem już, że w niedalekiej przyszłości nastąpi krach gospodarczy, powstanie supernowoczesny wieżowiec Spółdzielni Usługowej, w którym na trzynastym piętrze znajdzie swoją siedzibę Agencja Czarownicza „Tysiąc Jeden Życzeń” świadcząca usługi dla ludności w zakresie czynienia cudów. W naszych czasach brzmi to odrobinę przerażająco, ale w końcu możliwości rozwoju technologicznego osiągną kiedyś swój kres, a wtedy uczeni i szarlatani zaczną poszukiwać ścieżek alternatywnych. A ja już wiem, że najbardziej obiecującą ścieżką są czary, lecz niestety, wiedza moja nie przyda mi się na nic: nastąpi to dopiero za około trzysta lat, a poza tym na giełdzie

jeszcze długo nie będzie firm, które będą się przyczyniały do rozwoju pięknej gałęzi nauki, jaką jest niewątpliwie magia. Długo się zastanawiałem, dlaczego moje tak odległe od przyszłości losy splotły się nagle z losami czarowników, ale odpowiedź miała dopiero nadejść. Tymczasem w świecie równoległym, oddalonym o około trzysta lat od mojego, Agencja Czarownicza prowadzona przez trzech wykwalifikowanych magów ukrywających się za numerkami zamiast imion, rozkwitała i miała się coraz lepiej. Aż pewnego dnia kwota zlecenia przerosła ich najśmielsze oczekiwania. Jak bardzo? Każdy chyba marzy o tym, by kupić sobie za swoje ciężko wyczarowane pieniądze choćby malutką, zieloniutką wysepkę... oni kupili. Całe Seszele. Zapłata za najtrudniejszy z możliwych czarów, zlecony przez Charlotte hrabinę Le Blanc, była astronomiczna i wystarczyła na pokrycie tego jakże niezbędnego do życia wydatku. Od tej chwili czarownicy mieli już tylko jedno zmartwienie, – co zrobić ze świetnie prosperującą firmą? Podobne zmartwienie miałem i ja, co zrobić z moimi niesamowitymi zdolnościami? No właśnie – może zacznę od tego.

Zacząłem się parać magią. Tak dla hecy, niby nic poważnego, ale nagle okazało się, że w ultrakatolickim kraju, gdzie sypia się z Biblią pod poduszką, pija herbatę z wody święconej i lata z moherową pieluchą już od dnia narodzin, zapotrzebowanie na magię jest ogromne. Na początku była zgrywa, ale wdzięczność oczarowanych okazywała się dosyć wymierna, więc w krótkim czasie byłem jedynym chyba w kraju studentem uczelni technicznej, który po godzinach dorabiał jako czarownica. A raczej czarownik. Proste czary, poświęcanie przedmiotów, pentakle zabezpieczające, różańce wzmacniające, małe kłatwy, tarot i porady sercowe. Czy to ostatnie kogoś dziwi, zważywszy na fakt, że byłem w stanie czytać w cudzych uczuciach?

Aż pewnego pięknego dnia dostałem nietypowe zlecenie. Ktoś po starej znajomości prosił mnie o namierzenie jednego takiego stworzenia. Owszem, wyzwanie ciekawe, szczególnie dla istot obdarzonych wrażliwością pozazmysłową, a właśnie do takich ja należę. Jak można kogoś wyczuć pozazmysłowo? Och, to proste jak teoria względności. Wystarczy kogoś sobie wyobrazić, przywołać jego obraz do pamięci i postarać się wczuć w tą istotę paluszek po paluszku, komórka po komórce, atom po atomie... Brzmi dość abstrakcyjnie, prawda? Bywa, że trwa to kilka minut, w zależności od możliwości danego osobnika i od praktyki, także od wyobraźni, lecz mi zajmuje to czasami tylko pół minuty. Jest jeszcze inna, to już chyba trzecia strona medalu. Wszystko zależy też od podatności obiektu, jego ekranowania, odporności na zewnętrzną ingerencję czy nawet samej świadomości zaistnienia takowej. I od zabezpieczeń, a te wyrabiałem w najbliższej okolicy tylko ja. Na całe szczęście na tego typu blokadę spowodowaną ekranowaniem napotkałem tylko raz w życiu, i jak się dowiedziałem ktoś ją założył zupełnie instynktownie i nieświadomie. Niechcący zyskałem dowód na to, że jednak coś w nas,

ludziach, drzemie. Tym razem jednak miałem pewność, że mój obiekt nie będzie ekranowany w sposób tradycyjny. Nie miałem pewności, czy sama matka natura nie wyposażyla go w jakoweś inne, naturalne zabezpieczenie, ale nie podejmując próby nigdy bym się o tym nie przekonał. Zadanie było tym ciekawsze, że dotychczas moimi obiektami były z reguły panienki, z którymi się czasami umawiałem – ktoś powie, że zimny drań ze mnie, albo kompletny idiota, że zawierałem tylko i wyłącznie odczytywaniu kolorów uczuć u danej osoby, ale ta metoda wielokrotnie się sprawdzała i czasami wywoływała kompletny opad szczęki u płci pięknej, kiedy jej przedstawicielka odkrywała nagle, że „czytam jej w myślach” (cytat). To nie całkiem tak. Telepatia jest mi absolutnie obca ideowo i ze swojej strony mogę tylko dodać, że wiedziałbym jak ten dar wykorzystać. A tak mogę tylko zabawiać się w psychologa. Freud byłby ze mnie dumny, aczkolwiek patrząc na swoje doświadczenia z płcią piękną raczej bliższe mi są eksperymenty Pawłowa. Wracając do meritum mojego i tak już przydługiego wywodu, pragnę tylko powtórzyć, że telepatia to raczej nie jest. U mnie odbywa się to absolutnie inaczej – najpierw „wchodzę” w daną osobę (fajnie to brzmi!), coś na kształt ubierania kombinezonu z drugiego człowieka. Staram się wyczuć jego podstawowe funkcje życiowe, rytm wewnętrzny, dostroić się do jego fal alfa i wtedy zaczyna się ostra jazda. Moje serce zaczyna bić inaczej, a wewnątrz mnie mieszają się różne uczucia. Teraz wystarczy podesłać za pośrednictwem mojej wyobraźni cudzemu umysłowi jakikolwiek obraz (np. torcik orzechowy z bitą śmietaną) i odszukać kolor uczucia dominującego w drugim człowieku, a będę wiedział, czy ten ktoś ma ochotę na wspomniany torcik. Dlaczego kolor uczuć? A jak to inaczej określić? Spytajcie poetów, artystów, ludzi wrażliwych, a każdy wam odpowie, że żadnego uczucia nie można nazwać, gdyż jakikolwiek język ludzki jest na to zbyt ubogi i nie odda charakteru danego uczucia w sposób właściwy. Dlatego za radą zawartą w wierszu jednego z romantycznych poetów postanowiłem do uczuć dobrać barwy i dopiero potem próbować to jakkolwiek nazywać. Proste i praktyczne. Proste w przypadku ludzi. Ale psa?

Zostałem poproszony o namierzenie zagubionego pieska. Niby proste, ale co z tym fantem zrobić? Mogłem, co prawda, chodzić po całej okolicy z kielbaską na wabia, ale po kilku godzinach okoliczni mieszkańcy z pewnością wezwaliby policję. Nikogo chyba nie dziwi, że przez dłuższą chwilę myślałem o odłożeniu wszystkiego między bajki i gdybym tak zrobił, to obecne opowiadanko skończyłoby się właśnie w tym miejscu, natomiast wydawca nie dałby mi złamanego grosza. Postanowiłem jednak spróbować stawić czoła wyzwaniu i to wcale nie z chciwości, lecz z czysto naukowej ciekawości. Mówi się, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale, po co się męczyć schodami i pojedynczymi stopniami, skoro odkryłem windę? Na początku postanowiłem sprawdzić, co i czy jeszcze potrafię. Najważniejsze na początek, to wybrać w miarę łatwy, przyjemny i nieszkodliwy cel. Właśnie wracałem z roboty do



domciu, gdy odkryłem, że jedna całkiem atrakcyjna małolata gapi się na mnie w autobusie. To było dla mnie niemalże jak zaproszenie. Wejście w jej system nie zajęło mi nawet dziesięciu sekund i było śmiesznie łatwe. Przez moment niemalże patrzyłem na wnętrze zatłoczonego pojazdu jej oczami i postanowiłem się skoncentrować na jednym, jedynym obiekcie. Po chwili spróbowałem także odczytać wszelkie możliwe odczucia na mój temat, a było tego całkiem sporo – była chwilowo zainteresowana moją osobą, mogę zaryzykować nawet odrobinę fascynacji, szkoda, że nie tej seksualnej. Przyznaję szczerze, że nie wiedziałem, że jeszcze potrafię tak bezkarnie buszować po cudzym wnętrzu. I nawet nie wiedziałem, że ze mnie taki Apollo (Trzynaście – przyp. red.). Szkoda też, że panienka wyglądała tylko na szesnaście latek...

Jako drugi obiekt na przeprowadzenie eksperymentu postanowiłem wybrać kogoś o ludzkim wyglądzie, lecz odmiennym stanie umysłu, co miało mnie przybliżyć do doświadczeń z istotami odmiennymi od ludzi. Miałem szczęście oraz nieszczęście zarazem. Już nazajutrz do autobusu wpakowała się objuczona siatkami wariatka wyrzaskująca na cały autobus hasła o swojej nienawiści do rodzaju męskiego, o swoim chorym od dwunastu lat odbycie, o torturowaniu jej przez męża, itp. Pomyślałem, że to świetny poligon doświadczalny, lecz mój pech usadził to rozwrzeszczane babsko tuż obok mnie. Dopiero po kilkunastu minutach udało mi się skupić na mojej próbie, bo wariatka w końcu raczyła się zamknąć po interwencji jednego z pasażerów, któremu i tak było wszystko jedno, czy baba go rozszarpie, czy tylko opluje. Po prostu gość był zalany, lecz na tyle trzeźwy zarazem, aby wrzasnąć „zamknij mordę”. I wtedy uderzyłem z całą mocą daną mi przez siły natury. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe, a w głowie i w duszy poczułem kwintesencję chaosu. Miliardy sprzecznych uczuć mieszały się w potężnym wirze, który przypominał zlew, do którego ktoś wlał wszystkie możliwe farby świata i wyciągnął korek. I wtedy zrozumiałem, dlaczego ta kobieta jest szalona. Szybko uciekłem zostawiając ją nieświadomą ingerencji sam na sam z jej szaleństwem.

Pozostawała do rozwiązania kwestia – czy potrafię wejść w zupełnie inny organizm bez szkody dla własnego? Postanowiłem zaryzykować i przeprowadzić taką próbę, z tą tylko różnicą, że miał to być organizm, który nie może mi zagrozić. Musiał to być organizm ze wszech stron neutralny. Owady, myszki i inne tego typu istoty odpadały. Mogłem sobie oczywiście kupić króliczka doświadczalnego, ale to by było zbyt trywialne. Szedłem właśnie zacienioną aleją, gdy znalazłem rozwiązanie tego palącego problemu. Organizm inny od wszystkich. Nie drapieżny. Nigdy nie jest żądny zemsty. Teoretycznie statyczny w odczuciach. Potężny. Wielokrotnie większy ode mnie... Nie stawiał oporu, gdy stawaliśmy się jednością, tak jakby czekał na taki moment. Poczułem potężny spokój, wszystkie zagrożenia, fobie, lęki – zginęły w jednym, gigantycznym odczuciu własnej wielkości. Wszystkie zmartwienia zostały

gdzieś za mną, bo mnie nie dotyczyły. Wypełniło mnie poczucie potęgi i fantastyczna, nigdy do tej pory niepoznana euforia życia. W jednej chwili stałem się jednością z trzydziestometrowym drzewem...

Szkoda, że ludzie nie znają tego fantastycznego uczucia. To coś absolutnie niespotykanego w skali kosmosu, coś naprawdę niesamowitego. Po takim seansie każdy załamany człowiek poczułby się z pewnością lepiej; doskonalszy, pewniejszy siebie - z drugiej jednak strony wielu ludzi chciałoby, aby ten stan trwał wiecznie, bo jest to jak narkotyk, uzależnia. I choć to idealny lek na depresję, może jednak dobrze, że tylko nieliczni doświadczyli takich odczuć.

Aby ostatecznie upewnić się, czy jestem w stanie podołać zadaniu, wykonałem jeszcze dwie próby. Jedna miała na celu upewnienie się, że odległość dla mojego postrzegania nie gra roli. I tak też się stało, co zaowocowało jeszcze jednym postanowieniem – już nigdy nie kontaktować się z osobą, która mnie o przysługę prosiła. Nawet telefonicznie. Czy już wiecie, gdzie byłem z wycieczką? Drugiej próby dokonałem na moim psie. Kilka dominujących uczuć oraz poczucie ogromnej beztroski przekonało mnie, że nawet pies potrafi mieć całkiem skomplikowaną osobowość i dość wyraziste uczucia. Niech mi tylko teraz jakiś oszołom powie, że człowiek – w odróżnieniu od zwierzęcia – jest istotą lepszą, bo odczuwa uczucia. Zgładzę sarkazmem, zabiję śmiechem. Moja próba udowodniła, że zwierzęta też mają myśli, w które potrafię wniknąć i też mają uczucia, które potrafię odczytać. Teraz pozostało mi już tylko czekać na odpowiedni moment.

Właściwy moment wybrałem na wieczór, kiedy już umyty i wypasiony zaległem sobie wygodnie w łóžeczku. Zgasilem światło, ułożyłem się wygodnie i postarałem skoncentrować się na zapamiętanej, wesołej psiej mordce. Przez chwilę miałem kłopoty ze skupieniem się, ale już po chwili poczułem, że wszystko wewnątrz mnie się zmienia. Umysł ogarnął znany mi już potężny spokój, w duszy zagościła wszechobecna miłość, która jest niczym w porównaniu z ziemską miłością, wszystkie troski i zmartwienia stały się takie malutkie i nic nieznaczące w skali makrokosmosu. Po chwili wszystko spowilała czerń. Umysł zapadł się w mroczną otchłań, a serce przestało bić.

Siedziałem na wyjątkowo twardej, grubo ciosanej, drewnianej ławie. Przede mną piętrzyła się solidna, dębowa barierka, resztę spowijała dosyć gęsta mgła, chociaż mógłbym przysiąc, że w tej mgle majaczyły mi różne inne, solidnie ciosane meble oraz najprawdopodobniej jakieś siedzące za nimi postacie. Zaczęło mi być wyjątkowo zimno, ale zaraz domyśliłem się, dlaczego. Siedziałem w tej cholernej lodówce w samej piżamie i na dodatek boso, a płytki na posadzce wcale nie grzały tak, jakbym sobie tego życzył.

- Nic się nie przejmuj – odezwał się siedzący obok mnie łysawy człowieczek w todze z orlim nosem. – Jakoś to będzie. Mam kilka asów w rękawie.

- „Oszust karciany?” – przebiegło mi przez myśl.

- Przepraszam, czy my się znamy? – zapytałem całkiem zaskoczony jego bezpośredniością.

- Jestem twoim obrońcą z urzędu – przypomniał mi Orli Nos. – Bronię cię już kilka razy.

- Dokładnie trzy, zakuta pało! – moja odpowiedź zaskoczyła przede wszystkim mnie. - Za każdym razem była awantura i kara nadprogramowa plus koszty sądowe.

Trudno mi powiedzieć, skąd mnie naszło takie olśnienie, ale spowodowało ono u mojego adwokata lekki wytrzeszcz oczu połączony z diabelskim uśmieszkiem.

- Pamiętasz? No to mam jeszcze jednego asa do rękawa! – zarechotał adwokacina i zatarł ręce jak mucha.

Spróbowałem dotknąć nogami posadzki, ale była lodowata i nieprzyjemna.

- A nie masz tam przypadkiem jakiś ciepłych kapci? Nogi mi już prawie odpadły, a posadzka jest zbyt lodowata, aby jej dotykać. Nawaliło wam ogrzewanie, czy co?

- Może usiądziesz po turecku? – zaproponował mój papug. – Zresztą przestań o tym myśleć. Albo inaczej: spróbuj wyobrazić sobie ciepłe kapciuszki na swoich nogach....

Pomyślałem chwilę i faktycznie. W ciągu pół sekundy na moich nogach znalazły się ciepłuteńkie bambosze z pomponami. Chwilę później mój adwokat zrobił pokazowy wytrzeszcz po raz drugi, tym razem bez uśmiechu, bo oto, bowiem zamiast piżamy pojawiła się na mnie marynarka prosto od Armaniego, spodnie w kolorze szarym, buty od Gucciego, jedwabna koszula Christiana Diora i ciemne lennonki w stylu najlepszych pruszkowskich zakapiorów, natomiast w rękę pojawiło mi się moje ulubione piwo z tequillą pod wszystko mówiącą nazwą „Desperado”.

- O kur...! – wyrwało się mojej pijawce.

- Cisza! – popłynęło tubalne wezwanie gdzieś znad odległego, monumentalnego mebla przed nami. Pomimo delikatnego przeciągu mebel nadal pozostawał skryty za mgłą. – Wy dwaj, przestańcie błaznować, bo oberwiecie za obrazę sądu!

- Ty, skąd ja znam ten głos? – wyszeptałem do siebie.

We mgle zamajaczył loczek peruki.

- Czy możemy już rozpocząć? – dopytywał się tajemniczy głos.

- Kończ waść, wstydu oszczędź! – wycedziłem przez zęby i po chwili dodałem szeptem do mojego prawnika. – To cytat z klasyki.

- Bogart w „Sokole maltańskim”? – adwokacina wyraźnie się zamyślił.

- Kmicic z „Potopu”, niedouczonej pijawo.

- Kmicic? Kmicic? Nie broniłem go...

- CISZA!!!! Bo stracę cierpliwość! – zagrzmiało niemalże tuż nad nami.

- Co jest, doktoru? Kończ ten kabaret – powoli także traciłem cierpliwość.

- Hmmm.... hmmm... sprawa numer bla, bla, bla....

- „No i fajnie” – pomyślałem. - Szkoda tylko, że tak młodo mi przyszło zejść, pomimo wszelkich za i przeciw przemawiających za dożyciem pierwszego dnia emerytury...

- ...bla, bla, bla ... – ciągnął dalej sędzia. – Oddaję głos oskarżycielowi. Przysięgam, że nie wiem skąd pojawił się strasznie chudy smutas w podeszłym wieku i w staromodnej todze, która wisiała na nim tylko troszkę lepiej, niż na wieszaku w szafie. Lub na kościotrupie.

- Wysoki sędzie, oskarżony był łajdakiem, kradł, fałszował, zabijał, cudzołożył; ujmując to jednym słowem – złamał wszystkie możliwe przykazania.

- Wyso... – zaczął tyradę mój obrońca, ale szybko go zgasiłem prawym sierpowym, po czym adwokacina siadła zamroczona, ja natomiast kontynuowałem rozpoczęte kazanie.

- ....ki sędzie, na wstępie mojej mowy pragnąłbym zaznaczyć, że rezygnuję z usług przyznanego mi adwokata i sam poprowadzę swoją obronę.

- Uzasadnienie?

- Ten gość już pierwszego stycznia zasłużył na tytuł „Bęcwał roku”. Poza tym mam gadane w dużo lepszym gatunku, niż to indywiduum obok.

- Hmmm....! – coś zamruczało we mgle. – Racja.

- To jak? - pstryknąłem palcami i zamiast pięknej marynarki pojawiła się bogato haftowana toga.

- Sąd przychyła się do twojej propozycji.

- Ad rem. Oskarżenie mówi nieprawdę – przyznałem szczerze.

- Złamałeś wszystkie możliwe przykazania!

W iście muszkieterowskim geście pogroziłem palcem, niczym rapierem.

- Zawsze kochałem moich rodziców. Ty tylko dziewięć, a i z tym się nie mogę zgodzić.

- Oskarżenie powołuje świadka – nagle ni z tego, ni z owego pojawił się na sali jakiś podstarzały lump ze skrzepami na głowie.

- Świadek, opowiedzcie jak to było – nakazał skryty za mgłą wysoki sąd.

Obraz się zamazał ukazując dużo młodszego mnie wchodzącego do wykafelkowanego przybytku z ceramicznymi ozdobnikami na ścianach. Podszedłem do jednego z nich chwiejnym krokiem celem oddania moczu. Nagle poczułem, jak ktoś mnie łapie za ramię. - „Dawaj na piwo, gówniarzu!” – warknął kompletnie pijany wiejski lump.

„Pier... się!” – odparłem równie uprzejmym tonem.

Pijak wykonał nieokreślony zamach ręką, lecz na tym się skończyła jego kariera gangstera, gdyż szybkim ruchem odwinałem rękaw kurtki obnażając skórzaną opaskę na nadgarstku nabitą kulami karabinowymi. Zawsze miałem świetny backhand. Lump przeleciał kilka metrów w powietrzu i trzasnął głową o ścianę pomiędzy pisuarami. Wokół bryznęła krew z rozbitej głowy, lecz mnie już w tam nie było.

- Nie zabijaj – przypomniał oskarżyciel.

- Obrona własna – przypomniałem ja. – Pamiętaj, kto był agresorem. Poza tym wioska w trzy tygodnie później została zalana przez wody sztucznie tworzonego jeziora, a świadek nie zamierzał opuszczać swojego miejsca urodzenia. Nie byłby nawet w stanie, bo nigdy nie trzeźwiał.

Oskarżyciel podał mi kilka ciężkich skoroszytów.

- Oto lista twoich kłamstw.

- A oto – pstryknąłem i na stole oskarżyciela pojawiło się kilkadziesiąt podobnych tomów. – średnia lista kłamstw dla przeciętnego śmiertelnika, a takim przecież byłem na ziemi. Wysoki sąd zauważył, że jest odrobinę dłuższa. Z przykrością skonstatowałem, że chyba jednak mgła była zbyt gęsta, bo wysoki sąd nie raczył się odezwać. A to mogło oznaczać także, że nie widział prezentowanych przeze mnie dowodów.

- Upokarzanie słabszych psychicznie.... – ciągnął oskarżyciel. – Niestety, jako dowód można tylko przedstawić projekcję, ponieważ wszystkie pokrzywdzone osoby jeszcze żyją.

We mgle zaczął się formować kolejny obraz, tylko mniej ostry. Wewnątrz zielonkawego namiotu było trochę mroczno. O połacie bębnił miarowo deszcz. Siedziałem oparty o tył namiotu patrząc na absolutnie nagą dziewczynę klęczącą przede mną.

- „Zwiąż mnie” – szeptała w podnieceniu. - „Odwróć się do mnie tyłem” – zaproponowałem i kiedy wypięła się w moim kierunku całkiem niezłym tyłkiem, silnym kopniakiem posłałem ją prosto w błoto przed namiotem. Wizja zniknęła, a mój obrońca, który już wrócił do stanu przytomności, rechotał ocierając łzy z oczu. Tymczasem z mgły wyłoniła się kolejna wizja. Na ozdobnym łóżku w mrocznym pokoju leżała szczupła długowłosa blondynka. Oparła głowę na łokciach nie zważając na podwinięty sweter i rozpięte spodnie znajdujące się mocno poniżej fantastycznego tyłka. Ciężko dyszała i po chwili jasne już było, że przed chwilą miała potężny orgazm. Najbardziej nieoczekiwany orgazm w życiu. Tym razem wizja płynnie zmieniła się. Na tym samym łóżku leżała niewysoka blondynka obcięta na pazia.

- „Co ja ci zrobiłam?” – skamlała, gdy trochę młodszy ja zdzierałem z niej gruby sweter, biustonosz, dzinsy ... po chwili była już całkiem naga. Jej strach minął, objęła mnie mocno i odwzajemniała moje ogniste pocałunki. Rozchyliła nogi ukazując wilgotny róż. - „Przerznij mnie!” – rozkazała. Odwróciłem ją na brzuch, ściągnąłem gruby skórzany pas ze spodni i spętałem jej mocno ręce na plecach. Wstałem z łóżka i wziąłem do ręki półmetrową maczetę. - „Chodź tu szmato jedna, a cię przerznę” – zaproponowałem przerażonej dziewczynie. Wizja zniknęła.

- Zapomniałeś dodać – rzekłem do oskarżyciela. – Że po kilkunastu minutach ją w końcu dopadłem, uwiesiłem za związane ręce na klamce u drzwi i chciałem sprzedać kumpłowi za stówkę...

Mój adwokat padł ze śmiechu pod ciężką, dębową ławę.

- Spokój, bo wyrzucę! – zgromił go wysoki sąd.

Przywołany do porządku Orli Nos wygrzebał się spod ławy i zasiadł w niej z powrotem.

- Przepraszam wysoki sędzie – wstał nieoczekiwanie zabierając głos. – Ale śmiem twierdzić, że oskarżony nie robił nic podłego, jedynie działał przeciwnie do oczekiwań drugiej strony. Takich przykładów możemy obejrzeć tu jeszcze kilkaset... Tylko to nie jest grzechem.

- Wniosek obrony połowicznie przyjęty – doleciało gdzieś z góry. – Zaraz, zaraz! To, który z was, patałachy, jest obrońcą?

- On! – wskazaliśmy równocześnie na siebie próbując przekrzyczeć się nawzajem.

- Ja! – zagrzmiliśmy po raz drugi chórem próbując poprawić błąd koordynacji zeznań.

- No dobra: on! – wskazałem na prawnika. – Ja jestem tylko obrońcą posiłkowym.

I znowu zagrzmiało gdzieś ponad nami.

- Niech i tak będzie. Wpisać mi to do protokołu!

Tymczasem mój papug wyszarpnął z połów togi coś, jakby rolkę papieru toaletowego, tylko większą, grubszą i bardziej szarą.

- A oto, wysoki sędzie, lista osób, którym oskarżony bardzo pomógł. Jak wiadomo, oskarżony jest zaliczany do kasty przewodników-opiekunów i nawet odbywając karę nie zapomniał o swoim powołaniu.

Szara rolka zaczęła się skrzyć różowawą poświatą.

- Cholera! – wrzasnął wysoki sąd. – Tylko mi tu tego nie rozwijaj!

Prawnik wzruszył ramionami i rzucił od niechcenia rolkę za siebie.

- Opieka nad szaraczkami – wtrącił oskarżyciel. – to raczej pomniejsza zasługę...

Orli Nos poczerwieniał na twarzy i przez moment był podobny do wściekłego kondora. Po chwili milcząc wyciągnął drugą rolkę i już przymierzał się do rozwijania, gdy z mgły nad nami dobiegł kolejny błagalny jęk wycudzony przez zęby.

- Nie rozwijaj!

- Oto lista dobrych uczynków - zauważył. - Wspomaganie biednych, uczciwość finansowa, prawdomówność w trudnych sytuacjach...

- Siadaj – szarpnąłem adwokata za rękaw. – Oni to przecież mają w kopii moich akt.

- Po całym tym bigosie, kiedy to prokurator Piłat – zagrzmiał sędzia. – Wyniósł do świata śmiertelników kopię życiorysu Jezusa, sporządzamy tylko jeden komplet akt. Niemniej sąd zna ten dokument.

- To już wiem, kogo winić za katolicką większość narodu... Dzięki stary!

- Gdyby nie to – wtrącił się oskarżyciel. – śmiertelnicy znaleźliby sobie inną religię.

- Taaak – podsumował obrońca. – Religia to opium dla mas.

- He? – zdziwił się papug.
- To cytat.
- Też Bogart?
- Engels. Gdzie ty chodziłeś do szkoły?
- Do rzeczy! – przypomniał nadal niewidoczny sędzia. – Czas to pieniądz, a czas leci!

Oskarżyciel stanął na palcach, przez co wyglądał jeszcze komiczniej.

- Wysoki sędzie, oto trzech innych świadków – pstryknął palcami i oto za barierką dla świadków pojawiło się trzech mnie: jeden niebieski z błękitną poświatą wokół głowy, drugi czerwony z małymi różkami, trzeci zupełnie szary i bez oznak szczególnych. Jedyne, co ich wyróżniało, to fakt, że wszyscy mieli moją twarz.

- Czy poszkodowani rozpoznają sprawcę?
- Tak – warknął niebieski.
- Oczywiście – dodał szary.
- Nigdy nie zapomnę tej gęby – podsumował czerwony.
- Nie pyskuj – zgasilem go. – Masz taką samą!
- Ugh! Wredny pysk!
- Wypraszam sobie! – wrzasnąłem oburzony. – To moja ulubiona gęba!

Tymczasem cyrk we mgle trwał nadal.

- Wysoki sędzie... – oskarżyciel zaczął kartkować zeznania. - ...żelazko, brytfanna, patelnia... karate, mróz.... balkon... czary... oto jakimi środkami perswazji posłużył się oskarżony w postępowaniu z duchami wyższymi działającymi na zlecenie zaświatów.

- Czary? – zdziwił się sędzia. – Co za idiota mu dał książeczkę podręcznych czarów?

- Ja... – odparł nieśmiało szary duch.

- Mycie latryn przez dwa tygodnie! – zawyrokował sędzia waląc młotkiem w blat stołu, jak można się było domyślać po odgłosie. - Wracajmy do procesu.

Szary duch jęczał zrozpaczony. Tymczasem wstałem pragnąc zabrać głos.

- Wysoki sędzie, jako duch wyższego rzędu, a do takowych zalicza się opiekunów-przewodników, pragnę zaznaczyć, że nie przywykłem do takiego traktowania ze strony urzędników niższego szczebla, więc wszystkie moje wspomniane reakcje należy uznać za formę protestu oraz przypomnienie, że pomimo odbywanej kary nie zostałem pozbawiony praw godności.

- Racja – zgodził się sąd.

- Poza tym świadkowie nie są wiarygodni, gdyż żywią osobistą urazę do obecnego tu oskarżonego – dodał mój prawnik.

- Sąd prosi o wyjaśnienie.

Adwokat uśmiechnął się na samą myśl o takim potraktowaniu ducha.

- Świadkowie zostali zaczarowani w małą książeczkę o przygodach czarowników.

Zapadła cisza przerywana chichotem z tylnich ław Sali sądowej. Niestety, tył także tonął we mgle. Było to także wadą i dla sądu: dowcipniś był niewidoczny.

- Kto śmie chichotać podczas przewodu sądowego? – grzmot z góry osiągnął apogeum.

Przed barierką pojawił się szczupły młodzieniec o złotych włosach i szarych oczach.

- Mistrz magii Pierwiosnek, do usług – skłonił się przed sądem.

- Mistrz? W tak młodym wieku? – zdziwił się sąd. – Skąd w takim razie to zachowanie?

Chłopak skłonił się po raz drugi.

- Chciałbym prosić sąd o dopuszczenie do grona obrońców posiłkowych.

Zapadła trzysekundowa cisza.

- Hmmm! – mruknęło z mgły. – Sąd przychyła się do twojej prośby.

- Sprzeciw! – oskarżyciel zerwał się jak oblany wrzącą kawą.

- Umotywować!

Prawnik przełknął ślinę.

- Oskarżony i mistrz pozostają z stosunku pokrewieństwa, więc z mocy artykułu numer bla, bla, bla... udział w przewodzie sądowym mistrza magii Pierwiosnka jest wykluczony.

- Czy oskarżony potwierdza? – pytanie było skierowane do mnie.

- Nie mogę potwierdzić, wysoki sędzie – przyznałem z rozbijającą szczerością. Mój obrońca wstał.

- Chodzi o to – przejął pałeczkę. – że mój klient jest przodkiem tu obecnego mistrza, więc nie może go znać, ani o nim wiedzieć.

Ponownie młotek trzasnął o blat.

- Proszę, więc wrócić i zająć swoje miejsce na sali. I proszę to wymazać z protokołu.

Chłopak odwrócił się, uśmiechnął się kwaśno i szepnął:

- Wybacz stary, próbowałem.

- Dzięki! – szepnąłem, kiedy mijał ławę oskarżonych, czyli moją.

Tymczasem oskarżenie wertowało kartki odczytując kolejne zarzuty.

- Kolejny zarzut: działalność pozazmysłowa w świecie śmiertelników.

Tym razem obrońca nachylił się i szepnął mi do ucha.

- Uuuuu, bracie! Poważny zarzut.

- A co oni mi mogą? – odparłem zdziwiony. - I tak muszę odbębnić karę jeszcze jednej egzystencji. Przecież wlepiacie standardowo cztery i pół życia wszystkim, których chcecie resocjalizować i przywrócić na łono społeczności.... Bez cytatu, choć to też klasyk.

- A mogą ci, mogą – Orli Nos pokiwał głową. - To fakt, masz jeszcze jedno życie odsiadki, ale jego jakość zależeć będzie w dużej mierze od grzechów życia poprzedniego.

- Aha, czyli jeżeli nie będziesz grzeczny, to karcer?

Prawnik uśmiechnął się znad togi.



- Wolimy tu określenie piekło lub niebo...
  - Przecież to jest to samo, tylko różni się znakiem jakości....
  - Gaduły, skończyliście już ploteczki? – grzmiał jak zwykle sędzia.
  - Naradzamy się przed ostateczną obroną – wyjaśnił z uśmiechem adwokat.
  - Jak odpowiadacie na zarzut?
- Obronca wstał zaczynając zwyczajowy płas przed barierką.
- Mój klient ma większe zdolności niż szaraczki ze względu na pochodzenie kastowe. Oczywiście jest to rzadkość, choć nie aż taka, jak psychokineza, aczkolwiek w porównaniu z ilością więźniów z kasty uzdrowicieli, jest on rzadkością. Należy, zatem przymknąć oczy na to, co on wyprawia, gdyż szkodliwość jego czynów nie jest duża...
  - No właśnie – dodałem. – Cieszcie się, że nie jestem kreatorem.
  - Jeszcze nam tu tylko świadomego kreatora brakowało! – Ta wypowiedź świadczyła o tym, że przemówilem sędziemu do wyobraźni.
  - Dobrze. Proszę sędziów przysięgłych o głos...
- Dopiero teraz zauważyłem, że tuż obok stanęła ława przysięgłych, gdzie dwunastu sędziów miało orzec o moim przyszłym życiu.
- Winny – orzekła naga, odrobinę ubłocona dziewczyna z mokrymi włosami.
  - Winny – powtórzył mój anioł stróż w błękitnej poświacie.
  - Nie winny – wysoka blondynka z długimi włosami otarła spocone czoło. Czyżby z jej strony to była prowokacja?
  - Winny - rzucił krótko szary ja, czyli duch czasu.
  - Jak cholera winny – wycedził mój diabeł stróż w skąpany czerwonawej poświacie.
  - Nie winny – dodała odziana w łachmany staruszka z kubkiem.
  - Nie winny – potwierdził chłopak w górniczym kasku, kombinezonie i sprzęcie wspinaczkowym dopiętym do upręży.
  - Winny – mała, naga blondyneczka ze spętanymi tyłu rękami była bezlitosna.
  - Winny – dodał pijany lump z roztrzaskaną głową.
  - Nie winny – zaprzeczył oskarżeniu śledczy Eskulap Wontorek.
  - Nie winny – zawtórowała mu żółtooką piękność w uniformie czarownicy federalnej.
- Ostatnim sędzią przysięgłym był zakonnik w szarym habicie - moje prawdziwe ja. Odrzucił do tyłu kaptur z tajemniczym uśmiechem.
- Ostatnia cierpliwość, Szary! – ponaglił tubalnym głosem sędzia. To podziałało na mnie jak płachta na byka. „Ostatnia cierpliwość”? Kto tak mówił? Oczywiście! Duch – nadzorca, który mnie skarcił za wycieczki poza ciało. Strażnik mojego więzienia! Cholerny oberklawisz!
  - Zrobię ci tę przyjemność... – powiedział spokojnie mnich. – Jestem winny, strażniku ziemskiego padoku.
  - Jesteś zbyt bystry – przyznał sędzia. - Wyrokiem sądu ostatecznego skazuję cię na ostatnią egzystencję, która obfitować będzie w niepowodzenia, poniżenia, choroby ...

- Chwileczkę, mój panie – rzuciłem krótko przeskakując przez barierkę z dębowego drewna. Obróciłem się i wytargałem zza niej przerażonego adwokata z orlim nosem. Rozłożyłem szeroko jego ręce i począłem szperać mu w obszernych rękawach. – Chodź tu serdeczko, pokaż swojego ostatniego i największego asa z rękawa...

Wyciągnąłem mu z rękawów osiem tomów akt mojej sprawy, talię kart, przetykacz do zlewów i rolkę papieru toaletowego i rzuciłem to wszystko wysokiemu sądowi prosto na biurko, jak miemam.

- Oto ostatni as z rękawa, pierdzielnny obercieciu.

- Próbujesz obrazić wysoki sąd? – zagrmiał ponownie wysoki sąd. – Przecież to walet!

- Chłopie, odłóż te karty! Przeczytaj akta.

Zapadła potworna cisza. Oskarżyciel, obrońca, mój daleki krewniak, jedenastu sędziów przysięgłych, protokolanci... wszyscy oczekiwaliśmy wyroku. Dla mnie i dla mojego prawdziwego ja był już on oczywisty.

- No i co? – nie wytrzymał mój papug z urzędu.

- Hmmm,... hmmm.... Ku... mać! – wrzasnął sędzia. – On jeszcze żyje!

- Geniuszu...! – wyrwało mi się złośliwie.

- Kto? – wykrzyknęli chórem obrona z oskarżeniem.

- Oskarżony, wy zakute pały! – grzmiał sędzia waląc młotkiem o wokandę.

- Ale jak...? – oskarżyciel siadł z wrażenia na zimnej posadzce i pewnym jest, że od razu tego pożałował.

- To przecież duch wyższego rzędu! Wszedł w system życiowy stworzenia nieświadom faktu, że jest ono martwe i jego sprawa trafiła na wokandę „z urzędu”!

- To, co robimy w takiej sytuacji? – adwokat także był zbity z tropu.

- Jak to, co? Dwa miesiące czyszczenia latryn, zakuta pało!!! Dla was obu! Sąd ogłosił wyrok ostateczny!

Rozległ się huk młotka o blat biurka. Wszystko wokół mnie poczęło powoli znikać. Zdażyłem tylko zauważyć, że mnich w szarym habicie skinął mi głową, natomiast uśmiechnięta, długowłosa blondynka w rozpiętych džinsach macha mi na pożegnanie. Z oddali dobiegł znany mi już rechot Pierwiosnka. Coś mną szarpnęło nagle w tył...

Ktoś mną energicznie szarpał za ramię.

- Wstawaj do pracy! Ile mam cię budzić? – mama była nadzwyczaj poirytowana.

- Nie powinienes oglądać do późna telewizji, bo później śpisz jak zabity.

Usiadłem na łóżku i prawie ze łzami w oczach spojrzałem na moją ukochaną mamę.

- Ufff! Masz mamu rację – skwitowałem przecierając oczy. – Telewizja telewizją, ale spałem dosłownie jak ZABITY...

I tak oto odroczyłem swój sąd ostateczny. Z biegiem lat prawdopodobnie przybywać będzie sędziów przysięgłych, lecz mam szansę na to, aby tylko sześciu miało powód powiedzieć „winny”. A tymczasem strzeż się drogi czytelniku, bo za chwilę znów będę jechał przez nudne pół godziny autobusem do pracy i jeszcze nie wiem, do jakiego systemu życiowego zrobię sobie wycieczkę... Jedno jest pewne: zrobię ją na pewno.

\* \* \* \* \*  
\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*ANOMALIA PARAZMYSŁOWA* – powstaje przy przenikaniu się dwóch światów. O wojnie duchów można się dowiedzieć z pierwszego tomu opowiadań o świecie czarowników; *WIEŻOWIEC SPÓŁDZIELNI USŁUGOWEJ* – opisany dokładnie we wspomnianym pierwszym tomie pt. „Opowieści ze świata czarowników”; *TAROT* – system kart do wróżenia składający się z minor i major arkanów; *MAŁE KLĄTWY* – czyli amuletki; poświęcone przedmioty wspomagające nasze szczęście lub nieszczęście; *TEORIA WZGLĘDNOŚCI* – najsłynniejsza teoria fizyczna ogłoszona przez Alberta Einsteina; *FREUD Sigmund* – lekarz psychiatra, twórca psychoanalizy; *PAWŁOW Iwan* – rosyjski uczony, behawiorysta; *PAPUG* – pogardliwe określenie adwokata; *ARMANI, GUCCI, DIOR* – znani dyktatorzy mody; *LENNONKI* – przyciemniane okulary z okrągłymi szklami. Nosił takie John Lennon, ale to nie on je wymyślił; *ZAKAPIOR* – bandzior; *BOGART Humprey* – amerykański aktor, słynny ze swojego slangu i miłości do sokołów maltańskich w Casablance; *KMICIC* – bohater „Potopu” Henryka Sienkiewicza; *PIJAWA* – pogardliwe określenie prawnika; *RAPIER* – sieczna broń biała, coś pomiędzy mieczem, a szpadą; *PIŁAT* z Pontu – rzymianin, prokurator Judei, skazał Jezusa; *JEZUS* – jeżeli nie wiesz, o kogo chodzi, to mogę napisać tylko jedno: Witaj na Ziemi przybyszu z gwiazd!; *ENGELS Fryderyk* – teoretyk socjalizmu, klasyk komunizmu; *PSYCHOKINEZA* – zdolność poruszania przedmiotami za pomocą myśli; *PRZYSIĘGLI* – to kit zapożyczony z sądowego systemu USA. U nas takowa instytucja nie istnieje; *ESKULAP WONTOREK* – zgryźliwy gliniarz, o którym jeszcze przeczytasz nie raz!

## **SEZON NA PIERWIOSNKA**

### **Rozdział II: Sens Istnienia**

***Czy aby na pewno śnimy i czy kiedy śnimy  
nie śni się nam tylko, że akurat śnimy?***

W ciasnym, ale za to bardzo przytulnym lokum na trzynastym piętrze pewnego znanego mieszkańcom New Warsaw City wieżowca rozgrywała się scena, co najmniej niecodzienna, rzecz by można komiczna. Oto na rozkładanym, teatralnym krześle siedział prezes firmy, natomiast wokół krążył jego podwładny, wściekły jak stado szerszeni i kłął, na czym ezoteryka stoi.

- Ja tu chyba czegoś nie rozumiem! – wykrzyczał podwładny.

- Ależ to jest proste... - zaczął czarownik w stroju mistrza zboru, ale brutalnie mu przerwano.

Krążący wokół krzesła satelita czerwieniał na twarzy z minuty na minutę.

- Szefie, tyś chyba na głowę upadł! – Drugi miotał się po pokoju agencji jakby go raki w jądra szczypały.

- Ależ mój drogi Second, mamy już szmal i możemy sobie na to pozwolić! – oponował coraz silniej Pierwszy. – Nie zapominaj, że jestem tu szefem...

- Ech, i co ja mam z wami zrobić? Najpierw Grubcio, teraz ty...! – Drugi opadł bezsilnie na krzesło.

No tak: szef ma zawsze rację! Z drugiej jednak strony zamysł mistrza nie był aż tak szalony. No, może byłby, gdyby nie fortuna, jaka na nich nieoczekiwanie spłynęła. Dawna Spółdzielnia Czarownicza „1001 Życzeń”, a obecnie spółka z wielce ograniczoną odpowiedzialnością, była teraz jedną z najlepiej prosperujących firm na świecie. W normalnych warunkach można by ją sprzedać za naprawdę duże pieniądze i do końca życia żyć sobie wystawnie tylko i wyłącznie z procentów. Na przykład na takich sobie Sesselach... Był tylko malutki problem: wszyscy trzej magowie orzekli zgodnie chórem, że chętnie by raz na jakiś czas powyglupiali się realizując, co bardziej szalone zlecenia. Drugi problem był bardziej prozaiczny: niewielu odważyłoby się kupić firmę mającą swoją siedzibę na trzynastym piętrze nawet najbardziej ekskluzywnego drapacza chmur w New Warsaw City.

- Słuchaj, dołączymy do Grubcia i Charlotty na Sesselach, a tymczasem interes będzie prowadził twój bratanek – jeszcze raz powtórzył wszystko od początku Pierwszy. Tak dla pewności.

- Pierwiosnek jest za młody! – postać na krześle machnęła rękami w dezaprobację. - Schrzani każdą robotę, słowo daję! I jeszcze wstydu nam narobi!

- Nie unoś się, bo sufit jest nisko – szef spróbował uśmiechu numer trzy. – To dobry chłopak, może trochę narwany, ale za to sprytny i uzdolniony. No i pod kuratelą jednego z najporządniejszych gliniarzy w City.

I tu Pierwszy miał rację. Pierwiosnek, pomimo, że nie ukończył żadnej wyższej uczelni ezoterycznej, posiadał duży talent czarowniczy. Gorzej było ze sprytem, czego mógł być dowodem nadzór policyjny.

- No niech ci będzie – niechętnie zgodził się Second. – Ale na twoją wyłączną odpowiedzialność! Boję się tylko, że nikt nie przyjdzie załatwiać zleceń do młodzika z tak potężną kartoteką.

Pierwszy zaczął udawać zamyślonego.

- Niech sam się martwi o marketing.

Młodszy czarownik wstał z krzesła, przesunął rękawem po szklanej kuli, która błyskawicznie zmatowiała i zrezygnowany ruszył do wyjścia.

- Dobra, idę po Lynn – mag popatrzył na słońce majaczące wśród chmur za oknem. - Za godzinę przyjdzie twój pupilek, to wprowadź go w arkana prowadzenia firmy. Co potem?

Mistrz uśmiechnął się promiennie.

- Seszele. W końcu po to je kupiliśmy, Vice.

\*\*\*

Śledczy Eskulap Wontorek nie przepadał za swoim podopiecznym. Od kiedy ustalono nadzór nad tym notorycznym rozrabiaką, wielokrotnie dawał mu popalić. Mały człowieczek z załazkami łysinki gdzieś w okolicy krótkich włosów siedział przy biurku w pomieszczeniu spółki. Tuż pod nieśmiertelnym wąsikiem tkwił jeszcze bardziej nieśmiertelny papieros z serii sto pięćdziesiąt, najdłuższy z dostępnych na rynku. Tuż przed nim, po drugiej stronie biurka siedział młodzieniec średniej budowy ciała, o szarych oczach i złotych włosach.

- Jak widzisz, drogi Eskulapie, wszystkie przedstawione dokumenty są w jak najlepszym porządku – przerwał niezręczną chwilę milczenia Pierwiosnek.

Mały człowieczek poruszył wąsikami i wypuścił kącikiem ust kłęb dymu.

- Taaak. A gdzie to wujowie wyjechali w takim pośpiechu, że zostawili ci cały ten majdan, nawiasem mówiąc, wart całkiem sporo? – twarz detektywa zdradzała zrozumiałą podejrzliwość.

- Wyjechali na Seszele.

- Te Seszele? A może te koło Szwajcarii Kaszubskiej?

- Te właściwe Seszele. Ich Seszele.

- Jak to „ich Seszele”? – zdziwił się policjant.

- Kupili je sobie.

- No tak – mały człowieczek znów poruszył wąsikami wracając do lektury dokumentów firmowych. – Brakuje zaświadczenia o terminowym odprowadzaniu podatków. Czy mógłbym je zobaczyć?

- Ależ oczywiście! Gość w dom, syf w dom! – palnął młodzieniec i z czarującym uśmiechem otworzył szufladę. Wyciągnął plik dokumentów i podał detektywowi ponad magiczną, szklaną kulą, która ich rozdzielała. Obraz w kuli rozjaśniła błękitna poświata ukazując Trzeciego z istic marsowym obliczem.

- Ostrożnie ofiario! – krzyczał Grubcio na ekranie. – Trzymaj rękawy przy sobie!

- Hmmm, hmmm.... Twój wujo coś mówił do ciebie? – Wontorek zwyczajowo poruszył wąsikami.

- Nie – zaprzeczył głową Pierwiosnek i wzruszył ramionami. – To tylko zwykły wygaszacz ekranu. Taki pro memoria. To już szósty raz dzisiaj.

Detektyw złożył papiery i podał młodemu czarownikowi.

- No cóż, dokumenty przekazania wydają się być w porządku – westchnął i podał papiery z powrotem zahaczając niechcący rękawem o szklaną kulę.

- Ostrożnie ofiaro! – krzyczał ponownie Grubcio na ekranie. – Trzymaj rękawy przy sobie!

- Bardzo mi przykro Eskulapie, ale tym razem to było do ciebie – młodzieniec z trudem powstrzymywał uśmiech.

- Interesuje mnie tylko – ciągnął niezrażony detektyw delektując się dymem ze swojej stopięćdziesiątki. – Jak kryminalista przyciągnie klientów do firmy zarządzanej przez siebie?

Chłopak skrzywił się demonstrując swoją niechęć do wypowiedzi detektywa.

- Kryminalista? A fe, Eskulapie! Jestem tylko wielokrotnie notowany!

Kolejny kłęb czarnego dymu poszybował pod sufit.

- Dokładnie trzysta dwadzieścia osiem razy. To już chyba recydywa, prawda?

- Więc pytasz, jak? – mag zręcznie zmienił temat. – Promocja, trochę darmowych czarów, a tak na marginesie, to jestem pewien, że mi pomożesz...

- Po moim trupie! – policjant zazgrzytał zębami.

- Phi, to da się załatwić, ale już pomogłeś. Masz, obejrzyj sobie „The Warsaw Time” – z uśmiechem rozłożył przed Wontorkiem poranną gazetę. Tuż na drugiej stronie ogłoszenie formatu C-5 informowało:

„1001 Życzeń Sp. z w.o.o.  
Czarnoksiężnik Pierwiosnek  
jedyne mistrz magii po stronie prawa  
pod nadzorem detektywa Eskulapa Wontorka”

- Pierwiosnek! – policjant posiniał na twarzy. – Ja cię kiedyś uduszę!

- Łapy przy sobie, mówiłem! – przypomniał obraz w szklanej kuli.

- I wyłącz ten cholerny wygaszacz!

- Jaki wygaszacz? – zapytał wygaszacz wybitnie oburzony.

- Ciebie, głupolu jeden. Zamknij się po prostu! – rzucił podenerwowany Eskulap i już chciał coś dorzucić ze słodkości w kierunku swojego podopiecznego, gdy Grubcio w kuli zaczął bardzo głośno protestować.

- Ja sobie wypraszam tego „głupola”! – trąkotał mag. - Mam dyplom dwóch wyższych uczelni ezoterycznych i doktorat honoris causa Wyższej Szkoły Polinekromancji!

Po chwili dodał już zupełnie spokojnie – Jest Pierwiosnek?

- Cześć wujku. Właśnie miałem się z wami kontaktować, aby ustalić strategię marketingu...

I gdy tak gaworzyli sobie o duperelach związanych z prowadzeniem firmy, śledczy Eskulap Wontorek, nadal czerwony na twarzy, ulotnił się jak niepyszny.

\*\*\*

- I cóż mój drogi Eskulapie słyhać? – przywitał ciepłym słowem swojego gościa czarnoksiężnik.

- Stara bieda w nowej oprawie, czyli nadzór nad tobą i całą resztą tego parszywego świata... – skwitował ze skwaszoną miną detektyw. Po chwili wyciągnął ulubione papierosy i zakleił sobie jednym z nich nadajnik, by wycedzić przez zęby – Tak sobie sprawdzam, jak leci mojemu pupilkowi.

- Za godzinę otwieram.

- Wiem.

- Dziś dzień otwarty...

- Wiem.

- Trochę prostych czarów za darmo...

- Wiem.

- To, po co przyszedłeś? – zdziwił się młodzieniec.

- Z czystej sympatii do ciebie – dalej cedził przez zęby Wontorek. – Jakiś wysoko postawiony dyktant zarządził kontrolowanie ciebie, jakby myślał, że to takie proste.

Pierwiosnek usiadł i uśmiechnął się na wspomnienie setek razy, kiedy to wystrychnął detektywa na dudka. Z drugiej jednak strony trochę mu współczuł tak niewdzięcznego obiektu inwigilacji.

- Darujesz mi chyba te niewinne żarciki?...

- Oczywiście! – zachnął się detektyw. – Szczególnie, że twoje krotchwile czasem przeradzają się w krokodyle!...

- O przepraszam, krokodyl w śpiworze podczas wycieczki w góry był jak najbardziej naturalny – stwierdził Pierwiosnek.

- Niech zgadnę: przez lata dorastał w górskim strumieniu w otoczeniu bobrów i świstaków? To już wiem, po kim nabrał tak złych manier!

- Przestań się pieklić o dawno zakończone sprawy. Powiem ci, co mam dzisiaj w programie...

- Aha, cwaniaczku! Jeżeli myślisz, że wysłucham tych bajeczek i sobie pójdę, to się grubo mylisz – odpalił policjant.

Mag uśmiechnął się jak najbardziej szczerze.

- Ależ możesz sobie tu ze mną zostać aż do końca dniówki! Dziś w menu mam kilka darmowych prostych czarów, ale tylko dla sześciu pierwszych klientów. „Sens istnienia”, „Tajemnica życia” i „Zagadka nieśmiertelności”. Wszystkie sprowadzają się do wprowadzenia klienta w trans na poziomie theta –15 i wywołania prostych wizji na podstawie przecieków synaptycznych. Gwarantuję ci, że każda z tych wizji będzie w odczuciu klienta zupełnie jak rzeczywiste wydarzenia, w których uczestniczył.

- Aha – Wontorek zaciągnął się głęboko dymem. – Coś jak przestrzeń czaro-wirtualna?

Policjant popatrzył na trzymanego w ręku papierosa, który najzwyczajniej w świecie zgasł.

- Dokładnie tak.

- Gdy tu wchodziłem, widziałem sporą kolejkę na dole. Portier, ten Knappke, który kiedyś u nas robił będzie ich wpuszczał pojedynczo... to może byś już tak otworzył ?

Mag popatrzył na archaiczny chronometr. Po chwili narzucił roboczy płaszcz czarnoksięski, złożył ręce i wymamrotał proste zaklęcie. Pomiedzy jego dłońmi zaczęła się kształtować malutkich rozmiarów kobietka ze skrzydełkami jak u ważki.

- Wypróbujmy to – rzekł Pierwiosnek. W tym momencie malutka kobietka podfrunęła do zdumionego detektywa, zatrzepała niewyobrażalnie długimi rękami i wyszczebiotała :

- Zapraszam miłego klienta – i rozprysła się jak bańka mydlana.

- Niezłe demo zapraszające, co? – zapytał mag zbaraniałego Wontorka. – Sam pisałem kod źródłowy zaklęcia!

Podszedł do kuli i potarł ją na tyle delikatnie, na ile go było tylko stać. W kuli ukazał się człowiek w wieku około lat czterdziestu, skromnie ubrany, z siwiejącymi włosami i nawiedzonym wyrazem twarzy.

- A niech to Belet kopnie! – zaklął Pierwiosnek. – Zdewociały prawnik zaniedbujący swoją żonę. Niezłe jak na początek, ale i tak stawiam, że wybierze „sens istnienia”. Dasz piątaka Eskulapie?

- Za mało mi płacą za dozór nad tobą – mruknął zdegustowany detektyw i ponownie odpalił niesamowicie długiego papierosa.

\* \* \*

### *GODZINA ZERO: PRÓBA*

- Wiec jesteś - było to raczej stwierdzenie, niż pytanie.

- Tak, jak widzisz - odparł w stronę, skąd dobiegał głos.

- Wiesz, że dla mnie "widzieć", a raczej "nie widzieć" to pojęcie względne.

- Wiem - odparł krótko.

- Czego chcesz?

- Mam prośbę....

- Inaczej nie prosiłbyś o audiencję.

- Chciałbym znowu żyć na Ziemi - wyrzucił z siebie.

- Przemyślałeś to? - zapytał głos.

- Tak.

- Kobieta?

- Tak.

- Jacy wy wszyscy jesteście żałośni...! Czy uważasz, że się nadajesz?

- Tak.

- Na pewno?



- Chyba....
- A widzisz - głos zasiał niepewność.
- Wystaw mnie na próbę - podjął. - Wiesz prze...
- Tak, wiem. Przysługuje ci, ale takich jak ty są miliony. Mam mało przydziałów.
- Daj mi szansę - domagał się.
- Dobrze - usłyszał po chwili.
- Kiedy?
- Zaraz. Zaczynasz w południe 28-go lutego, kończysz w południe 1-go marca.
- Dzięki ci....
- Uważaj - usłyszał ostrzeżenie.- Świat się bardzo zmienił od tamtej pory...
- Domyślał się. Coś jeszcze?
- Tak. Pouczenie. Masz to - Z wysokości spłynęła mała fiołka. Wiedział, co w niej było. Trucizna. - Gdybyś się chciał wycofać, wiesz, co masz zrobić.
- Wiem - odparł, ale nie wziął fiołki. - Nie będzie mi to potrzebne.
- Jak chcesz. Możesz już iść.

#### *GODZINA PIERWSZA: SMUTEK*

(28 luty 2036 roku. Południe)

Szara ulica umierała. Niegdyś wspaniała, teraz spowita mgłą zapomnienia. Od czasu do czasu silniejszy powiew zimnego wiatru przemieszczał mętne opary unoszące się nad ziemią oraz sterty śmieci, które pod naporem wiatru odsłoniły w końcu zwłoki młodego mężczyzny w zaawansowanym stadium rozkładu.

Tak jak przed chwilą zniknął w śnieżnobiałej bieli nicości, tak pojawił się na ulicy. Brnął poprzez ciemnożółtą chmurę, mieszaninę mgły i zanieczyszczeń. Spojrzał ze zgrozą na trupa, którego jeszcze częściowo przykrywały odpadki. Ominął go i skierował się w stronę odrapanego domu, a raczej tego, co z niego zostało. Wybite okna spoglądały na niego pustymi oczodołami; niektóre zabite deskami sprawiały wrażenie niedbale opatrzonych. Obskurna futryna bez drzwi, które ktoś kiedyś ukradł na opał, stosy gnijących resztek, potarganych, brudnych szmat, papierów, powykręcane w konwulsjach kawałki zardzewiałego metalu...To wszystko. To wszystko było kiedyś jego. Powoli, z wyrazem bólu na twarzy wszedł na przysypane gruzem schody i zajrzał do środka. Tak odrażający widok, a zarazem tak bliski - to był kiedyś jego dom. Jego i jej. Wszedł w chłodny mrok klatki schodowej. Zerwane schody uniemożliwiały penetrację piętra. Zajrzał, więc do jednego z dwóch mieszkań na parterze, gdzie, jak mu się zdawało, usłyszał jakiś odgłos. Straszliwy fetor uderzył go w nozdrza. Źródłem tego smrodu były nieczystości, które ktoś skrupulatnie zgromadził wokół dębowego stołu o trzech nogach, a który wyrastał ze ściółki śmieci jak dorodny grzyb. Pod ścianą między rozbitymi szafkami przykucnęło dziecko w przydługim, ciemnozielonym płaszczyku ściskając czwartą nogę od stołu jako swoją jedyną broń.

- Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy - Wyciągnął ręce do dziecka, które porzuciło swój oręż i dało się podnieść na ręce. - Chodź maluchu, poszukamy mamy.
- Nie ma już mamy - odparło bezbarwnym szeptem.
- W takim razie jesteś sam tak, jak ja. Poszukamy czegoś do jedzenia?

### *GODZINA DRUGA: PRZERAŻENIE*

Robiąc wielkie kroki przedarł się przez sterty śmieci, zapadając się, co jakiś czas w przykryte odpadkami dziury w asfalcie. Zupełnie nieświadomie podążał w kierunku, gdzie mieszkali jego rodzice. Wiedział, że ona jest gdzieś tutaj w pobliżu. Opuszczone domy straszyły pustymi otworami po oknach. Część z nich widział po raz pierwszy. Gdy stąd odchodził, jeszcze ich nie było. Przeszedł jeszcze jakieś sto metrów i skręcił w stronę ogrodzonego żelaznym parkanem skweru. Umarłe drzewa nadal rzucały cień, tylko, że teraz idealnie pasował on do miejsca. Powykręcane w agonii konary skrywały stary cmentarz. Ostrożnie, tuląc dziecko do piersi, przeszedł przez obszerną, kutą bramę. Minął kilka rzędów zapadających się grobów i postawił dziecko na ziemi.

- Nie odchodź daleko - nakazał po ojcowsku. Dziecko natychmiast przemknęło między grobami i pobiegło do nowszej części cmentarza. Spojrzał na grób, nad którym stał.

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI.... URODZONY.... ZMARŁ TRAGICZNIE DNIA...  
POKÓJ JEGO DUSZY."

Uśmiechnął się odczytując znane imię i nazwisko. Tak dawno go nie używał, że już prawie zapomniał, jaki był kiedyś z niego dumny. Zebrał połamane gałęzie i złożył symboliczny bukiet na wzgórk, tuż pod pękniętym krzyżem. Z lekkim uśmiechem przeżegnał się, jak zwykł to czynić dawniej. Groteska - modlił się nie wiadomo, do czego, i to nad własnym grobem... Ale czasy się zmieniły. Trzy lata temu nie uwierzyłby, że przyjdzie mu odwiedzić miejsce swojego spoczynku. Z pełną świadomością, bo kiedyś już to zrobił. Nieświadomie. Jako niemiecki żołnierz. A na to musiał czekać prawie 150 lat! Ale inni czekali po wielokroć dłużej. Przez krótką chwilę przemknęła mu przed oczami chwila, kiedy prowadził samochód. Nigdy nie dojechał. Z myślą o tamtym dniu opuścił rząd grobów i skręcił w główną aleję cmentarza. "Gdzie ten dzieciak polazł?" Zapuszczał się coraz głębiej, groby nosiły coraz to świeższe daty, aż doszedł do miejsca, gdzie w odkrytych dołach piętrzyły się ludzkie szkielety. Takich odkrytych, zbiorowych mogił było wiele. Przy ostatnim z nich dostrzegł ruch. "A więc to tam zakradł się ten brzdąc!". Kiedy podszedł bliżej, musiał naciągnąć szal na nos. Smród rozkładających się ciał był prawie nie do zniesienia. Przy trupie młodej kobiety przykucnął dzieciak. Zbliżył się. Z przerażeniem zobaczył, jak zęby dziecka zatapiają się w martwej dłoni. Stał tak

przez parę chwil patrząc, jak skamieniały. Odgryzłszy palec z srebrnym pierścieniem dziecko podeszło do niego.

- Wyrzuć to! - nakazał.

- Nie.

- Dlaczego?! - spytał zirytowany.

- To było mamy.

### *GODZINA TRZECIA: ROZCZAROWANIE*

Otepiały zobaczył jak mija ich jakąś postać w szarym łachmanie, który kiedyś zapewne był prochowcem.. Stary człowiek nachylił się nad jednym z nieboszczyków. Wyjął nóż. Pomacał, ale w końcu zdecydował się na ciało kobiety. Zaczął niezdarnie odkrawać rękę powyżej łokcia.

- Nie! - krzyknął trzymając dziecko mocno za rękę. - To była jego matka!

- No to, co? Mięsa starczy dla wszystkich!

Przystąpił do staruszka i uderzył go na odlew. Prosto w twarz. Starzec zatoczył się i uciekł ze skowytem. Obrócił ciało kobiety, aby się jej przyjrzeć i na moment zapomniał o wszystkim. Znalazł ją, ale za późno. Nie miał już, czego szukać. Postanowił ją pochować, tak jak zasługuje na to każdy człowiek. Znalazł pusty dół i delikatnie złożył w nim ciało. Następnie zrył ziemię wyrwanym stalowym krzyżem i zasypał dół. Teraz jest bezpieczna. Na razie.

Wziął dziecko za rękę, gdy nieoczekiwanie gdzieś z tyłu odezwał się miękki, lecz chrapliwy zarazem męski głos.

- Witaj w nowym świecie.

### *GODZINA CZWARTA: ZROZUMIENIE*

- Witaj - powtórzył nieznajomy, a zarazem znajomy. Miał około pięćdziesiątki, krótkie, szpakowate włosy. Był wysoki, o pociągłej twarzy, pełnej powagi i dostojeństwa. W jego czarnych oczach tlił się dziwny, tajemniczy ogień. On widział go po raz pierwszy, lecz miał nieodparte wrażenie, że znają się bardzo dobrze.

- Na próbnym? - zagaił przerywając niezręczną ciszę.

- Ach - potwierdził. "Czyżby to był A. Tylko, że kontrolerzy już od dawna nie odwiedzali tego świata!".

- Masz problem - było to raczej stwierdzenie oczywistego faktu.

- Nie - skłamał.

- Nie kłam. I tak wiem wszystko. Wysłał cię na próbny na 24 godziny. Ale on wiedział, że przybędziesz za późno i że zginiesz.

- Skąd o tym wiesz?

- Wiem i tyle. Musi ci to wystarczyć. Myślisz, że wszyscy są jego ograniczonymi sługusami?

- Nie mam zamiaru ginać. Wytrwam.

- Zginiesz. Kiedy powrót?

- 1-go marca w południe. Za 20 godzin.

- A zginiesz za 30 godzin. Wykiwał cię, biedaku! I to na całej linii. Słyszysz? Hossana, alleluja! Wiesz, który mamy teraz rok? 2036! W tym roku luty ma 29 dni!
- Skur....!
- Nie martw się - ciągnął nieznajomy. - Mnie też wyrolował. Po tym wszystkim on się wycofał, a ja musiałem zostać tutaj. Bez prawa do powrotu. Jestem skazany na bezsens; bez niego nie mogę zaistnieć w pełnym tego słowa znaczeniu, a jednak istnieję!
- Jesteś kontrolerem? - zapytał nieśmiało.
- Nie - odpowiedz go bardzo zdziwiła. Nieznajomy odwrócił się by odejść w swoją drogę. - No cóż - rzucił przez ramię. - Jeśli chcesz się z nim spotkać, to musisz podążać ku swemu przeznaczeniu. Musisz! Ha! To dobre! - odwrócił się.
- Przecież ten despota wszystko sam to ukartował! Żegnaj, nieszczęśliwy człowieku! Masz jeszcze 30 godzin.
- Czekaj! - krzyknął za nim. - Kim ty, u licha, jesteś?!"
- Kiedyś zwali mnie Arymanem, Setem, Szatanem... Teraz już jestem nikim. Ha, ha, ha! A to dobre - szkoda tylko, że takie prawdziwe!

#### *GODZINA PIĄTA: UKŁAD*

- "A więc i ten najgorszy został teraz nikim. Daliśmy się wyrolować. Zeszmacił nas!"
- Słuchaj! - Szatan zbliżył się do niego. - Masz rację, zeszmacił nas. No i co z tego? - mimo wszystko zachował swoją potężną moc i był w stanie odczytać myśli każdego stworzenia na Ziemi.
  - Coś sugerujesz?
  - Sugeruję, sugeruję! Nawet nie wiesz, jak bardzo. Chce ci zaproponować układ.
  - Przez twarz czarta przebiegł chytry uśmieszek na wspomnienie dawnych transakcji.
  - Chcesz kupić moją duszę? To chyba w obecnej sytuacji nie najlepsza lokata...
  - Nie, chcę ciało. Złe, twoją powłokę cielesną oraz twój identyfikator, który ułatwi mi przedostanie się poza bramę.
  - A co w zamian? - zapytał zadziwiony propozycją.
  - Dam ci moją moc, panowanie nad tym padole, który będziesz mógł odbudować wedle własnego widzimisie.
  - Nie, nie chcę już tu być. Mam dosyć tego miejsca!
  - Czekaj, nie wiesz, co tracisz! Wskrzeszę ci ją! Zgoda?
  - Tak. Umowa stoi. Coś jeszcze?
  - Identyfikator. Daj mi go - W oka mgnieniu ten, który mówił o sobie "nikt" zmienił postać na jego oczach. Stał teraz obok swojego lustrzanego odbicia.
  - Masz teraz moc kreacji i destrukcji. Korzystaj z niej mądrze! A teraz żegnaj.
  - Stój! A ona?...
  - Obejrzyj się... - uśmiechnął się "nikt" - i odszedł drogą przeznaczenia.

Powoli odwrócił się. Ich ręce się spotkały. Znow mógł spojrzeć w jej piękne, zielone oczy...

#### *GODZINA TRZYDZIESTA CZWARTA: POWRÓT*

Nawet nie widział tego, który zadał cios. Nie widział, chociaż wiedział, że atak nastąpi. "Zbyt dużo mocy mu oddałem!" - pomyślał jeszcze, pomimo pełnej świadomości faktu, że była to jedyna droga aby wyrwać się z tego piekła. Odpłynął ku górze patrząc jak napastnik z przerażeniem uciekł od ciała, które zaczęło płonąć jasnym płomieniem magnezji. Światło dnia przygasło, szarość przeszła w łagodny mrok. Szedł powoli mrocznym korytarzem. Gdzieś na końcu majaczyło słabe światło. Im bardziej się zbliżał, tym było ono większe i jaśniejsze. Powoli z mroku przechodził w świetlistą mgłę. Tak dawno już tu nie był...!

- Stój! Daję ci jeszcze jedną szansę - usłyszał.- Wracaj, skąd przybyłeś i zacznij wszystko od nowa.

- Oszczędź mi kazania - Wyciągnął identyfikator w kierunku światła. - Wracam z próbnego.

- Chodź - usłyszał. - Pokażę ci drogę.

Tuż przed nim zamajaczyła szklista postać. Wyciągnął rękę w kierunku przewodnika dotykając go w ramię palcem wskazującym.

- A teraz posłuchaj mnie, Przewoźniku Zmarłych: twoja służba już się skończyła. "Sapientissime Barachepi et ....."

Kiedy zakończył zaklęcie, mglista postać przewodnika rozplynęła się w niebycie, aby więcej już się nie pojawić.

"A teraz brama. Będzie tak, jak chciałeś. A chciałeś tego, człowieku, chciałeś z całego serca. Bądź pewien nowego rajy wzniesionego na ruinach piekła, a nieśmiertelność traktuj jako prezent..."

Kolejne zaklęcie rozmyło cień bramy. Tunel, jedyny pomost łączący dwa odmienne światy zniknął na zawsze. Tak oto przestał istnieć cel wędrówek tysięcy dusz.

#### *GODZINA TRZYDZIESTA SZÓSTA: ROZPRAWA*

- Nie wytrzymałeś próby - usłyszał głos płynący od postaci, której zarys mógł zobaczyć tylko przez mgłę. Nie był jej ciekaw; znał ją od tysięcy lat.

- Jak widzisz - Po czym przybrał swoją dawną postać. - Zaskoczony, czy rozczarowany? Tak, czy owak-niespodzianka!

- Ach! To ty! Będę cię musiał z powrotem odesłać. Czemu zawdzięczam wątpliwy zaszczyt twoich odwiedzin?

- Stęskniłem się. Zapomniałem jak wyglądasz. Coś w tym stylu. Pewnie cię rozczaruję, ale powróciłem na stałe. Ładnie to tak nabijać współników w butelkę?

- Wynoś się!

- Z przykrością stwierdzam, że nie mam, dokąd. Brama już nie istnieje.

- Ty parszywy psi pomiole! Chyba zapomniałeś, kto wygrał Armageddon! Ty beczelna gnido, giń!

Od świetlistej postaci strzeliła błyskawica. Strumień ognia przeszył przestrzeń. Trafiony w pierś zgiął się w pół.

- Nie zapominaj, że... jes...tem częścią ciebie...! - konał. - Jeż... eli ja zginę... jeżeli mnie...uni...cestwisz, ty sam... popa...dniesz w niebyt...ty już...jesteś nikim... NIKIM! - z tym okrzykiem konał.

Jego powłokę spowiły leniwie pełzające płomienie, aż zniknęła cała skryta całość ognia. W tym momencie eksplozja płomieni objęła wszystko dookoła. Świetlista postać zdawała się roztopiać w szalejącym żywiole. Krzyk bólu przeszył przestrzeń, która wraz z wygaśnięciem ostatniego płomienia zamieniła się w wielką pustkę...

### *GODZINA CZTERDZIESTA ÓSMA: ODRODZENIE*

Na Ziemi był już 1 marca. Nowy, piękny dzień - jakże odmienny od szarych dni klęski. Ludzie wypełzali ze swoich kryjówek i podążali w pełni słońca za mężczyzną, u którego boku szła kobieta z dzieckiem. Wielka moc, niezbadana, nienazwana siła pchała ich naprzód, naprzód ku nowemu życiu.

\* \* \*

Eskulap nadal wpatrywał się w szklaną kulę. W końcu udało mu się wypluć niedopałek stopięćdziesiątki.

- Wiesz, to lepsze niż kino! –dodał zaskoczony faktem, że zdobył się na komplement pod adresem swojego podopiecznego.

- A bilet kupiłeś? – zapytał rozbawiony mag. – To tylko żart. Częstuj się popcornem, a ja tymczasem wyślę zapraszającą wizję dla następnego. Tym razem będzie to alkoholik...

\* \* \*

Jak co wieczór siedzieliśmy "U Staszka" przy kufelku szczyń dumnie nazywanych tutaj PIWEM. Jak co wieczór dym z papierosów ubijał się w strefie podsufitowej, aby po jakimś czasie spłynąć bogactwem swych błogosławieństw na ludzi siedzących przy stolikach. Jak co wieczór, co jakiś czas, jakiś amator piwa odwiedzał skromny przybytek z wyblakłym napisem "ladies". Wszystko było, jak co wieczór. Także, jak co wieczór wpadł do knajpy... no właśnie, nikt nie pamiętał jego imienia. Wszyscy nazywaliśmy go Mosiek, bo pomimo krzaczastej brody gość wyraźnie charakteryzował się semickim pochodzeniem. Tylko rozwiane siwe włosy nadawały mu dostojny wygląd spragnionego Europejczyka...

Być może nic by tego wieczoru nie było aż takie wyjątkowe, gdyby nie fakt, że Mosiek przyniósł coś owinięte w kurtkę. To coś musiało być cholernie ciężkie, bo chude cielsko Mośka ugięło się pod ciężarem.

- Hej, Mosiek! Znowu skubnąłeś płytę z nagrobka?

- Nie, kurna! Był żech na górze!

Na górze to oznaczało, że w knajpianym sraczu. Trudno się dziwić, że mieścił się na półpiętrze, bo budynek, w którym Staszek otworzył bar był tylko nieco starszy od Mośka... Także nie było nic niezwykłego w tym, że Mosiek tam przebywał - wprawdzie jak sam napis na drzwiach sugerował, przybytek był dla "ladies", ale przecież chłop też człowiek i łać musi, więc chodzili tam wszyscy. Zresztą i tak ostatnia "ladies", która tam była, załatwiała swoje potrzeby jeszcze w czasach Nadzieży Krupskiej...

Tymczasem Mosiek kontynuował.

- No kurna, był żech na tyj górze...Stach! Polej piwa!...

- I co, widziołeś latajonce spodki...? He, he, he!

- Nie, kurna! Rozpiął żech rozpór...

- A tam pewnie nic!...He, he, he!

- Kurna, dej skończyć! No to żech rozpór rozpiął i leja, a tu nagle taka jasność na mnie spłynęła. A joko piękna była! I żech se pomyślał "No, kurna, kojfnąłeś stary i żeś już je w niebiesiech". A tu, kurna, głos mi mówi taki dudniący, że mi daruje wszystkie prawa spisane na kamiennych tablicach... glup, glup, glup!

- Stach, polej mu jeszcze jedno! No Mosiek, to żeś jest teraz ważna persona! No i co było dalyj...?

- No, jak dawali to i, kurna wzięłem! Ino trzy france takie ciężkie były, że jok żech po schodach złożył nazod, to noga mi się omskła i mi się jedna tablica w drobny mak roztrzaśła!

- No, chłopie, szczyńscio to ty ni mosz!

- Mom! Bo jakbych je chcioł łapać, to bych się z tych schodów z tymi tablicami ściępnął, i bez taki niefart to byśta, kurna, gównu tera mieli...!

No i chopy popili, i fajny temat do rozmowy był. A tablice pozostały u Stacha. Są dosyć efektowną ozdobą baru, z czasem być może posłużą jako blat pod brudne kufle... Pewnie chcecie wiedzieć, co było na tych tablicach? Powiem wam – dziesięć prawideł dotyczących życia codziennego człowieka w normalnym, cywilizowanym społeczeństwie... Ja znam je wszystkie, ale czy znacie je wy?

**I. Nie deptać trawników**

**II. Nie wchodzić z lodami**

**III. Nie wprowadzać psów**

**IV. Nie palić**

**V. Nie karmić zwierząt**

**VI. Myć ręce przed jedzeniem**

**VII. Nie dłużyć w nosie**

**VIII. Nie pluć na chodnik**

**IX. Przed użyciem skonsultować się  
z lekarzem lub farmaceutą**

**X. Po odejściu od kasy reklamacji nie  
uwzględnia się**

\* \* \*

Eskulap wpakował sobie do ust. całą garść prażonej kukurydzy.

- Nie masz jeszcze dość? – spytał Pierwiosnek.
  - Całkiem smaczne... – burknął detektyw i dalej przeżuwał popcorn.
  - Ja mówię o projekcji wizji czaro – wirtualnych w szklanej kuli ...
- Detektyw zdawał się nie słyszeć żadnych uwag.
- Wysyłaj zaproszenie dla następnego. Kto tym razem?
  - Faszyzujący polityk średniej jakości...

\* \* \*

W drzwiach stanął dziwny człowiek w białym kitlu.

- Witamy w naszym zakładzie, main Führer.
- Heil! Ładny pałac. Przypomina mi jeden taki w Generalgouvernement, chyba gdzieś koło Warschau...
- Czy życzy pan sobie czegoś?
- Nein, danke.
- Może pan wyjść do ogrodu i spotkać się z innymi....hmmmm....pacjentami.
- Dziękuję. Abtreten!
- Jawohl! Heil!

"Cholera, co się stało? Trucizna okazała się jakimś narkotykiem? Przechwycili mnie pewnie w takim stanie! Ale kto? Komuniści? Nie, oni by mnie rozwalili. Alianci?.... albo Żydzi! Nie! Za oknem słońce, piękna pogoda, ale cóż to za upokorzenie, po stokroć gorsze od śmierci - zamknąć geniusza w domu dla obłąkanych. Chyba wyjdę na świeże powietrze..."

- Bon jour! Pan tu nowy? - zagadał ktoś.
- Uhm - odparł gburowato.
- Wiem, jest panu ciężko. Ja też na początku byłem na NIE. Ale moja hmmmm....terapia dobiega już do końca. Pozwoli pan, że się przedstawię: Napoleon Bonaparte, cesarz Włochów i Francuzów.
- Miło mi – odparł. - Adolf Hitler, Führer Wielkiej Rzeszy Niemieckiej.

"Ale pomylenieć ! Wydaje mu się, że jest Napoleonem !..."



- Przykro mi, nie słyszałem o panu - powiedział cesarz z żalem. – ale proszę się nie martwić. Niewielu jest tu znanych. Ot, taki Lenin, czy Bismarck znanymi nie są, a myślą, że są prawie bogami...

- A Mozarta pan zna? - zapytał złośliwie.

- A i owszem, jest tu. Ale to prostak! Aha, proszę się do mnie zwracać per "Wasza Cesarska Mość". Dawno mnie tak nikt nie tytułował.

- A kiedy Waszą Cesarską Mość zamknęli?

- Och, długo po upadku. Wzięli mnie prosto z wyspy...

"Kompletny wariat!"

- Oho! Nadchodzą! Zaraz mnie wezmą na kąpiel. Gotują nas tu w smole, dźgają widłami, torturują....!

- Ależ oni nas pozabijają...!

- Wodzowie są nieśmiertelni! Poza tym pozostało mi już tylko 55 lat! To przecież już nie dużo - i z tymi słowami Napoleon odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

"Oj, nie dożyjesz kochasiu! Himmlerherrgot, pogoda się psuje! Niebo przybrało dziwny kolor - sino czerwony! Ten barokowy pałacyk wygląda na tym tle zaiście niesamowicie. Oho idą chyba lekarze. Dużo ich, a wszyscy mają białe kitle. Pewnie jakieś konsylium. Zapytam, kiedy mnie wypuszczą."

Upiorne postacie powoli i majestatycznie płynęły w jego kierunku. Gdy były już blisko zapytał:

- Doktorze, kiedy mnie wypuścicie? - zwrócił się do, jak mu się wydawało najważniejszego z nich.

- Po pierwsze: za te wszystkie zbrodnie NIGDY!

- A więc aż do śmierci...?

- Czyżbyś nie słyszał, że wodzowie są nieśmiertelni?...

„Kurka! Skąd on o tym wie?”

- Bo wiem. Po drugie: nie jestem doktorem, jak myślisz. Jestem Lucyfer, którego raczyłeś zanegować. I głównie za to będziesz się smażyć w piekle aż do sądnego dnia!

\* \* \*

Eskulap odpalił kolejnego papierosa.

- Zapalisz? – zapytał czarnoksiężnika.

- Wszystkiego bym się po tobie spodziewał, ale takiej dobroci nigdy. Mimo wszystko dziękuję, nie – odparł z uśmiechem Pierwiosnek. Po chwili rozłożył dłonie i kolejna mała dziewczynka pofrunęła na parter.  
- Złamany człowiek uciekający powoli w nałóg... – dodał widząc w kuli obraz przedstawiający jego nowego klienta.

\* \* \*

(z pamiętnika przyjaciela)

"...Ćpun...Nic więcej o mnie...- to wszystko. Ćpun to szmata. Jestem ćpunem, więc jestem szmatą. Tak, tak! Ćpun to od razu dziwka. I złodziej. Źle, dziwką być nie mogę. Najwyżej cwelem lub pedziem. Nie, to okropne - rozklejam się. To pierwsze oznaki, że on nadchodzi. Nadchodzi WIELKI GŁÓD...

(...) 23.IV.

Ostatnio makiwara mi nie służy, dużo wymiotuję. Podobno to normalka. Lekarz powiedział, że mam wątrobę w kawałkach. No cóż, będzie ze mnie niezły gulasz. (Albo pasztet!) Źart. Słaby żart. No i co z tego? Nic. Wielkie nic. Jeszcze jedno zmarnowane życie. Pozostanie tylko żal i trupi odór. Ku..., miewam dziwne halucynacje. Wzrokowe i słuchowe. Chyba mam szmergla, bo to nie jest ani różowy słoń, białe myszki, krokodyl w krawacie z błogim uśmiechem i przyklejonym doń cygarem.... Nie jest to też olbrzymi pająk czatujący na mnie na szafie. A... może to jest prawda? Ale kto mi uwierzy, mi, ćpunowi z lukami w życiorysie, człowiekowi z kartoteką, według której można ułożyć nową ewangelię? Prędzej by uwierzyli jakiemuś zawszonemu cyganowi.... Tylko, że dziś prawdziwych cyganów już nie ma! Wszystko mi jedno! Nie! Już dość...(.)

17.V

Niecały tydzień temu (a jednak kontynuuję!).... wyszedłem od Jarego. Poczciwy Jary! Dał mi parę centów... Chyba z dziesięć. Celny strzał - za pierwszym razem. Piękny strzał! Cholera, robi mi się gorąco! Oby tylko dojść do przystanku autobusowego. Przy odrobinie dobrej woli można tam przekimnąć nawet całą noc śniąc o dupach. Czasami tylko mentacja się wpięprza. Powoli, bardzo powoli zaczyna mnie brać (mać!). Chyba...eeeeee ...nie pamiętam zbyt wiele. Właściwie nie potrafię powiedzieć, czy to był tylko sen. Odpływam w mrok, odpływam w krzyk...Krzyk! Ktoś wtedy krzyczał (być może ja)!...i byli ONI. Dotykali mnie, przemawiali do mnie... nie, raczej nic nie mówili, ale przecież wiedziałem o co im idzie, nie? Telepatia? Bóg jeden raczy sobie to wiedzieć! O ile istnieje... Pytałem skąd są i czy na ich planecie też jest takie bagno, jak tu... A oni tylko się uśmiechali! Jeden z nich o wiele poważniejszy (on jedyny się nie śmiał) zaprowadził mnie do niewielkiej sali wewnątrz kuli, która tylko z pozoru świeciła. Widać nie wszystko złoto, co się świeci!

Usadowił mnie na fotelu, i chyba zaczął badać mi pamięć. Dziwni, co im po tych śmieciach? Wyniki meczy, słowa kilku kawałków DEZERTERA, tabliczka rozmnażania, mnożenia, czy coś w tym stylu.... Później (widocznie po dokonaniu analizy zebranych odpadów mojej zmurszałej podświadomości) ten ważny przekazał mi, że jestem najciekawszym napotkanym okazem i że moja pamięć (totalne wysypisko!) zawiera bardzo ciekawe rzeczy (stek bzdur!), na jakie jeszcze nie natrafili u innych ludzi. Co do tych właśnie użyli wyrażenia "teraźniejsi". Co to znaczy? Widocznie przybyli z daleka, a zegarki w ich statku spóźniały się o kilkaset tysięcy lat - zgodnie z teorią lotów w hiperczymśtam. A może.... później nic. Nie pamiętam już nic.

## 20.V

Przespałem trzy dni! Tak długo jeszcze nie zdarzyło mi się gnić w betach. Lekarze twierdzą, że to była zapaść. Być może, przez grzeczność nie przeczę. Zapaść... to już druga. Ale jak mówią, do trzech razy sztuka. A jak się znów uda i jak przeżyję trzecią, to do czterech razy. A co! I tak w kółko, aż do znudzenia... albo do finału. Błędne kółko! Trząsałem się jak w febrze, więc kochane łapiduchy zaaplikowały mi Fenactil. (...) Nie wiem jak długo spałem. Najważniejsze, że przypomniałem sobie, co te chuderlaki mówiły! Wyglądało to mniej więcej tak (oczywiście nie jest to wierna rekonstrukcja tej naszej pogawędki, ale zawiera najistotniejsze rzeczy):

- Skąd jesteście? - dopytywałem się. - Z jakiejś odległej planety?

- Nie powinienś wiedzieć, "dziadku"!

"Dziadku"? Czyżbym był już kompletnym wrakiem? A może u nich umiera się młodo?

- Czego chcecie? Dlaczego ja? Tylu tu popaprańców na tym pięknym świecie; nie próbowaliście z innymi?

- Tak, wiele razy. Badaliśmy wiele osobników. Starszych i pozornie bardziej doświadczonych. Ale ich pamięć uległa już postępującej autodestrukcji, a wielu z nich na widok analizera pamięci mówiło coś o jakiejś Marii.

- Co, proszę?

- Nie wiemy jednak, o którą Marię chodzi. Myślę, że o odkrywczynię pierwiastków 84, 88 oraz 112. Widocznie obawiali się promieniowania radioaktywnego. Dziwny ten wasz świat!

- A czy są u was... no te.... zielone?

- A i owszem, my także hodujemy rośliny, pi....

- Ale...

- Wybacz nam, na razie musimy się rozstać.

- Czy jeszcze wrócicie?

- Tak. Jesteś ciekawa jednostką.

Może to i głupie, ale obaj nagle zniknęli. Nawet nie wiem, jakim cudem. Dobrze, że zasnąłem. Przed snem przypomina mi się wiele ciekawych rzeczy....

## 22.V

Wypisali mnie ze szpitala. Znaczy, wyszedłem sobie. Zabrałem zabawki i uciekłem z piaskownicy. Niegrzeczny dzieciak! Ti-ti-ti, bobasku! Wciąż niepokoiły mnie te cherlaki (w myślach oczywiście!). Oni wrócą, a ja chcę, aby rozmawiali także z innymi. Niech się przekonają, że ten świat jest głównie wart, lecz jeszcze nie umiera. Opowiadałem o nich moim znajomym. Uważali to za kawał roku!

"Nieźle sobie załadowałeś, stary" – mówili z uśmiechem. Serdecznym uśmiechem. Niektórzy pokazywali mi kółko i krzyżyk. Na czole. Aż gdzieś koło południa wkur...ny zaczępiłem władzę ludową. A ten przygłup kazał mi chuchnąć! Byłem trzeźwy jak ostatnia świnia, a mimo to zapragnąłem przypier...lić mu w ten głupi ryj... (...)

## 1.VI

Ku...wa mać! Jak ja się tu dostałem?! Wstyd i hańba! To już nie ośrodek resocjalizacji, Monaru, ani nawet stara, pocziwa Gajówka Świbie, ale prawdziwy psychiatryk! Boże, co się dzieje? Ale wystarczy być grzecznym i nie będą bili. Brakuje mi prochów...

## 2.VI

Dostałem ataku hysterii. Pielęgniarsz, stary, ale jeszcze dość silny człowiek (sam to odczułem!) poleciał po doktora K.(...) Poczułem, że wracają mi siły; rozerwałem krępujące mnie pasy i podbiegłem do okna z chęcią wyrwania kraty. Ktoś położył mi rękę na ramieniu - odwróciłem się, aby uderzyć. To byli oni.

- Zabierzcie mnie stąd, proszę - wyszeptałem.

- Właśnie to chcemy zrobić. Przyjdziemy za godzinę, bądź gotów.

- Dokąd?

- Do naszego świata. Wiemy, że znasz sposób, środek, przywracający ludziom niesamowite szczęście, przywracający sny. My nie umiemy tego wytwarzać.

- Dlaczego?

- Nasz świat ginie. To także twój świat, świat twoich potomków i pra-pra-prawnuków. Po wielkiej wojnie jednym ze skutków mutacji była zbiorowa apatia społeczeństwa oraz brak snów. Ty znasz coś, co może przywrócić nam sny i radość życia. Chodź z nami, a dostaniesz wszystko, czego tylko zapragniesz.

W tym momencie zgrzytnął w zamku klucz. Wszedł pielęgniarz, a gdy zobaczył dwóch znikających cherlaków, błyskawicznie się przeżegnał (cóż za niesamowity refleks!), by znów szybko zniknąć za drzwiami. Teraz siedzę i piszę. Nie martw się o mnie mamó; wiem, że wyrzekłaś się mnie, ale w głębi serca wciąż się martwisz o swoje dziecko. Nareszcie mam szansę zrobić coś dobrego dla ludzi. Muszę już kończyć, zaraz przyjdą."

\* \* \*

- Wielce osobliwe – detektyw wypuścił kolejny kłęb dymu. – Że też muszą przychodzić sami wykolejeńcy...

- Mój drogi Eskulapie, tacy ludzie najczęściej pytają o sens życia, a gdy nie znajdują odpowiedzi, pogrążają się w nałogu jeszcze bardziej.

Wontorek zaciągnął się głęboko dymem.

- Ciekaw, kto wymyśla te niestworzone historyjki do wizji?

Pierwiosnek puścił oko dając znak, że to prawie tajemnica.

- Średniej klasy pisarzyna układa nam ośnowę, po pół krugeranda od jednego story. Reszta to już sprawa indywidualna. Przecieki synaptyczne i te sprawy...

- Kto teraz?

Czarownik uśmiechnął się błogo.

- Tym razem miła odmiana: komunikacyjny obmacywacz.

Piąta skrzydlata kobietka pomknęła w kierunku drzwi.

\* \* \*

Franc piękny nie był. Nie był też bogaty. Zawsze sobie wyobrażał, że pieści piękną kobietę w swoim luksusowym mieszkaniu, lecz gdy przychodził świt, budził się sam w kawalerce na parterze obskurnego familoka. Często chodził po ulicach i rozmyślał: "kurna, jak fajno by było być niewidzialnym! Można by se ze sklepu pobrać to i owo, a i co ładniejsze baby by można podmacywać bezkarnie. Ino cza by czopki-niewidki. Ale by było, cobych jo jom miał....!". No i Franc wyobrażał sobie seksowną brunetkę w minispódniczce, która zachodzi od tyłu, łapie za krągłe piersi, zatyka jej usta jedną ręką, drugą zaś wkłada jej do majtek...

Wtedy też okazywało się, że w zamyśleniu sam trzymał grabę w swoich majtach, co odrobinę źle wyglądało na ulicy. W końcu Franc nie wytrzymał - rzucił robotę na grubie i udał się daleką podróż poszukać bajkowej czapki - niewidki. Przebył siedem gór, chociaż mógł je obejść. Przeplłynął siedem rzek, chociaż mógł przejść po mostach. Wypił siedem piw, chociaż mógł więcej... Dość, że u kresu wędrówki dotarł do jaskini króla Dzikich Gór Harcu. Pełen bojaźni wszedł do środka, gdzie natknął się na niewielki kufer...JEST! Oto ona! Czapka - niewidka! Porwał szybko kufer i w pośpiechu udał się w powrotną drogę, a wędrował przez dni siedem. Dotarł do swojej kawalerki w obskurnym familoku i otworzył kufer. Blask rozszedł się dookoła. Powoli z namaszczeniem uniósł oburącz czapkę do góry, obejrzał dokładnie i powoli nałożył na głowę. Od tej chwili obmacywanie uchodziło mu bezkarnie. Stał się NIEWIDOMYM.

\* \* \*

Całe biuro spowijała siwa mgła, gdyż Wontorek kopcił jak smok. Pierwiosnek otworzył okno, następnie wydobył z szuflady ciemno zielony atlas i przykrył nim szklaną kulę.

- Jak to? – zapytał zdziwiony policjant. – Miałeś sprowadzić sześć czaro – wirtualnych wizji, tymczasem jak do tej pory rzuciłeś tylko pięć czarów...?

Czarnoksiężnik kontynuował procedurę bezpiecznego zamykania systemu.

- Ależ Eskulapie! Myślisz, że oszukuję? – uśmiechnął się tajemniczo mag.

- Znam cię aż za dobrze.

- Nic z tego. Było sześć czarów – wstał i począł zbliżać się do zaskoczonego detektywa. – Popatrz sam!

\* \* \*

Wontorek poczuł nagle, jak ktoś go delikatnie tłucze otwartą dłonią po pysku.

- Eskulapie! Eskulapie, pobudka! – otwierając oczy zobaczył pochyłającego się nad nim czarnoksiężnika. – Wstawaj, za trzy minuty otwieram, a mam jeszcze pięć wizji do sprowadzenia na moich gości...

- O cholera! – śledczy złapał się za głowę. – Znowu mnie nabiłeś w butelkę!

- Przecież sam chciałeś, nie pamiętasz? – uśmiechnięty od ucha do ucha czarownik złożył dłonie i powoli rozsunał. Pomiedzy nimi pojawiła się malutka skrzydlata postać o twarzy detektywa.

- Specjalnie dla ciebie przerobiłem kod źródłowy zaklęcia – wyjaśnił Pierwiosnek. Tymczasem malutki, skrzydlaty Wontorek podleciał zręcznie do wciąż oszołomionego swojego większego i bardziej realnego odpowiednika z radosnym okrzykiem:

- I co? Matematyka nie kłamie!

\* \* \* \* \*  
\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*SESZELE* – oficjalnie Republika Seszeli, małe wyspiarskie państewko na samym środku oceanu; *SZWAJCARIA KASZUBSKA* – autentyczna miejscowość na Kaszubach; *WONTOREK* – pan Wontorek był przedwojennym mieszczaninem, grubym, rubasznym typem w meloniku i wiecznie niedopiętym fraku. Nie istniał naprawdę, lecz był bohaterem niezliczonych żartów, dowcipów i komiksów; *MOSIEK* – zdrobnienie od Mojżesz; *LENIN* – Włodzimierz Ilicz, polityk sowiecki, twórca i pierwszy wódz Związku Radzieckiego; *BISMARCK* – Otto von, kanclerz, zjednoczył Niemcy, wprowadził germanizację Słowian oraz kulturkampf; *HIMMLERHERRGOTT* – znane przekleństwo niemieckie; *DEZERTER* – kultowa polska punk-rockowa kapela, podobno gra do dzisiaj;

*FENACTIL – popularny środek oglupiający; GAJÓWKA ŚWIBIE – ośrodek resocjalizacji narkomanów w okolicy Pyskowic; GRUBA (jęz. śląski) - kopalnia.*

# SEZON NA PIERWIOSNKA

## Rozdział III: Mundial

*O tym, że bycie Matolem – to brzmi dumie,  
a także o wielkiej miłości samców do futbolu.*

W biurowcu spółdzielni usługowej w centrum New Warsaw City panował mrok. Wszystkie biura były już opuszczone, wszystkie, za wyjątkiem jednego. Na trzynastym piętrze jeszcze paliło się światło. Był to ewenement w skali krajowej, gdyż ludzkość, pomimo niesamowitego rozwoju cywilizacyjnego stała się dosłownie z dnia na dzień potwornie przesądna. W wielu biurowcach, megafamilokach, hotelach i innych budynkach nie można było zetknąć się nawet z pojęciem „trzynaste piętro” lub „pokój numer trzynaście”, w innych były to zazwyczaj pustostany, w których nie chcieli się nawet za dopłatą rozgościć ani bezdomni, ani ktokolwiek inny... Wyjątek stanowiło trzech mistrzów magii, którzy pewnego pięknego dnia zjawili się - i to dosłownie - w wieżowcu należącym do Spółdzielni Usługowej i z marszu objęli całe trzynaste piętro, (ale wystarczyły im dwa pokoje) przez zasiedzenie. A wystarczyło, że siedzieli tam minutę... Po prawie roku działalności czarownicy zajmowali już cztery pokoje, a to ze względu na fakt, że niespodziewanie powiększył się (cytuję wg umowy) „personel pomocniczy” spółki. Co dziwniejsze, interes się rozwijał, kwitł i przynosił zyski. W pewnym momencie zyski były tak wymierne, że komórka spółdzielni czarowniczej przekształciła się w Spółkę z Wielce Ograniczoną Odpowiedzialnością, a już po roku działalności akcjonariusze spółki, czyli cały personel, mogli sobie pozwolić na luksus posiadania własnych gruntów. Wybór padł na Seszele. Te Seszele. Nie jakieś tam Seszele Sandomierskie. W związku z nagłym przyływem dóbr materialnych czarownicy nie musieli już ciężko pracować na swój chleb powszedni, dlatego też powierzyli firmę Pierwiosnkowi, bratankowi jednego z czarowników.

Pierwiosnek miał mnóstwo zalet: był młody, przystojny, inteligentny... i miał tylko jedną wadę – niesamowity talent do pakowania się w kłopoty, co zaowocowało stałym nadzorem policyjnym pod postacią upierdliwego starszego detektywa Eskulapa Wontorka.

\* \* \*

Eskulap od kilku dni chodził absolutnie przybity. Nie robiło na nim wrażenia dosłownie nic; ani wizja dżdżownicy w kanapce, pływające oko w kawie, trójwymiarowe projekcje w wazonach na kwiaty, gadający śledź z puszki... Z początku Pierwiosnek przypisał ten stan nagłemu uodpornieniu się śledczego na jego złośliwe kawały, lecz po kilku dniach nabrał przekonania, że Eskulapa dobija coś z zewnątrz. Cała sprawa wyjaśniła się w dniu Saturna, kiedy to do



firmy wkroczył bardzo dobrze rozpasiony olbrzym w granatowej marynarce z kilkukolorową wstążką nad klapą.

- Witam szanownego gościa w moich skromnych progach...- zaczął mag, ale nie dane było mu dokończyć.

- Cześć – wypalił olbrzym. – Czy mistrz Pierwiosnek może mnie przyjąć? Sprawę mam – ruchem głowy wskazał na Wontorka skulonego w apatycznym transie przed holowizorem.

- Wszyscy Święci! – zaklął ordynarnie policjant na widok niecodziennego gościa.

- Wypraszam sobie! – zachnął się zaskoczony przybysz. – A cóż pana szanownego w mojej obecności tak bulwersuje?

- Wstążka z kolorami klubowymi! – jęknął detektyw i powrócił do tępej kontemplacji programu holowizyjnego.

- Coś Mistrz dziś nie w sosie, widzę – rzekł grubas. – Przyjmie mnie pan?

- Właśnie mistrz pana przyjął – odparła beznamiętnie kwintesencja apatii zapatrzona dalej w holowizor.

- Mistrzu... – zaczął gość, lecz i jemu nie dane było skończyć.

- Panie, co mi tu pan, tego tamtego. Pierwiosnek to ten szczypior za biurkiem. On tu pana wpuścił!

Olbrzym zbaraniał.

- Przepraszam za mojego przyjaciela... – zaczął czarownik nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi!...

- ...Prawdopodobnie cierpi na nosówkę. To taka choroba wynikła z nostalgii, wie pan...

- To oczywiste – odparł równie bzdurnie skołowany gość. – Moja sprawa jest nader delikatnej natury. Widzi pan, jestem prezesem klubu futbolowego „WC Matouy”...

- Banda szmaciarzy!... – warknęła powtórnie nostalgia.

- Niech się pan nie martwi – uspokoił gościa czarownik. – Ja jestem czarownikiem i uważam to za normalne; ba, nawet nie muszę się z tym kryć...

Olbrzym pokręcił przecząco głową.

- Pan mnie nie zrozumiał. Jestem wręcz dumny z prezesowania Warsaw Club „Matouy”. Mój problem to moja drużyna...

- Przesrali wszystkie spotkania z drużynami trzecioligowymi! – apatia znów dała o sobie znać.

- Dosadnie powiedziane, ale pański towarzysz dobrze to ujął – z westchnieniem przyznał czerwony na twarzy prezes.

Mag wychylił się zza biurka.

- Słyszałeś Eskulapie? Jesteś szczytem taktu i dyplomacji. Napije się pan czegoś?

- Nie, dziękuję.

Czarownik postanowił delikatnie przejść do sedna sprawy.

- Czego pan, drogi prezesie, oczekuje?
  - Pomocy.
  - Proszę, więc przybliżyć sprawę...
- Olbrzym rozsiadł się wygodnie.
- Treningi, niezależnie od tego, czy są przeprowadzane na krytych boiskach, czy w symulatorach, wykazują, że moi chłopcy są w szczytowej formie.
- Z pokoju obok doleciał cichy jęk.
- Tymczasem – ciągnął olbrzym – podczas spotkań prawie nic im nie wychodzi. Ataki są mało skuteczne, obrona złamanego krugeranda nie warta.
  - Popieram! – wyrzuciła z siebie apatia.
  - Proszę mu wybaczyć. Pan Wontorek przygotowuje się do mistrzostw świata w upierdliwości.
  - Najgorsze jest to, że pański przyjaciel ma absolutną rację – przyznał kwaśno działacz.
  - Nie jesteśmy przyjaciółmi! – przypomniał detektyw.
  - Przepraszam w takim razie... - prezes nachylił się nad biurkiem i zniżył głos do szeptu. – To, kim jest ten dżentelmen tak bardzo przejęty losem mojej drużyny?
  - Naszej drużyny! – coś potwornie zajęczało z pokoju obok.
  - Mój kurator sądowy, śledczy Eskulap Wontorek. Prywatnie najbardziej zagorzały kibic pańskiego klubu.
  - Uhm! – mruknął olbrzym ze zrozumieniem. – To jak, mistrzu?
  - Przyjmuję sprawę.
- Prezes odetchnął z wyraźną ulgą.
- Rozumie się, że koszta nie grają roli.... Spodziewam się pana jutro o dziewiątej trzydzieści, tuż po porannym treningu – mruknął porozumiewawczo i z zadziwiającą lekkością popłynął do windy kłaniając się lekko gospodarzowi. Kiedy tylko drzwi windy zamknęły się za nim, Eskulap zaczął powtarzać dzisiejszy repertuar.
  - Szmaciarze!
  - I to cię tak boli? – mag usiadł wygodnie na kanapie. – Mimo wszystko wybacz mi Eskulapie. Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie jako rozwrzeszczanego szalikowca. Kiedy „Matouy” grają jakiś mecz?
  - Dziś o piątej – odparła apatia za Eskulapa.
  - Jak obstawiasz?
  - Przeszrą sromotnie! To będzie pogrom, gwóźdź do trumny!
  - No ładnie! Co powiesz na to, że pójdziemy sobie na mecz? Pan prezes stawia. Nagle Wontorek poderwał się z miejsca tak energicznie, że jego apatia nie zdążyła wstać razem z nim i została siedzieć w fotelu.
  - Ty to masz łeb! – ryknął przelatując obok biurka.
  - Dokąd leciszy? – zakrzyknął Pierwiosnek za biegnącym korytarzem detektywem.

- Po wejściówki! Jeszcze zdążę dogonić prezesa.... – jego głos stał się ledwie słyszalny w murach biurowca.

\* \* \*

Tłumu na widowni nie było, co należy uważać za normalne, biorąc pod uwagę ostatnie, błyskotliwe pasmo arcyprzegranych jednej z najlepszych drużyn świata.

Eskulap siedział na trybunie dla honorowych gości ubrany w koszulkę w kolorach klubowych z trąbką kibiców w rękę. Po chwili pojawił się Pierwiosnek z całym naręczem książek i dysków.

- Obejrzałem trzy ostatnie mecze naszych pupilków. Masz, nagrałem specjalnie dla ciebie na dyski krystaliczne.

Detektywowi zalśniły oczy.

- Dzięki. Co prawda to była kiła, ale dzięki za pamięć. Co to za biblioteczka?

Czarownik zaczął przekładać opasłe tomy.

- Almanach futbolu z ostatnich trzech lat, przepisy gry, kodeks sędziego głównego, sędziego pomocniczego, sędziego liniowego, zasady treningu bramkarzy, pielęgnacja sztucznej murawy – poradnik konserwatora.

- Czyli kompendium wiedzy o nowoczesnym futbolu? Po cholere ci ta makulatura? Masz do dyspozycji najlepszą encyklopedię piłki nożnej w tej galaktyce...!

- To znaczy?

- Mnie!

Mag uśmiechnął się pod nosem. Przyznał po cichu w duchu, że od tej strony nie znał jeszcze swojego kuratora sądowego...

- Rozumiem, że chętnie poczytasz mi do poduszki?

Wontorek pokręcił głową z podziwu nad cierpliwością podopiecznego..

- Chyba jednak cierpisz na nadmiar wolnego czasu. No i znalazłeś coś?

- Mam kilka ciekawostek, ale to oczywiście są niejasne przesłanki. O, idzie pan prezes.

Faktycznie, na trybunę honorową z niemałym kłopotem wgramolił się olbrzymi chłop w granatowej marynarce. Usiadł, wyjął notes i zaczął coś notować.

- Czy ma pan rachunek za płótno i tyczki? – zapytał maga.

- Proszę, oto one – Czarownik wręczył mu plik papierków.

- Oczywiście, klub zwraca pełne koszty śledztwa – zapewnił prezes.

- O ile zarobi cokolwiek w tym sezonie na sobie... - dodał zgryźliwie Wontorek.

Działacz zagryzł wargi.

- Chłopcy staną na głowie, aby nie dać plamy do końca! – zapewnił, by po chwili zwrócić się do czarownika. - Doprawdy, nie wiem gdzie pan to pochował i nie mam pojęcia, po jaką cholere musieliśmy wszyscy opuścić na godzinę halę sportową, ale jedno mogę potwierdzić, mianowicie plotki, że działa pan nieszablonowo. Życzą sobie panowie chipsów i popcornu?

- Ja dziękuję – odparł grzecznie Pierwiosnek. – Znając jednak apetyt i zaangażowanie mojego przyjaciela, sugeruję, co najmniej trzy opakowania XXL. Czy przy okazji mogę poprosić pana prezesa o fachowy komentarz spotkania?

- Z dziką przyjemnością – odparł olbrzym i ręką przywołał sprzedawcę popcornu.

\* \* \*

Pierwsza połowa meczu zakończyła się znośnym rezultatem osiem do jednego dla gości. Eskulap siedział nerwowo paląc swoją ukochaną stopięćdziesiątkę, prezes natomiast siedział mocno wbity w fotel dla VIPów.

- Niech się pan nie smuci – pocieszał go czarownik. – W porównaniu z poprzednimi spotkaniami to jest jeszcze bardzo znośne.

- Szmacciarze! – burknęli prawie chórem nerwowość Wontorka i chandra prezesa.

- No, nie przesadzajcie obydwoj! – zaooponował Pierwiosnek.

- Pański przyja... kurator sądowy ma rację – przyznał szef klubu.

- Przychyłam się do wcześniejszej wypowiedzi szanownego pana prezesa i także przyznaję mu rację – dodał Eskulap ze łzami w oczach.

- Cóż nam zostało, oprócz wiary i miłości do naszego klubu! – zawył olbrzym rzewnie.

- Buuuu! – zawtórował mu detektyw.

- Panowie, bądźcie mężczyznami! – ryknął czarownik. – Czy tak zachowują się wierni synowie „Matolów”? No! A teraz poczekajmy aż wszyscy opuszczą halę i pójdą na przerwę.

- A jak nie pójdą?

- Pójdą. Rozpuściłem wśród kibiców plotkę, że zwycięzca pierwszej połowy stawia drinka dla każdego widza... O, proszę: wszyscy wyszli. Zapraszam panów na murawę – i to mówiąc rażno przeskoczył barierkę trybuny honorowej. Zaciekawiony prezes poszedł za jego przykładem, choć o mało, co nie złamał barierki. Pierwiosnek wbiegł na murawę, rozłożył ręce i wymamrotał coś po starosumeryjsku. Atmosfera wokół linii bocznej boiska zaczęła gęstnieć, aż cała widownia skryła się za zasłoną z płótna w różnokolorowe kwiatki.

- Przepraszam za ten idiotyczny deseń. Nie mieli innego materiału w tak dużych belach...

- Bardzo sprytne! – Wyznał prezes ze szczerym podziwem. – Tylko, czego to dowodzi?

- Proszę zauważyć te dziury w materiale po lewej stronie bramki „Matouów”. Prezes zmarszczył brwi z oburzeniem.

- Sprzedali panu bubel! Tym drobnym sklepikarzom nie można ufać! Taki skandal! To się nadaje do gazet! Zaraz pošlę chłopaka z reklamacją...!

- Oj, prezesie – uśmiechnął się mag. – Porządny z pana chłop i nawet uczciwy, ale ni w ząb nie pojął pan zagrożenia! Materiał był pierwszej klasy, reklamacja jest zbędna.

- To, co mam zrobić? – olbrzym rozłożył ręce w geście wyrażającym twórczą niemoc.

- Czy hala jest stale monitorowana podczas spotkania?

- Tak, za każdym razem.

- Proszę mi dać po meczu kopię nagrania na crystal dysku. Mam nadzieję, że godzina jutrzejszego spotkania nie uległa zmianie?

Prezes skinął tylko głową, choć nadal niewiele rozumiał z tego wszystkiego.

\* \* \*

Biuro prezesa było urządzone dość skromnie, pomijając oczywiście kilka szaf pełnych złotych i srebrnych pucharów. Punktualnie o wyznaczonym czasie do biura wszedł Pierwiosnek taszcząc ciężką torbę oraz Eskulap Wontorek, śledczy z zawodu, nadal ze skwaszoną miną wyrażającą niezatarte wrażenie, jakie wywołał wczorajszy mecz.

- Witam panów w moich progach – rzucił uprzejmie olbrzym gestem zapraszając gości do stołu konferencyjnego.

- Pozwoli pan prezes, że się przygotuję – i nie czekając na przyzwolenie gospodarza ustawił na stole mały odtwarzacz dysków krystalicznych, na nim ostrożnie i z namaszczeniem umieścił szklaną kulę. Zapalił dwie świece umieszczając między nimi miedziane miseczki z wodą i solą i przystąpił do skróconej wersji rytuału.

Tymczasem Wontorek rozsiadł się wygodnie w fotelu i wyciągnął z kieszeni paczkę swoich ukochanych papierosów z serii stopięćdziesiąt.

- Niech pan to zostawi – kiwnął mu olbrzym. – To trucizna.

- Jeżeli tylko panu szkodzi... - Eskulap potulnie schował papierosy z powrotem do kieszeni.

- Mam tu o wiele lepszą truciznę – kontynuował prezes. – Z najlepszego rosyjskiego tytoniu! Oryginalna „Biełomorka”!

Detektyw potulnie przyjął gigantycznych rozmiarów cygaro, obciął i odpalił od indukcyjnej zapalniczki prezesa, po czym skinął głową w niemym podziękowaniu. Wokół jego głowy uniósł się kłęb czarnego, żrącego dymu.

- No, panowie truciele! Zapraszam na krótkie wyjaśnienie – Pierwiosnek z uśmiechem zasiadł za biurkiem. – Oto, co mi się udało zaobserwować na dużym powiększeniu. To są wycinki trzech ostatnich spotkań „Matouów”, raczej przykre dla waszych oczu.

Czarownik potarł delikatnie szklaną kulę ręką mruczając coś pod nosem. Kula zaślniła znajomym, błękitnawym blaskiem i jak w ekranie holowizora zaczęły się przesuwać obrazy.

- Spójrzcie panowie na układ rąk bramkarza. Jest podręcznikowy, rzekłbym, że bez zarzutu. A teraz proszę spojrzeć na nadlatującą piłkę. Teoretycznie bramkarz powinien ją bez trudu przechwycić, jednakże jak to widać na zwolnieniu, piłka otarła się zaledwie o opuszki palców bramkarza.
- Goal-keeper nie był chyba przekupiony? – przerwał śledczy.
- Nie, choć ten fakt skierował mnie na inny, fałszywy trop. Zapewne słusznie sądziłem, że w sprawę zamieszany jest jakiś inny mag. Wystarczyło narzucić bramkarzowi półsekundową hipnozę, co przecież potrafi byle adept, i już precyzyjny przechwyt był absolutnie niemożliwy.
- Ucho od śledzia. Nasz obiekt jest silnie ekranowany od wszelkiego rodzaju czarów i uroków – burknął prezes.
- Zgadza się – przytaknął Pierwiosnek. – Jednakże zdolny spellhacker mógłby się pokusić o złamanie zabezpieczeń. Pozostawałby mu tylko inny, bardzo trudny do rozwiązania problem.
- Jaki? – Eskulap wypuścił kolejny kłęb czarnego, gryzącego dymu.
- Jak zahipnotyzować kogoś na odległość powiedzmy trzydziestu metrów za każdym razem, kiedy się tego chce?
- ???
- No właśnie. Sprawę wyjaśnił mi prześliczny, kwiecisty materiał. Podczas gdy wszyscy się wynieśli z obiektu, rozciągnąłem z niemałym trudem na wbitych, sześciometrowych tyczkach z utwardzonego polystalu wspomniane, prześliczne płótno. Następnie odprawiłem ceremonię mającą na celu przeniesienie wspomnianej szmaty do podwymiaru. Z tym związany jest fakt, że płótno stało się niewidzialne, natomiast było przenikliwe dla materii opisanych współrzędnymi naszych wymiarów.
- Czyli po prostu zdematerializowałeś je – uśmiechnął się detektyw.
- Wprost przeciwnie! – odparł śmiertelnie poważny czarownik. – Takie rzeczy zapoczątkował dawno temu legendarny David Kotkin, rosyjski Żyd.
- Wolę rosyjski tytoń - strzelił prezes nieświadom, co może oznaczać termin „Żyd”.
- Wróćmy do sprawy. Zasłona, pomimo, że niewidoczna, nadal tam była i proszę mi uwierzyć, że materiał był bez zarzutu, co obrazuje ten oto fragment filmu z kamery sekuritacyjnej nr 2. A teraz na ten obraz naniosę obraz z tej samej kamery, zarejestrowany podczas przerwy. Proszę, są dziury. Faktycznie, stereowizyjna prezentacja przedstawiała dwa nałożone obrazy, przy czym jeden był wzbogacony o nietypową wycinankę.
- Wniosek jest prosty; mamy tu do czynienia z opłaconym kinetykiem, który siedzi na widowni i czasami pomaga szczęściu przeciwników.
- Ucho od śledzia. Ekran – burknął olbrzym zza kłębów dymu.
- Ucho od śledzia. Ustawa Callimana – burknął zza jeszcze większych kłębów dymu śledczy Wontorek.
- Pierwiosnek uśmiechnął się uprzejmie do obu rozmówców.

- Ucho od śledzia, panie prezesie, ucho od śledzia Eskulapie. Razem macie ładną parkę uszu. Od śledzia, ma się rozumieć. Po pierwsze – kinetycy nie posługują się czarami, tylko darem wrodzonym, za który jest odpowiedzialny hormon oznaczony ACTL-2543. Wszelkie zabezpieczenia są nieskuteczne wobec ataku kinetyka....

- ... i w związku z tym – ciągnął Eskulap – każdy kinetyk mógł być potencjalnym mordercą doskonałym. Senator Calliman przeforsował ustawę wymuszającą na i tak nielicznych kinetykach podjęcie pracy na orbitalnych placówkach pozaziemskich. Niech pan pomyśli, jak bardzo ich talenty mogą być przydatne w tak ekstremalnych warunkach.

- To oczywiście było trzynaście lat temu. Do dziś przetrwała tylko jedna stacja na orbicie Júpitera, którą zarządzają kinetycy. Na Ziemi nie pozostał ani jeden. Prezes coraz bardziej się w tych wywodach gubił.

- No to, kto, do cholery jasnej, daje nam tak w dupę? – ze złością zadusił cygaro w popielnicze.

- Kinetyk.

- Przecież przed chwilą mówiliście, że wszyscy odlecieli....!

- Zdolności kinetyczne są dziedziczne. Proszę popatrzeć w kulę. Na obraz przedstawiający zasłonę z dziurami nałożę obraz z ostatniej minuty meczu. Teraz od bramki „Matouów” poprowadzimy linie proste przechodzące przez dziury.

Na ekranie pojawił się szereg różnobarwnych linii, które zbiegły się na widowni w jednym punkcie.

- No proszę. Geometria nie kłamie. A teraz powiększymy ten fragment widowni na stop-klatce...

Punkt zbiegu kolorowych linii powiększał się ukazując powoli ławkę z siedzącą nań małą istotą. Po chwili było już widać, że postać na ławce ma czerwoną sukienkę. W ciągu następnych kilku sekund już zupełnie wyraźnie było widać jasnowłosą dziewczynkę w okularach.

- Dziecko – szepnął prezes.

- Dziecko – dodał Wontorek.

- Dziecko – potwierdził Pierwiosnek. – Dwunastoletnie na oko. Tatusz narodził i polecił, dziecko zostało.

- To wszystko bardzo piękne, mistrzu Pierwiosnek – prezes podparł swoją olbrzymią głowę jeszcze większą dłonią. – Tylko, jaką dziecko może mieć motywację?

- Dziecko żadną. Raczej rodzic – zauważył detektyw.

- Racja, mój drogi Eskulapie. Doszedłem do tego samego punktu. Teraz wystarczyło już tylko dowiedzieć się, kto pociąga za sznurki. Niestety, ten ktoś ma bardzo dobre zabezpieczenia....

- To skąd będziemy wiedzieć, kto bruździ naszemu klubowi? – prezes zmienił podporę.

- Och, odpowiedź można kupić w każdej księgarni sportowej. Oto almanach futbolowy za ostatnie trzy lata – To mówiąc czarownik przedłożył ogłupiałym towarzyszom konferencji otwartą księgę. Obydwaj wpatrywali się w nią z niedowierzaniem.

- Siedemnaście ostatnich spotkań „Matouów”. Wszystkie przegrane.

- I co? – zżymał się prezes.- Chce mi pan wmówić, że każdy z tych klubów zatrudniał tą samą kinolyczkę ?

- Kinetyczkę. Nie. W jednym przypadku faktycznie pańskie „Matouy” zostały rozgromione. Przez drużynę arcymistrzów z KC „Schmacyanka”. I to spotkanie możemy wykreślić z naszej listy. A teraz proszę zerknąć na jeden fakt. Wszystkie z pozostałych klubów mają jednego właściciela...

- Korporacja „MARDI”! – prezes poderwał się z krzesła. – Dobra robota, mistrzu.

- Eeee tam, elementarna dedukcja. Myślę, że pana przekonałem, drogi prezesie. Pozwoli pan, że spakuję swój sprzęt?

I nie pytając o dalsze pozwolenia czarownik przystąpił do zabezpieczania szklanej kuli do transportu.

\* \* \*

Minał miesiąc. „Matouy” odrabiały straty w lidze i powoli przygotowywały się do ogólnokontynentalnego mundialu. Honorarium Pierwiosnka przeszło najśmielsze oczekiwania, tym bardziej, że było po części pokrywane z zysków w zakładach sportowych, do jakich miał prawo klub. Po tylu porażkach i poniżeniach piłkarze WC zaczęli znów dostrzegać, że być „Matouem” to powód do dumy. Eskulap dostał w prezencie duży holowizor o głębokości obrazu czterdzieści cali, przy czym sam detektyw zaproponował ustawienie odbiornika w bocznym pomieszczeniu Agencji Czarowniczej. Czasami się zdarzało, że biednemu Wontorkowi trzeba było amputować holowizor, jak choćby w trakcie trzęsienia ziemi, które miało miejsce w czasie transmisji z kolejnego zwycięskiego spotkania „Matouów”. Pewnego jednak dnia sytuacja uległa zmianie, a to za sprawą listonosza.

- Co to za paczka? – zainteresował się detektyw nie odrywając jednak oczu od kolejnego spotkania ligowego.

- Prezent od przyjaciela – odparła tajemniczo Pierwiosnek. Po czym cichutko wszedł do pokoju i omotał coś wokół szyi zaskoczonego Wontorka. – Szalik w kolorach „Matouów” - to raz. A co powiesz na dożywotnią wejściówkę na mecze twoich pupilków?

Detektyw przez chwilę siedział z miną karpia.

- Ładny karpik – rzucił mag i przyjacielsko klepnął go w plecy. – Prezes w liście dziękuje i wyjaśnia, że matce dziewczynki zostały odebrane prawa rodzicielski. Dziewczynka po kilkudniowym kursie w ośrodku lotów pozaziemskich



poleciała na pokładzie wahadłowca zaopatrzeniowego do placówki badawczej na orbicie Jupitera.

- Czyli posłali ją do getta.

- Z jednej strony masz rację, ale z drugiej jednak lepiej być choćby takim doktorem astrofizyki wśród swoich, niż dziwadłem pośród obcych. Ojciec się nią z pewnością zaopiekuje...

- Muszę ci coś jednak przyznać – detektyw nadal ścisnął w rękach wejściówkę na mecze Matouów”. – Ty to masz łeb!

- A tobie, mój drogi Eskulapie – odparł z uśmiechem Pierwiosnek – już tylko szyja została.

\* \* \* \* \*

\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*NOSÓWKA – bardzo niebezpieczna choroba psów, nie ma nic wspólnego z nostalgią!; DYSKI KRYSTALICZNE – w końcu piszę o przyszłości, a coś musiało zastąpić płyty CD i DVD jako nośnik informacji; BIEŁOMORKA – rosyjskie papierosy składające się z 2 cm czarnego tytoniu i 6 cm tekturowej tutki. Podobno od nich zmarł Stalin....; DAVID KOTKIN – rosyjski Żyd, znany w USA jako iluzjonista Dawid Coperfield; USTAWA CALLIMANA – to taki czarowniczy odpowiednik ustawy McCarthy`ego; MARDI – (franc.) – środa.*

# SEZON NA PIERWIOSNKA

## Rozdział IV: Prezent

*O tym, że aby zostać stwórcą wszechrzeczy,  
nie trzeba być ponad wszystko. Wystarczy być żarłocznym.*

Eskulap jak zwykle emanował kompletnym zaprzeczeniem optymizmu i wydawać by się mogło, że u ludzi jego profesji jest to chyba stan normalny. Jak zwykle także ów słynny detektyw prezentował swoim zachowaniem postawę godną naśladowania, o ile ktoś był akurat szympansem w zoo. Z tą różnicą, że ów wspinały wzór siedział sobie wygodnie w fotelu w siedzibie Agencji Czarowniczej „1001 Życzeń” i wpatrywał się w holowizor, który zresztą był prezentem od zadowolonego klienta. Jednocześnie Wontorek odbębniał ciężką pracę, gdyż sprawował nadzór kuratorski nad młodym czarownikiem Pierwiosnikiem.

Dzień był jak zwykle śliczny, zupełnie jak w jakimś tandetnym opowiadaniu o duperelach nie z tej ziemi, więc klienci raczej nie dopisywali, a znudzony mag wypełniał całą litanię przykazań, jaką zostawił mu gruby wujcio:

1. podlać kwiatki;
2. odkurzyć szklaną kulę i natrzeć pastą antystatyczną;
3. sprawdzić ekranowanie agencji;
4. nakarmić wróbelki.

Przy ostatnim punkcie ktoś dopisał adnotację: „nie karmić szatami rytualnymi!”, co pewnie miało swoje uzasadnienie.

Młodzieniec akurat kończył karmić wiecznie głodne pierzaste straszidła, kiedy z pokoju śledczego dobiegł go, co najmniej rozczarowany okrzyk.

- Pierdoły!...

Wróble poderwały się przestraszone z parapetu.

- Kto? Twoja ulubiona drużyna piłkarska?

- Pierdoły! W holowizji pierdoły pociskają! – wrzasnął detektyw i rzucił kapciem w wyłącznik holowizora, lecz niestety spudłował i przestrzenny obraz spikera „Więści News” zmieszał się z przymglonym wizerunkiem kapcia.

- Nie tak nerwowo – upomniął go mag. – Złość piękności szkodzi.

- Biorąc poprawkę na twoją tezę – Eskulap zapakował sobie w usta jednego ze swoich ulubionych papierosów serii 150. – to monsieur Clickle powinien chodzić notorycznie wkur...ny.

- Wychodzisz?

W pomieszczeniu błysnęła iskra archaicznej, indukcyjnej zapalniczki.

- Tak, a ty bądź tak uprzejmy i siedź na dupie, bo może tego nie zauważyłeś, ale właśnie sprawuję nad tobą nadzór... – zauważył detektyw i naciągnął kraciastą marynarkę.

- Ależ drogi Eskulapie! – zaperzył się czarownik. – Przecież mnie znasz!
  - Znam – przyznał Wontorek. – I tego się właśnie obawiam.
- Nałożył przeciwsłoneczne okulary i wyszedł.

\* \* \*

- Cholera jasna! – z tym okrzykiem śledczy niemalże wturlał się do pomieszczeń firmy jakąś godzinę później. – Nowe okulary! I to za ćwierć krugera!
  - Przeplaciłeś – skwitował rozbudzony Pierwiosnek. – Coś taki wściekły, przecież nigdzie nie wychodziłem, nic nie zbroiłem, nawet nie wykonywałem żadnych czarów... – przeciągnął się i wstał z fotela przed holowizorem.
  - Nowe okulary!... – marudziła kwintesencja optymizmu.
  - Ejże, drogi Eskulapie! – mag nachylił się nad towarzyszem. – Kto ci nabił tą śliwę pod okiem? Znowu wdałeś się w politykę z portierem? Uprzedzałem, że to całkiem krewki staruszek, ale ty mnie słuchać nie chciałeś no i masz za swoje!
  - Baaaaaardzo śmieszne...!
  - No, więc? – dopytywał się czarownik.
  - Co więc?
  - No skąd masz te kolory tęczy w oczodole?
  - Efekt nieudolnie prowadzonej inwigilacji... – Wontorek wsparł się o biurko.
  - Jak się czujesz?
  - Jak podły drink w kuflu po piwie – mruknął Eskulap i wywijając wdzięczny piruet uwalił się na fotelu.
  - Aha, wstrząśnięty, ale niezmieszany. Więc cóż to ci się przytrafiło? – mag rozsiadł się wygodnie na kanapie.
  - W telewizji podawali informację o jednym z ostatnich ukrytych arsenałów broni masowego rażenia... – zaczął detektyw.
  - Aha, pierdoły – wtrącił Pierwiosnek.
  - Dosłownie. Takie arsenały, jak sam wiesz, zostały zlikwidowane ponad sto lat temu – oficjalnie ma się rozumieć. Tajemnicą poliszynszyla był fakt, że ówczesne rządy posiadały takowe arsenały ukryte... – i tu Wontorek zrobił dramatyczną przerwę na odpalenie swojej ukochanej stopięćdziesiątki.
  - Poliszynela.
  - Nie, broni MR. Nikt nie magazynuje poliszyneli.
  - Mówi się „poliszynela” – poprawił czarownik. – Szynszyle to takie króliczki na futerka.
  - Niech ci siedzi – detektyw machnął ręką, bo faktycznie, nie miało to większego znaczenia.
  - Rety, nie kurz tyle! Podusimy się! I co dalej?
  - Co to ja, tego?
- Pierwiosnek zrobił zniecierpliwioną minę.
- Arsenały, rządy, te sprawy.

- No tak; właśnie odkryto podobno ostatni z takich tajnych atutów poprzednich elit rządzących i jak się domyślasz, trzeba go utylizować.

- Oczywiście, zgodnie z przepisami?

- Oczywiście – skwitował śledczy i wypuścił nosem kłęb toksycznego oparu.

Mag zamyślił się.

- No to chyba nie ma z tym problemu?

- Sto osiemdziesiąt cztery główce?! – Eskulap wykrzywił twarz w fałszywy uśmiech.

- No to jest problem. Wiesz, co? Daj zakurzyć, na wszystkich filmach to dobrze robi na nerwy...

Wontorek bezwiednie poczęstował kolegę ciągnąc swój wywód.

- Główce bojowe od ponad stu lat utylizuje się wywożąc kontenerowcami prosto w słońce. Dzięki temu nasza macierzysta gwiazda się regeneruje, co pozwoli egzystować ludzkości jakieś dwieście tysięcy lat ekstra na Ziemi. O mamó, pomyśl, tyle lat na tym zadupiu!

- No to zasilą słońce na pół miliona lat. Faktycznie problem! Pocieszę cię, nie dożyjemy tego... Pożycz zapalniczki.

Detektyw pokręcił głową i podał antycznego Rojona.

- Jeżeli choć połowę tego wysła w kontenerze solarnym nastąpi eksplozja, która rozsadzi słońce! Nie trzeba być solarfizykiem, żeby na to wpaść!

- O Świąty Samaelu! – jęknął Pierwiosnek.

- Co, dotarło do ciebie?

- Nie, to świństwo jest za mocne! – skrzywił się mag i po chwili było widać, że zielenieje na twarzy. – Jak ty to możesz palić?

Eskulap uśmiechnął się z satysfakcją.

- Można się przyzwyczaić. Witaj w klubie lekko chorych....

No i zapadło niezręczne milczenie, które pewnie by się przeciągnęło, gdyby czarownik usiłował skończyć swojego papierosa. Na całe szczęście szybkim gestem zamienił go w długą i dorodną dżdżownicę i wyrzucił przez okno. Po chwili jeden z wróbli złapał robaka w locie.

- No, punkt czwarty litanii wujcia Grubcia wypełniony – westchnął mistrz.

- Co proszę?

- Nic, kontynuuj, bo akurat wracam do życia – to mówiąc przeciągnął się paskudnie do tego ziewając.

- Widzisz, start kontenera przewidzieli na jutro.

- Pocipieli do reszty?!

- O, kolega zaczyna gadać ludzkim językiem! Popatrz jak na ciebie wpłynął twój pierwszy w życiu papieros.

- No tak – czarownik wzruszył ramionami i dodał. – Teraz muszę się odrobinę odchamić. Chyba pójdę do teatru, lub na jakiś wieczorek poetycki... Wiesz, czuję w tym nielichy kant.

- No to masz i czytaj - Wontorek podetknął mu pod nos poranną gazetę.

- Nie widzę w tym nic dziwnego: „Tajemniczy Foxman udaremnia napad na nocny sex-shop. Jeszcze raz tajemniczy bohater w masce udowodnił, że zasługuje na swój przydomek. „Człowiek – spryt”. Po raz....”
- Na drugiej stronie – mruknął Eskulap.
- Co? Korporacja „MARDI” wygrała przetarg na utylizację arsenału?
- Przeliterować? – zapytał zirytowany śledczy.
- Czuję tu kant! I to jak cholera!
- A ja głupi myślałem, że to moje skarpety...
- To swoją drogą, drogi Eskulapie – czarnoksiężnik powracał powoli do swoich normalnych kolorów. – Musimy jutro pilnie obserwować start.
- Mam lepszy pomysł. Pierwiosnek?
- No?
- Zdradź mi, jak ty to robisz, że tak ciągle zmieniasz kolorki?
- Tajemnica poliszynszyla – uśmiechnął się kwaśno mag. – Czy możesz mi gdzieś wypożyczyć fachową bibułę na temat lotów kosmicznych oraz ogólnych założeń rozbrojeniowych metodą utylizacji solarnej?
- Się załatwi – burknął detektyw. I zaciągnął się mocno dymem. – Przynajmniej posiedzisz na tyłku w firmie spędzając czas na pożytecznej lekturze.

\* \* \*

Pilnie strzeżony magazyn korporacji „MARDI” tonął w mroku. Przez uchylony lufcik stróżówki wleciała mała mucha, która zdecydowała się na dość niebezpieczne, nocne loty. Nie zdziwiło to grających w karty strażników, gdyż silne światło zawsze przyciągało wszelkiego sortu robactwo. A szczególnie muchy. Na chwilę okno zasłonił niewielki cień, gdy tymczasem mucha poleciała w głąb olbrzymiej hali magazynowej klucząc pomiędzy ustawionymi tam sprzętami i towarami. Tymczasem cień w krótkiej pelerynce był już w hali i pełzał poniżej okna stróżówki, by po chwili zniknąć w mroku. Przemykał przyczajony między skrzyniami, gdy nagle nad jego głową załopotały włochate skrzydła nocnego łowcy. Nie przeraziło to cienia, jednak zmobilizowało do większej czujności. Wtem tuż nad jego głową zmaterializował się inny, trochę większy cień, by po chwili runąć mu na plecy całym swoim ciężarem.

- Auuu! – zajączał zaskoczony cień.
  - Auuu! – zawtórował mu Pierwiosnek.
  - Co tam jest, do cholery! – wrzasnął zaniepokojony strażnik.
- Zapadła cisza. Cień nachylił się nad magiem i szepnął:
- Miaucz ile pary w płucach!
  - Miauuuuuu! Miauuuuuu! – rozległo się chóralne miauczenie.
  - W dupę jeb...a bryndza! Ale mnie te koty wystraszyły! - rzekł strażnik do kolegi.
  - Daj im się pomarcować – odpowiedział spokojnie drugi. – Chodź, ty zdajesz.

I poszli. Przyczajony Pierwiosnek zaczął obwąchiwać przyczajoną obok postać w śmiesznej pelerynce i lisiej masce na twarzy.

- I co? Będiesz mnie marcować? – zapytał zirytowany Foxman, ochrzczony przez brukowce „Człowiekiem – Sprytem”

- Hmmm! Ten aromat!

- Chyba za mocno w łepetynę oberwałeś przy tym upadku...!

- Stopięćdziesiątki. Któż by pomyślał, że ociężały umysłowo gliniarz Eskulap Wontorek i słynny „Człowiek – Spryt”, to jedna i ta sama osoba.

- Gratuluję spostrzegawczości – rzuciła kwaśno chodząca irytacja. – I pomyśleć, że jesteś mistrzem magii; powiedz jak na to wpadłeś?

- Przez okno, to proste. Odurokuje się ode mnie! – zachnął się mag. - Ja nie inwigiluję przyjaciół!

Tym razem Wontorek nie wytrzymał.

- A kto mi spadł na głowę?! – Po chwili zreflektował się, że było to o pół tonu za głośno, więc dodał zwyczajowo. – Miauuuuuu!

- Pozwól, że wyjaśnię: zmieniłem się w muchę, aby zbadać sprawę, lecz nie przewidziałem ataku wygłodniałego nietoperza.

Śledczy uśmiechnął się ukazując szyderczy uśmiech.

- Nie przewidziałeś naturalnego systemu alarmowego. I pomyśleć, że do tej pory pilnowałem obiadu latającej myszy...

Pierwiosnek popukał się w czoło.

- A nie zapomniałeś czegoś?

- Mianowicie?

- Och, chodź już. Przecież mamy tu sprawę do załatwienia!

Dwa cienie posuwały się w kierunku niewielkiej platformy ustawionej centralnie w magazynie. Na niej pośród czarnych i czerwonych świec spoczywał śmiercionośny ładunek. Tuż nad nim wzniesiony był mały ołtarzyk z miseczkami na sól i wodę, zaś pomiędzy nimi znajdował się niewielki portret.

- Co to z a dupstwo? – spytał „Człowiek – Spryt”.

- Nie wiem, ale widzieliśmy wystarczająco, aby stąd spływać.

- Ejże, nic nie robimy?

- A co? Chcesz ukraść radioaktywne krakersy do jutrzejszego podwieczorku? Mówię ci, spadamy! – i niewiele się namyślając wymamrotał pewną oklepaną, starosumeryjską formułę. Po chwili dwie bzyczące muchy wyleciały przez uchylony lufcik.

\* \* \*

- Dantalian! – wrzasnął Pierwiosnek spoza sterty magicznych traktatów. – Co za idiota wpadł na tak niedorzeczny pomysł?!

- Ja jestem niewinny – mruknął śledczy bawiąc się gumką lisiej maseczki.

- Wiem. Jesteś, mimo wszystko, poza wszelkimi podejrzeniami.

Wontorek strzelił głośno gumką.

- Może tak wyjaśnionko ?
- Dantalian to dość potężny... hmmm... demon w staroczarostwie – mag starał się starannie dobierać słowa, aby były one zrozumiałe dla umysłu zwykłego śmiertelnika.
- Eskulap zmiął w rękach pustą paczkę po swoich ukochanych stopięćdziesiątkach.
- Cholera, fajki się skończyły.
- Pierwiosnek nie zwracał na to uwagi.
- ... zwróć się do tego demona...
- Czyli wystarczy go przebłagać...? – rzucił ospale Foxman.
- Nie w tym rzecz. Dantalian jest bardzo honorowy – to raz. A problem w tym, że zna on wszystkie czasy.
- Ta wiadomość nie wywarła na śledczym oczekiwanego wrażenia.. Wręcz przeciwnie, wzmogła ciekawość.
- ???
- No nie! – czarownik załamał ręce w wymownym geście. – I ty jesteś „Człowiek – Spryt”? Drogi Eskulapie, oni chcą to wysłać w czasie! Pamiętaj, że połączona moc wszystkich głowic może zniszczyć nasz świat raz, a dobrze i to na zawsze – tak przynajmniej wynika z dostarczonym mi przez ciebie materiałów .... Ejże, gdzie idziesz? Masz już jakiś plan?
- Tak – burknął Wontorek. – Idę po fajki i przebrać się w coś normalnego.

\* \* \*

Gdy po godzinie wrócił do siedziby Agencji Czarowniczej, zastał Pierwiosnka pogrążonego w medytacji przed kolejnym bzdurnym ołtarzykiem. Po cichutku wycofał się, więc do drugiego pokoju, gdzie miał nadzieję znaleźć coś na ząb. Nie minęło piętnaście minut, gdy czarownik otrząsnął się z letargu odruchowo kręcąc nosem.

- Po zapachu spalonej gumy i czegoś tam jeszcze poznaję, że już wróciłeś?
- Ummm...! – odpowiedziało mu echo.
- Zastanawiam się tylko, dlaczego akurat korporacja postanowiła zastosować czary, zamiast techniki.
- Bo widzisz – Eskulap wkroczył do pokoju oblizując się jak kot. – Kiedyś się zdarzyło, że znany stróżom prawa pijaczyna, niejaki Fred Gates, wpadł na pomysł, aby wygrzebany ze śmietnika złom elektroniczny posłać w przeszłość swojemu pra-pra-pra-pra-pra-... – pradiadowi. Po wielu podchodach udało mu się zakraść do laboratorium temporalnego i wywołać nieliczne zamieszanie. Człowieku, co to była za jazda! W jednej chwili świat się zmienił i już nie był taki sam!
- Poważnie? – czarownik nie mógł powstrzymać zdumienia. – Nic o tym nie słyszałem.

- Bo dla ciebie historia toczyła się normalnym biegiem, i tylko nieliczni zachowali w pamięci fakt zmiany przeszłości – ciągnął Wontorek. – Kilku geniuszy pracujących w laboratoriach pozawymiarowych zostało pozbawionych możliwości pracy z maszynkami liczącymi, bo po prostu nie potrafili ich obsłużyć. A co się stało, zapytasz zapewne? Już wyjaśniam: procesory z rodziny 6502 i pokrewne wyszły niespodziewanie z użycia, podstawowy język programowania zwany BASIC okazał się nagle wymarły, zaś sam sprzęt zaczął spełniać inne wymagania, niż powszechnie przyjęte. Od tej pory zakazano wysyłania w przeszłość choćby nawet jednej tylko śrubki, bo mogłoby to spowodować nieodwracalne skutki...

- A co z pra – Gatesem?

- Stworzył prawdziwe imperium, które i tak padło – Eskulap wyciągnął kolejnego papierosa z paczki. – Widzisz, a wystarczyło wysłać w przeszłość trochę elektronicznego szmelcu z wysypiska...

- No tak, ale tu ktoś wysyła nam w przeszłość cały arsenał broni masowego rażenia!

- Zakaz dotyczył stosowania urządzeń technicznych – Wontorek rozsiadł się w swoim klubowym fotelu i sięgnął po kolejnego papierosa. – Czary nie były jeszcze wtedy aż tak zaawansowane, lub nikt o nich nie myślał poważnie.

- Czyli korporacja korzysta z luki w prawie?

- ...zdodnie z zasadą, że co nie jest zabronione, jest dozwolone. A że nielogiczne i nieetyczne...

- Hmm... – zamyślił się mag. – To mi nasuwa inną refleksję. Ludzkość nigdy nie dorośnie do rzeczy, które leżą u podstaw działania wszechświata.

- Sam widzisz – Skwitował śledczy, po czym paskudnie mu się odbiło. – Wybacz, twoja zupa była ohydna. Sama gorycz i kwas!

- Jaka zupa?

- Z kociołka, stała na szafce w pokoju obok. Zagryzłem chlebem, jakoś poszło.

- O święty Samaelu! To była mikstura ofiarna! Dużo wyzarłeś?

Wontorek nagle posiniał na twarzy.

- Rety, więc to była jedna z twoich trucizn? – ciężko opadł na fotel. – Zostałem podstępnie otruty!

- Och, najwyżej sraczki dostaniesz! To nie trucizna – wyjaśnił z uśmiechem mag. – To danina ofiarna dla Flaurosa, też demona, który zna wszystkie czasy. Postanowiłem rozproszyć czar magów korporacji, co spowoduje rozproszenie ładunku po wszystkich znanych dotychczas czasach... Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Eskulap pokiwał z uznaniem głową. Ten pomysł miał szansę powodzenia.

- No to do wyboru mamy parę miliardów lat. Fajnie – skwitował. – Bądź spokojny, zjadłem tylko kilka łyżek. Na pewno tej twojej zupy wystarczy – wstał z fotela i sięgnął po kolejnego papierosa z serii stopięćdziesiąt.

- Oby starczyło! – rzekł z obawą mag zerkając na kociołek z miksturą ofiarną.



\* \* \*

Nie wystarczyło. Czar zadziałał tylko połowicznie.

Ponad połowa ładunku trafiła w punkt zero. W chmurze pierwotnego wodoru nastąpiła gigantyczna eksplozja znana dziś jako Big Bang. Stało się światło i Wontorek stworzył wszechświat, czas i przestrzeń. I to było dobre.

Kilka miliardów lat później eksplodował kolejny ładunek. Kosmiczny pył zawirował wokół wybuchu i tak oto Wontorek stworzył Ziemię. I to było dobre.

Kolejna eksplozja spowodowała pierwsze poważne opady atmosferyczne. Ziemia pokryła się wodą, powstały morza i lądy.

Zagubiona w kosmosie część ładunku uderzyła w jedną z największych planet naszego układu. Wytracona z orbity planeta eksplodowała rozpadając się na tysiące malutkich planetoid. Część z nich, wypchnięta poza siły grawitacyjne sąsiedniego Jowisza, poszybowała bezładnie w poszukiwaniu spokoju. Jedna z nich uderzyła w Ziemię, inna w jednego z jej dwóch satelitów. Tak oto nastąpiła zagłada planety Faeton, Ziemia straciła swoje dwa księżyce zyskując nowy wyrwany ze swojego łona.

Kilka głowic wpadło do morza. Wybuch był niewielki, lecz wystarczający, aby wywołać anomalie w prostych związkach chemicznych. I Wontorek dał życie, a planeta zarośla się od zwierząt i roślin różnego rodzaju.

Sześćdziesiąt pięć milionów lat temu zmaterializowała się kolejna część śmiertelnośnego ładunku. Wybuch był tak ogromny, że słońce skryło się w chmurze pyłu na wiele lat. Temperatura gwałtownie spadła, wielkie zwierzęta zaczęły powoli ginąć. Rozpoczął się kolejny akt apokalipsy.

Kilka eksplozji nie było, co prawda, w stanie na stałe zmienić osi obrotu staruszki Ziemi, lecz spowodowało gwałtowne przesuwanie się biegunów. Niektóre lądy pokryły się grubą warstwą lodu na długie lata. Nastąpiła epoka lodowcowa.

Kolejny pocisk przemknął jako kula ognia nad Terra Atlantis mknąc na północ i choć widziało ją wielu, tylko nieliczni mogli poświadczyć, że kometa zwiastuje zagładę. Po kilkudziesięciu minutach trzęsienie ziemi o niespotykanej sile w ciągu pół godziny pochłonęło cały kontynent zamykając nad nim niespokojne fale oceanu.

Pojedynczy ładunek przemknął nad morzem i podążał nieuchronnie ku pustyni. Zaskoczeni trębacze przerwali odgrywanie sygnału do ataku, atakujący żołnierze zatrzymali się w pół kroku. Oto z nieba spłynął grzmot i spadł prosto w serce obleganej, potężnej twierdzy. Runęły mury Jerycha.

Trzech strudzonych mędrców szlachetnego pochodzenia podążało przed siebie przez piaski pustyni. Jeszcze nie wiedzieli gdzie muszą iść i dlatego wyczekiwali znaku od stwórcy. Zagubiona w czasie część arsenału zabłysnęła na niebie niczym świetlista strzała. Przecięła niebo znacząc tor swojego lotu i zgasła nad niewielką wioską.

- To nasz znak od stwórcy! – zakrzyknął Melchior.

- Sławmy imię pana! – zakrzyknęli chórem i podążyli za spadającą gwiazdą.

Wontorek dał im długo wyczekiwany znak. Uszkodzony pocisk spłonął w atmosferze.

1700 lat po tym zdarzeniu inny pocisk runął w wody olbrzymiej zatoki. W wyniku podwodnego wybuchu powstała osiemdziesięciometrowa fala, która zmiotła z powierzchni ziemi stolicę piratów, Port Royal.

Kilkaset lat ziemskich później w atmosferę wszedł kolejny obiekt, lecz jego trajektoria nie pozwoliła mu spłonąć w atmosferze. Powoli jako gigantyczna kula ognia przetoczył się nad Europą mijając z wielkim hukiem kolejne, kruche mocarstwa. Mijając prawie całą Azję runął na ziemię dopiero na Syberii. Potężna eksplozja targnęła powietrzem niszcząc wszystko, co stało jej na przeszkodzie, wybuch był widziany nawet z tysiąca kilometrów, zaś sama fala uderzeniowa okrążyła glob dwukrotnie. Przez następne sto lat grono zapaleńców przeszukiwało pogorzelisko szukając szczątków pozaziemskiego statku, który niewątpliwie rozbił się nad Wielką Tunguską, wkrótce jednak i o tym zapomniano. I tylko wypalone kikuty drzew świadczyły o tym, jak niezwykle prezent otrzymaliśmy od naszych następców.

A wszystko przez żarłoczność śledczego Eskulapa Wontorka.

\* \* \* \* \*  
\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*Przypisy: WIEŚCI NEWS – czarownicza wersja dziennika TV; STOPIĘDZIESIĄTKI – potwornie długie papierosy, w świecie czarowniczym także potwornie kopące; TAJEMNICA POLISZYNSZYLA – Eskulap po prostu przekreślił z przejścia popularne powiedzonko; DANTALIAN – demon średniego szczebla, zna wszystkie czasy; PROCESORY RODZINY 6502 – na tych oto dzielnych prockach chodziły wszystkie komputery ośmiobitowe; BASIC –*

*obecnie archaiczny język komputerowy; FLAUROS – demon średniego szczębla; FAETON – robocza nazwa planety wielkości Jowisza krążącej w układzie słonecznym, która dawno temu, w wyniku kosmicznej kolizji, rozpadła się na miliard planetoid; TERRA ATLANTIS – Atlantyda; PORT ROYAL – piracka stolica na Jamajce zmieciona pod koniec XVII wieku przez tsunami; KATASTROFA NAD WIELKĄ TUNGUSKĄ – do dziś nie wyjaśniona tajemnicza eksplozja obiektu pozaziemskiego, który rozbił się na Syberii w 1908 roku.*

## SEZON NA PIERWIOSNKA

### Rozdział V: Sprawa wagi państwowej

*O tym, że preferujemy rodzime szuje  
i niszczymy to, czego nie rozumiemy.*

Dzień był jak zwykle prześliczny, ale cóż w tym dziwnego, skoro tak było prawie zawsze, szczególnie za dnia. Śledczy Eskulap Wontorek właśnie oglądał kolejny wspaniały mecz swojej ulubionej drużyny w holowizorze, kiedy szklana kula stojąca tuż za nim na biurku rozbłysnęła równie wspaniałym, błękitnym blaskiem.

- Pierwiosnek! – wrzasnął śledczy. – Wyłącz to dziadostwo, bo mi się odbija w ekranie!

- Co ci odbija? – odkrzyknął mag z łazienki.

- Kula ci świeci! Chodź tu i zgaś zbędną żarówkę, a być może poprawisz bilans energetyczny firmy.

Nastała chwila ciszy.

- Nie mogę, mam teraz ważne posiedzenie. Odbierz, to pewnie dzwoni wujcio. Wontorek niechętnie ruszył się z fotela, podszedł do biurka i delikatnie potarł szklaną kulę.

Jego niechęć nie wynikała wcale ze szczególnej sympatii, lub też jakiegokolwiek antypatii do najgrubszego z czarowników, lecz z samego faktu, że nie znosił czarów i nie ufał niczemu, co jest w jakikolwiek sposób z czarami związanym.

- Rety, delikatnie! – wrzasnął Grubcio z wnętrza szklanej kuli. – To cholernie drogi sprzęt!

- Tym razem było delikatnie! – odkrzyknął poirytowany detektyw.

- No dobra, już dobra. Jest mały?

Eskulap skrzywił się kwaśno.

- Niedysponowany po śniadaniu. Tyle razy mu mówiłem, że jabłka nie popija się maślanką!

- Polemizowałbym, ale nie o kulinariach chciałem porozmawiać. Przekaż mu, że Pierwszy miał wizję. Będzie poważne zlecenie i być może kłopoty, więc przybędziemy z prezesem najszybciej, jak się tylko da.

- Dobry pomysł, może odetchnę odrobinę.

- Tylko nie zapomnij! – przestrzegł tłusty mag.

- Przekażę, przekażę. Jak to się wyłącza?

- Potrzymaj kulę – tylko delikatnie! – w odwrotnym kierunku – doradził Trzeci i zniknął.

Po chwili pojawił się już dysponowany Mistrz Pierwiosnek. Po następnej chwili wiadomość została mu przekazana. Po jeszcze jednej chwili do biura wszedł gość o wyglądzie nawiedzonego proroka, w czarnym garniturze. Nie wymagał przedstawienia.

- Jestem senator Mameya Shapiro – rzucił na powitanie nawiedzony prorok w czarnym garniturze. Było to zbędne, gdyż jako wybitnie ultra prawicowy odpowiednik Don Kichota był skłócony z wszystkimi rodzajami i podrodzajami środowisk społecznych, także tych niepolitycznych.
- Kto jak kto, ale pan nie wymaga przedstawienia... – burknął zdeglustowany Wontorek obmyślając, jak tu uciec przed tym oszołomem i jego zakulisowymi gierkami.
- Pan Pierwiosnek? – zapytał senator grzebiąc po kieszeniach. Po chwili wyciągnął jakiś dokument napisany na papierze rządowym.
- Starszy Śledczy Eskulap Wontorek – przedstawił się niechętnie i jeszcze bardziej niechętnie błysnął odznaką. – Pierwiosnek to ten młody człowiek za panem.
- Aaaa... to proszę opuścić pomieszczenie. Mistrzu... – zaczął Shapiro lecz zamilkł zaskoczony młodym wiekiem czarownika.
- Ten uśmiechnął się tylko pod nosem i wykorzystał moment zaskoczenia, aby wejść politykowi w słowo.
- Niestety panie senatorze, pan Wontorek musi zostać. Sprawuje on w tej chwili funkcje służbowe, a jeśli wymaga pan dowodu na potwierdzenie mojej tezy, to proszę, na ścianie pomiędzy dyplomami Cechu Czarowniczego wisi decyzja Sądu Niezawisłych o przyznaniu mi nadzoru kuratorskiego w osobie wyżej wymienionego pana Wontorka. Czy się panu podoba, czy nie, pan Wontorek zostaje – palnął chłopak ku przerażeniu detektywa.
- Niech i tak będzie – senator pomachał dokumentem. – Oto orzeczenie Trybunału Stanu o wszczęciu postępowania lustracyjnego... oczywiście agencja zobowiązana jest do całkowitej dyskrecji i codziennych sprawozdań, w związku z czym zostanie przydzielony do waszego zespołu nadzór z Biura Federalnego. Pierwiosnek wziął dokument do ręki. Faktycznie, część pierwsza mówiła o przydziale, lustracji i sprawozdaniach. Ale kiedy dotarł do szczegółów...
- Nie widzę przeciwwskazań... O święty Samaelu! Prezydent Lipido?! Śledczy poderwał się na równe nogi
- Czy pan się dobrze czuje?! – rzekł równie oburzony Eskulap.
- Jak najbardziej – odparł spokojnie nawiedzony prorok z coraz większym obłędem w oczach.
- Przyznaję, że jest pan powszechnie znany z polowań na koty czarownic, ale tym razem to już chyba pan przesadził! O co podejrzewa pan prezydenta? Prorok uniósł ręce do góry w geście błogosławieństwa.
- Historia mnie osądzi i stwierdzi, że mam rację! Prezydent nie jest człowiekiem – jest potworem! – zaczął pan Mameya, lecz urwał równie nagle, bo oto z hukiem otworzyło się okno i do pokoju wleciała całkiem ponętna blondynka na wielkim czarnym kruku.
- Uwaga na holowizor! – wrzasnął przerażony Wontorek.
- Spokojna głowa – rzucił flegmatycznie czarownik. – Wujciu Grubcio specjalizuje się w rozbijaniu dzioba o szafy pancerne. Cześć Charlotto.

- Naprawdę, bardzo śmieszne – z krzywym uśmiechem odparł Trzeci przybierając powoli ludzką postać. – Widzę, że senator już tu dotarł.
  - Tak. I zaczął swoje urbi et orbi – wyszeptał młody mag.
  - Podaj mi telefon.
  - A nie prościej pobawić się tym waszym świecidełkiem? – detektyw wskazał na kulę.
  - Oj, Eskulapie. Ile mam ci powtarzać, że technika czaromultimedialna nie jest jeszcze na tyle zaawansowana, aby połączyć szklaną kulę z modemem molekularnym... Zresztą podróż przez sieć czaro-przestrzenną mogłaby się okazać nader ryzykowna.
  - Aha – przytaknął śledczy udając, że wszystko rozumie.
  - Czy coś jeszcze wyjaśnić?
  - A dlaczego to Trzeci dzwoni? – dopytywał się detektyw.
  - Pytasz jak typowy glina - Pierwiosnek machnął ręką i wdał się w rozmowę z senatorem.
  - Bo tam, gdzie akurat jest Pierwszy telefon jest tylko jednostronny... Chyba właściciel lokalu nie opłacał abonamentu – Trzeci po raz kolejny wybrał numer na Seszele.
- W tym samym momencie senator Mameya Shapiro potrząsnął ręką Pierwiosnka rzucając coś w stylu „My, naród, liczymy na pana!”, odwrócił się na pięcie i zderzył się w drzwiach z umundurowanym policjantem.
- Uważaj, jak chodzisz, krawężniku! – warknął senator zaskoczonemu gliniarzowi i pomknął ku swojemu nawiedzonemu przeznaczeniu.
  - Czy to był...? – wydukał skołowany posterunkowy.
  - Tak, to był! – potwierdził Pierwiosnek.
- Tymczasem policjant z podejrzanym notesikiem w ręku podbiegł do Charlotty.
- Moja droga pani – zaczął konstabl. – złamała pani większość przepisów o ruchu powietrznym. Poproszę o prawo prowadzenia statków grawitacyjnych oraz kartę przeglądu technicznego pani krukopodobnego pojazdu... a właśnie, gdzie on? Przecież widziałem, jak wleciał przez okno?
- Charlotte podała mu wyświechtany dokument.
- Jaja sobie pani ze mnie robi? – zapytał z niedowierzaniem posterunkowy. – Ten dokument wydano ponad czterdzieści lat temu, a pani nie wygląda mi na więcej, niż dwadzieścia pięć! Gdzie pani ukryła pojazd?
  - Czas był dla mnie łaskawy – odparła dziewczyna układając usta w serduszko. – A oto i mój „pojazd”.
- W jednej chwili stojący obok Grubcio zmienił się w wielkiego czarnego kruka, by po chwili przybrać znów ludzką postać. Posterunkowy lekko zbaraniał.
- Oto moje badania lekarskie – wręczył skołowanemu policjantowi plik dokumentów. – No proszę, chciał pan przecież protokoły z badań stanu technicznego pojazdu mojej narzeczonej... Zaręczam, że wszystkie są w porządku, tym bardziej, że ujeżdżamy się często...

- Ależ pączuszkul... – oponowała Charlotta z chichotem godnym blondynki, którą przecież była.

- Kochanie, potwierdź panu, że twój pojazd sprawny...! – nalegał czarownik.

- Oczywiście!

- A tak właściwie to nie przeszkadza panu, że jest pan na trzynastym piętrze? – to pytanie było skierowane do stójkowego. Nic dziwnego, że zbladł.

- Dosyć tego! – przerwał Wontorek wyciągając legitymację służbową. – Starszy śledczy Eskulap Wontorek. Dobra robota, posterunkowy. Gratuluję czujności. Wracajcie do czynności służbowych.

- Tak jest! – zakrzyknął krawężnik uradowany faktem, że może już opuścić to dziwaczne towarzystwo i powrócić do spokojnego wypisywania mandatów na ulicy.

Po chwili obok odłożonej przez Trzeciego słuchawki zmaterializował się Pierwszy.

- Dużo straciłem? Jak mniemam z aury, kłopoty już się zaczęły?

- Cześć ci, o czarowny. Jak podróż po drucie? – jednakże pytanie było raczej retoryczne, gdyż poziom rodzimej telekomunikacji kulał niemalże od wieków, co za tym idzie, podróż tą trasą graniczyła z najgorszym koszmarem.

- Obleci – Pierwszy odłożył na półkę podręczną książeczkę czarów i ruszył do drzwi wejściowych. Nie zdążył nawet złapać za klamkę, gdy do środka wpadła filigranowej budowy kobieta w wielkich okularach, rozrzucając w wyniku zderzenia z masywniejszym prezesem Agencji całe naręcz papierów.

- Przepraszam – wyszeptała i rzuciła się do zbierania dokumentów. Po chwili Eskulap wręczył jej część uratowanych dokumentów, spojrzał jej prosto w oczy chcąc cokolwiek z siebie wydusić, lecz stanął jakby gromem rażony nie mogąc wycedzić ani słowa.

- Widzę, że państwo już poznali moją sekretarkę – powiedział tajemniczy ktoś stojący w drzwiach. – Panna Daisy Bełkotka. Domyślam się, że nie miała czasu na oficjalną prezentację...

- Nie, panie prezydencie – Odparł poważnie Pierwszy. – Witamy w naszych skromnych progach.

Zanim jednak prezydent zdążył usiąść na podsunętym mu przez Grubcia krześle, rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Skrzydło się uchyliło i do środka weszła kruczoczarnowłosa piękność o wschodnich rysach twarzy. Jej czarną koszulę zdobiły czerwone naszywki czarownicy federalnej.

- Markotka! – wrzasnęli niemalże chórem zdziwieni Pierwszy i Trzeci.

- Stokrotka – poprawiła czarownica. – Pani prezydencie, agent federalny Stokrotka Davidov. Mam być nadzorcą procesu lustracyjnego z ramienia biura federalnego.

Prezydent skinął uprzejmie głową. Reszta stała jak skamieniała, za wyjątkiem Pierwiosnka i Wontorka.

- Przepraszam, że tak zapytam – zaczął nieśmiało mistrz. – Czy jest pani krewną panny Markotki?

- Widzę, że się państwo doskonale znacie – uśmiech czarownicy odsłonił rząd białych zębów. – Cóż, Markotka jest kolejnym dowodem przeciw teorii zbieżności charakterów bliźniąt. Zwykła zakała naszej rodziny... Zdarza się nawet w najlepszych rodzinach.

- No to prawie wszystko jasne – uśmiechnął się Trzeci na wspomnienie swojego pobytu w akademiku wraz z Markotką.

- Ejże! – fuknęła czarownica odczytując zabarwienie myśli Grubcia. – Trzy wersy temu mówiłam, że jesteśmy różne!

- Przepraszam – mruknął Grubcio wstydząc się jak tylko potrafił najlepiej. Zapadło niezręczne milczenie. Całą sytuację uratował pewien powszechnie szanowany polityk.

- Przejdźmy do sprawy, bo inaczej to opowiadanie nie skończy się nigdy.

- Pan prezydent ma rację – przyznał Pierwszy. – Co pan proponuje?

- Standardowe przesłuchanie przy użyciu waszego sprzętu kontrolnego. Zgadzam się na obecność mistrza, jako przesłuchującego oraz męża zaufania. Tymczasem panna Davidov i mistrz Pierwiosnek zabezpieczą teren przed obcą ingerencją, natomiast moja sekretarka załatwi stosowne formularze z Ministerstwa Bezpieczeństwa Narodowego. Pozostaje więc pan Wontorek i pani... – polityk wskazał uprzejmie na Charlotte.

- To ja chętnie pomogę pani Bełkotce... – nieśmiało zaproponował Eskulap.

- Znakiem tego zostałaś Charlottą mężem zaufania...

- Chyba żoną zaufania? – przytomnie zauważył młody czarownik.

- Jak zwał, tak zwał. Może być?

- Przyjmuję – blondynka puściła oko. – Prezydentowi się nie odmawia. Czyż on nie jest uroczy?

- Hej, a ja?

- Och, ty jesteś arcyuroczy...

- To chyba normalne! – zachnął się tłścioch. – Ale co ja mam do roboty? Mistrz zrobił marsową minę.

- Grubciu, ty masz misję specjalną: skocz do Clicklego po pączki dla nas wszystkich...

- Z dziką rozkoszą! – Trzeci rażno wskoczył na parapet i spłynął w dół pięter biurowca obrastając powoli w pióra.

- ... tylko nie żęrzyj wszystkich – dokończył szef wychylając się przez okno. – Myślicie, że usłyszał to ostatnie zdanie?

Tymczasem Daisy Bełkotka pozbierała i uporządkowała już wszystkie dokumenty.

- Pani pozwoli, że pomogę – Eskulap odebrał od niej stertę dokumentów. – Proszę, pani przodem.

- Uszy po sobie, maślane oczy... - szepnął Pierwiosnek do Mistrza. – Kto by się spodziewał...?

Tymczasem Wontorek puścił uwagę podopiecznego mimo uszu. Chwycił dziewczynę szarmancko pod rękę i gdy tak przechodzili przez próg patrząc



sobie z tajemniczym uśmiechem w oczy, powietrze w drzwiach nagle zgęstniało i zrobiło głośnie puffff! W powietrzu zawisła srebrzysta banieczka wsysając Wontorka i prezydencką sekretarkę.

- A niech to Belet kopnie! – zaklął szpetnie Pierwszy rzucając krótkie zaklęcie po starosumeryjsku, w efekcie czego Stokrotka zamarła w bezruchu.

Prezydent chciał coś powiedzieć, ale młody czarownik powstrzymał go gestem.

- To tylko czar paraliżu – wyjaśnił prezydentowi Pierwiosnek. – A teraz sprawdzimy sobie, czy panna Davidov nie przygotowała tej malutkiej niespodzianki...

Mistrz potarł szklaną kulę mrucząc zaklęcia. Po chwili kula rozbłysnęła znajomym, błękitnawym blaskiem ukazując korytarz i portiernię biurowca spółdzielni usługowej. Obraz zaczął delikatnie śnieżyć, co spowodowane było zabezpieczeniami młodej i pięknej czarownicy, która akurat weszła do budynku. Tłustawy portier machnął przyzwalająco ręką. Dziewczyna wysiadła z windy mijając sprzątaczkę i nieśmiało pukając w futrynę weszła w drzwi agencji „1001 Życzeń”.

- Jest czysta – mruknął Pierwiosnek.

Pierwszy pstryknął palcami i już po chwili Stokrotka odzyskała władzę nad własnym ciałem. Od razu próbowała się awanturować, lecz nikt jej nie słuchał.

- Nie rzuciło ci się nic w oczy? – spytał czarownik.

- Portier – mruknął mistrz. – Knappke gdzieś zniknął.

- A ja mam jeszcze coś. Jak długo tu pracuję, nigdy nie widziałem sprzątaczkę na trzynastym piętrze. Kto potrafi dziś używać czaru nirwany?

- Ni... co ? – zdziwił się prezydent.

- Czar nirwany, to ta pułapka, która wchłonęła pańską sekretarkę i mojego marudnego kuratora – wyjaśnił Pierwiosnek. – Przebywających w pułapce ogarnia wszechobecna szczęśliwość, dzięki czemu można ich... lustrować do woli. To bardzo trudny czar. Obawiam się, że był przeznaczony dla pana.

Pierwszy palnął się dłonią w czoło.

- No tak! Księga zleceń!

- Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał mag z pewną dozą niepewności.

- Weź księgę zleceń i odnajdź, komu sprzedaliśmy pułapkę z czarem nirwany.

- Myślisz...? – z niedowierzaniem zapytał Pierwiosnek wertując opasłą księgę.

- Ja to wiem! Tylko czarnoksiężnicy Zielonego Kręgu mogą sporządzić ten czar, a ja jestem jedynym aktywnym. Reszta tkwi w zawieszeniu pomiędzy światami, lub nie żyje.

- Mam! – oznajmił czarownik. – Dwa lata temu sprzedaliście... O rety! Szoferowi tego nawiedzonego oszołoma!

Pierwszy zachowując całą powagę zwrócił się do Myamyana Lipido.

- Panie prezydencie, ze względu na dowody świadczące przeciw Senatorowi Shapiro całe postępowanie można zawiesić.

- Nie ma sensu – odparł smutno prezydent. – Dziś Shapiro, jutro ktoś inny. Lepiej mieć już to za sobą. Zróbmy to raz, a porządnie.

- Dobrze – mag skinął głową. – Pierwiosnek, weź tą uroczą rozwścieczoną damę i zabezpieczcie teren. My tymczasem dopełnimy wszelkich formalności.  
Tak też się stało.

\* \* \*

Wieczorem było już po wszystkim. Protokoły podpisane, oświadczenia złożone, przygotowano pozew przeciw senatorowi Shapiro. Prezydent wrócił do pałacu z prośbą o szybki zwrot sekretarki, która nadal tkwiła z Wontorkiem w nirwanie. Właśnie Pierwiosnek wyszedł z hrabiną Le Blanc po paczki do Clicklego, gdy Trzeci zaczął przygotowywać się do złamania czaru nirwany.

- Tak właściwie to nieżyły oszołom z tego Shapiro...

- Ale miał rację.

- Co?! – Grubcio zakrztusił się z wrażenia.

Pierwszy przyłożył palec do ust.

- Tylko się nie wygadaj!...

- Polegaj na mnie jak na harcerzu! – zapewnił Trzeci.

- Prezydent jest obcym. To, dlatego jest tak świetnie ekranowany i nie można wnikać w jego myśli. Fizycznie nie różni się prawie niczym od nas, jednakże jego umysł nadaje na innych falach. Jest ponadto empatą, ale to już sprawa drugorzędna.

- I jest prezydentem? – dziwił się Grubcio.

- To porządny facet... jego rasa ma zaprogramowaną uczciwość w kodzie genetycznym; to dlatego jest idealny na tak ważnym stanowisku. – zapewnił mistrz.

- To, co on robi u nas? Przecież pod tym względem zawsze będzie tu szambo!

- Jest ostatnim obcym na ziemi. Dawno temu rozbił się jego statek, gdzieś w okolicach jakiejś bazy woskowej. Podobno przeżył tylko drugi pilot i on, z tym, że pilot nie miał szczęścia i wpadł w łapy wywiadu wojskowego. A naszemu prezydentowi prawie siedemdziesiąt lat zajął sam proces asymilacji.

Trzeci się zamyślił, aby po chwili dorzucić swoje trzy grosze.

- Miałeś rację wystawiając mu świadectwo wzorowego obywatela. Lepszy porządny obcy, niż miejscowa szuja. No i przynajmniej utrzymamy nosa temu oszołomowi z szabelką.

- Jedno mnie tylko martwi: ludzie zawsze chcą zniszczyć tych, których nie chcą zrozumieć....O, już są paczki.

Do biura weszła Charlotta targając ciężką torbę znakomitych łakoci.

- A gdzie Pierwiosnek? – zapytał Grubcio.

- Poszedł na romantyczną randkę z pewną młodą i piękną czarownicą.

- A wiesz, że to nawet pasuje? – Pierwszy po przyjacielsku walnął Trzeciego w plecy.

- Co? Paczki na podwieczorek?

- No, Pierwiosnek i Stokrotka.

- Hmmm.... No tak. Ładne kwiatki. Czekaj, mam już kod twojego zaklęcia...  
W powietrzu coś błysnęło, huknęło i na podłodze pojawiła się klęcząca Daisy z leżącym obok Eskulapem, przy czym głowa detektywa spoczywała na kolanach panny Bełkotki.

- Przybywamy wam z odsieczą! – z iście operowym rechem huknął tłuszcioch.

- Nie musieliście się aż tak spieszyć – mruknął niezadowolony Wontorek.

- Ależ Eskulapciu...! – westchnęła prezydencka sekretarka.

- Słyszałeś, ależ Eskulapciu?

Pierwszy tylko pokręcił głową z uśmiechem

- Coś mi się wydaje, że pan Lipido stracił sekretarkę – rzucił po chwili mistrz.

- ...albo zyskał zięcia...

- Ładne kwiatki!!! – zgadnijcie, kto się powtórzył.

\* \* \* \* \*

\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*LUSTRACJA – wynalazek prawicowych rządów postkomunistycznej RP; SENATOR – członek senatu, tzw. „izby refleksji”; MARKOTKA DAVIDOV – czarownica odsiadująca wyrok w więzieniu Alca-Primm-Traz. Patrz „Opowieści ze świata czarowników”, rozdział pt. „Bardzo zła księżniczka”; BELET – dość bufoniasty demon niższego rzędu; CZARNOKSIĘŻNICY ZIELONEGO KRĘGU – nie ma czegoś takiego, ale fajnie brzmi, nieprawdaż?*

# SEZON NA PIERWIOSNKA

## Rozdział VI: Paradoks Wontorka

### *O telekomunikacyjnym wandalizmie pro publico bono.*

Skulona postać siedziała naprzeciw nabrzmiałej mordy buldoga na niewielkim, obrotowym krzeselku. Buldog przewracał czerwonymi ślepiami wpatrując się wściekle w podwładnego zza ponad półmetrowej warstwy raportów.

- Czy wyście Wontorek na rozum ciężko zapadli?! Słabujecie na umyśle?! – morda buldoga weszła w fazę intensywnego fioletu. – Przestępstwa wam chyba obrzydły, co Wontorek?!

- Ale panie komisarzu, mój najszlachetniejszy...!

- Ani słowa więcej! – wywarczał buldog.

Na wszelki wypadek śledczy Eskulap Wontorek postanowił się zamknąć, nie koniecznie ze strachu przed pogryzieniem przez wściekłą bestię, ale raczej z obawy przed perspektywą pilnowania krawężników na ulicach New Warsaw City przez następne dwadzieścia lat. Aż do lichej emerytury.

- Co to, do cholery ciężkiej, zielonej jest?! – zapytał po raz chyba już trzeci opasły policjant, powracając w międzyczasie do swojego normalnego, ziemistego koloru skóry. – Czy wam Wontorek mowę odjęło?

- Pan komisarz kazał mi się zamknąć, to i milczę.

- Słusznie! Lepiej już nic nie mówcie i słuchajcie dalej przełożonego. Ten raport – tu buldog palnął pięścią w stos makulatury na biurku – macie sobie powiesić w toalecie.

- Ale komisarzu najwspanialszy, to są dwa miesiące żmudnego śledztwa – Wontorek był bliski płaczu.

- Słuchajcie no – grubas nachylił się nad śledczym. Dopiero teraz Wontorek zauważył w kąciku ust komisarza okropnie wymiętolone szczątki cygara, choć mógłby przysiąc, że przez cały czas, jak szef darł na niego gębę, ta wątpliwa ozdoba była niewidoczna pod zwisającą z pyska pianą...

Tymczasem komisarz nieświadom głupawych myśli podwładnego, kontynuował.

- ...lubię was, jesteście dobrym śledczym, ale węszenie wokół korporacji Mardi nie jest najlepszym pomysłem. Po co wam to?

- Szefie, stoję jak zawsze na straży prawa...

- Wiem! Ja także składałem przysięgę Kojaka! Podobnie jak tysiące innych policjantów w naszym mieście! Ale... - tu buldog przybrał mądry wyraz twarzy zawieszając teatralnie wzrok na niewidzialnej małpie huśtającej się na latarni za oknem. – tu trzeba mieć wyczucie polityczne! Gdybyście je mieli, to byście senatorem zostali! Macie jakąś stałą sprawę do prowadzenia?

- Tak – odparł Wontorek mając na myśli kuratelę sądową nad Pierwiosnikiem, młodym mistrzem magii, obecnie uczciwie zarabiającym na chleb czarami w Spółce z Wielce Ograniczoną Odpowiedzialnością pod wszystko mówiącą nazwą „1001 Życzeń”.

- No to zajmijcie się solidnie swoimi obowiązkami! – twarz grubasa przybrała ojcowski wyraz twarzy i Eskulap dałby sobie głowę obciąć za to, że grymas temu towarzyszący do złudzenia przypominał uśmiech... Gdyby tylko nie te wystające kły! Jasne jednak było, że audyencja na dywaniku u komisarza dobiegła końca.

Z głośnym „Taaak jest!” drzwi do gabinetu komendanta zatrzasnęły się za śledczym Wontorkiem.

Teraz wystarczyło tylko zadzwonić i uspokoić nerwowego notabla z Senatu. I z tą myślą buldog sięgnął po telefon.

- O w mordę! – wymamrotał. – To już trzeci raz w tym tygodniu!

Ze zdziwieniem patrzył na korpus aparatu. Korpus bez słuchawki.

\* \* \*

- Masz?

- Mam – odparł Wontorek pchając sobie do gęby drugą stopięćdziesiątkę. – O mało mnie ten goryl nie przyłapał!

- To już druga...

- Nie, trzecia. Buchnąłem mu już trzy.

- ...druga stopięćdziesiątka w twoim otworze chłonnym – zaśmiał się Pierwiosnek i odwinął słuchawkę z ze strzępów porannej gazety. – Za dużo palisz.

- Bo i robotę mam nerwową - detektyw ciężko opadł w swój ulubiony fotel. - Z jednej strony ten ryczący potwór w roli przełożonego, z drugiej ty w roli nadzorowanego... Sam musisz przyznać: nie mam łatwej służby!

Tymczasem mag postawił na stole szklaną kulę. Na kilka sekund zniknął pod stołem, aby po chwili pojawić się znowu z tekturowym pudełkiem pełnym najprzeróżniejszych przekrojów i kolorów kabli. Pogrzebał w nim przez chwilę mamrocząc coś pod nosem.

- Ja cię przepraszam – odezwał się detektyw robiąc sobie krótką przerwę w zatruwaniu atmosfery swoimi ukochanymi stopięćdziesiątkami. – Co ty chcesz zaczarować? Zwykłe kable?

- ...zero-sześćdziesiąt-trzy..., co proszę? – czarnoksiężnik wyglądał jak w transie.

- Pytam, czy ta przemowa do Ducha Opiekuńczego przewodów jest na poważnie, czy tylko jaja sobie znowu ze mnie robisz? – Eskulap wypuścił kilka zgrabnych kóleczek z dymu. – A może to są jakieś magiczne kabelki...?

- Nie – zdziwił się mag. – Zwykle, miedziane. Odzysk ze złomu po tym jak jeden taki nerwus rzucił w holowizor kryształową popielniczką. Nie wiesz, kto to taki?

Twarz spowita dymem pojaśniała aureolą niewinności.

- Przecież i tak był ze szrotu.... A poza tym dostaliśmy nowy od prezesa klubu!

- Dobra, dobra! A „Matouy” straciły tylko bramkę! O, mam! Ten ma idealny przekrój!

Po czym z uśmiechem na twarzy wyciągnął z pudła cienki kabelek w uroczym kolorze pomarańczy. Odwrócił się na pięcie i wyszedł do sąsiedniego pokoju, by po chwili powrócić w płaszczu liturgicznym.

- Oj, czuję, że będą nielicze czary! – rzucił znad prawie samego filtra Wontorek.

– Do twarzy ci w tym szlafroku.

- Ejże, ejże! – podchwycił radośnie Pierwiosnek. – Eskulapie, ty się wyrabiasz! Kto by pomyślał, że we wszechświecie jest możliwa tak szybka transformacja ociężałego umysłowo śledczego Eskulapa Wu w Chodzącą Złośliwość! Toż to transmutacja godna przemiany gówna w złoto!

- Uczę się od mistrza – odparła Złośliwość i poczłapała z niedopałkiem do kuchni. I prawie w tej samej chwili z kuchni dobiegł jęk zachwytu. – O niech to ciemna śrubka! Gdzie kupiłeś oryginalne CAPUCCINO?!

- Docień, o Złośliwy, moje dobre serce i przyjmij ten oto skromny dar jako znak przyjaźni...

Z kuchni wychyliła się na moment chytra twarzyczka Chodzącej Złośliwości.

- Mam nadzieję, że nie jest zatruta, nie zawiera ani afrodyzjaku, ani twoich mikstur na przeczyszczenie....?

Pierwiosnek postanowił się naburmuszyć, ale poza salwą śmiechu raczej nic mu nie wyszło.

- Długo mi będziesz wypominać te korzenne ciasteczka? Hi, hi, hi! Nie, opakowanie jest fabrycznie nowe!

- A rybka w herbacie w zeszły czwartek?

- Sama wyskoczyła z akwarium! Po jakiego grzyba postawiłeś koło niego szklankę?

- Nieważne! Capuccino warte jest nawet godzinnej nasiadówki w kiblu! – z tym radosnym stwierdzeniem twarz Chodzącej Chytrłości zniknęła za drewnianą futryną drzwi. Tymczasem Czarnoksiężnik dalej dłużył coś przy niewielkim, białym pudełeczku. Po chwili wyciągnął z kieszeni kawałek lustra i odłamał trzecią część. Niepewnie pomacał ręką pod stołem by po chwili wyciągnąć spod blatu białą-szarą, zbitą masę.

Twarz Chytrłości ponownie pokazała błyszczące ślepia zza framugi.

- Dużo dałeś?

- Dwa krugerandy – odpalił mag. – Drogo, ale warto było przepłacić, by mieć z ciebie aż taki ubaw...

- Dobra, dobra! – oburzył się Wontorek. – Co to za kit? – wskazał na trzymany przez mistrza szary zlepek. – Jakaś twoja magiczna mikstura? Smarki z ektoplazmy?

- Moja stara guma do żucia – Pierwiosnek pokręcił z politowaniem głową. - Coś mi świtało, że przylepiłem ją pod stołem... - i z tym radosnym stwierdzeniem wpakował sobie w usta to szaro-brudne coś.

Eskulap stanął poważny w świetle ościeża.

– Dokładnieeeee... - przerzucał kartki w zeszycie raportowym. – Dokładnie pół roku temu.

Z kuchni doleciał ryk zgłodniałego smoka.

- Eskulapciu, czajnik cię wzywa. A guma przecież i tak była moja...

- Słuchaj – śledczy zatrzymał się wpół słowa. Wymownie popatrzył na błyszczący kawałek lusterka – Ty rozbiłeś lustro? O ciemny gwint! Siedem lat nieszczęścia!

- Stać mnie na dobrego adwokata! Załatwi mi tylko trzy i pół! Ej, woda! – poły płaszcza rozchyliły się, by ukazać dłoń dzierżącą naprędce sklecony mechanizm.

- Zalać ci tą twoją kawę? – dobiegło z kuchni.

- To nie kawa! To mikstura magiczna – wyjaśnił mag nadal grzebiąc przy małym pudełeczku. – Zalej.

Po chwili w drzwiach pojawił się śledczy Wontorek dzierżąc ku swemu zadowoleniu dwie szklanki z dwoma różnymi, aczkolwiek cudownymi napojami.

- Coś ty znowu wykombinował? – Eskulap rozsiadł się w fotelu stawiając oba napoje na parapecie okna. Tymczasem Pierwiosnek wyciągnął z leżącej obok stolika torby niewielką książkę, pod wszystko mówiącym tytułem „Zrób te czary” Odon Kwaśnawego.

- Kwaśnawego znasz?

- Nigdy go nie aresztowałem... A powinienem? – skrzywił się detektyw.

- Majsterkowicz, wynalazca, amator. Poświęcił prawie całe życie majsterkując nad różnymi dziwnymi mechanizmami łącząc je przy tym z zupełnie prostymi czarami tak, aby w efekcie uzyskać urządzenia mechaniczne działające dzięki magii. Można by rzec, że jest prekursorem czaromechaniki. Tylko, że tego nie uczą na Sorbonie...

- To milutko – Wontorek skrzywił się jeszcze bardziej. – Tylko, że za to nie można go aresztować. Chyba, że zrobił stuwatowy blaster plazmowy z odkurzacza...

- Z odkurzacza? – zdziwił się Pierwiosnek i zaczął przewracać kartki poradnika

– Z odkurzacza nie da rady, ale jest możliwość z sokowirówki, czosnku i odrobiny rozpuszczalnika do gumy arabskiej. Chcesz, to pożyczę ci tę książkę...

- No dobra, a ty, co majstrujesz? – zapytał Eskulap mocząc niedobitki wąsa w pianie oryginalnego Capuccino.

- Popatrz – oto mamy kulę, znakomity odbiornik. Czuły, selektywny i podatny na najmniejsze wahania stałej czaroprzestrzennej. A teraz to – pierwsza z podwędzonych słuchawek... Nie wstyd ci Eskulapie? No dobra, nie nabzdyczaj się tak! Więc do słuchawki podłączam dwa kabelki o odpowiednim przekroju tak, aby ich naturalny opór elektryczny nie zakłócił impulsów ektoplazmy wytworzonej na styku czarodziejska kula – lustro. Raczej zauważyć, że nie jest to zwykłe lustro – to tak zwane „lustro Czarownicy”. Normalne zwierciadła pokryte są z tyłu srebrem, co gwarantuje piękne, przejrzyste odbicie. Ale to zostało pokryte stopem srebra i złota, ma się rozumieć transmutowanego, dlatego posiada ono dużą wrażliwość na zjawiska paranormalne. Jak zobaczysz, odbicie w takim lustrze ma zabarwienie lekko miodowe. Teraz przetwornik ektoplazmy zrobiony z mechanizmu spustowego zwykłej zapalniczki, no i gwóźdź programu: magiczna mikstura z werbeny i dziegciu, miła w zapachu Beletowi, duchowi średniego kręgu teurgicznego, lecz za to odpowiedzialnemu za plotki. Wystarczy, że teraz wszystko połączę – tfu! – gumą do żucia... wybaczyć, po zakupie „Poradnika” i Capuccino nie starczyło mi na zwykły klej... i oto mamy gotowy zestaw. Teraz skrapiamy wszystko naparem i ....

- ... i już wiem, co się stało z moją zapalniczką – skwitował kwaśno Wontorek obmacując puste kieszenie.

- Palisz – płacisz – zdrowie tracisz. Poświęć trochę dla dobra nauki! – odparł mag, zanurzył trzy palce w czarownej miksturze i pokropił nią słuchawkę. – Patrz i ucz się! Tak się przeprowadza prawdziwe przesłuchanie.

- Nie prościej byłoby pałą? Szybko, bez ceregieli i całej tej magii... a skutek gwarantowany.

- Ejże, ejże! – oburzył się mistrz, choć wiedział, że przyjaciel żartuje. – Eskulap, to jest takie proste, że nawet ty to potrafisz! Posłuchaj....

Szklana kula rozbłysła spokojnie niebieskawym światłem. Wokół wytworzył się obłoczek mgiełki, który zwilżył powierzchnię lusterka. Ze słuchawki potoczyły się treści kolejnych rozmów.

„...Halo, komisarz Wyskrobek przy telefonie. Zamawiam dużą pizzę. Tak zestaw ten, co zwykle. Z korniszonami, śledziem i bitą śmietaną... Aha? ... Tylko niech kucharz nie przesadza z czosnkiem!...”

„...Taaaak?...Dobrze kochanie, odbiorę. Tylko mam nadzieję, że tym razem dobrze wykrochmalą slipy.... Taaaak! Ja też całuję cię w czołko....Pa!”

„...Haloooo!.... Tak to ja:, kiedy w końcu będzie gotowy? .... No wie pan, co?!... Pan wie, kim ja jestem? .... Coooooo? .... Że ja nie wiem, kim jestem?!... Ja sklerotykiem?!?!..... I ja pana też!”

„ ... Z działem kadr..... Tak.... Dajcie mi tu akta Wontorka Eskulapa.... Tak, śledczy...”



Słuchawka zapiszczała i zamilkła. Pierwiosnek odwinął drugą słuchawkę, i podłączył pomarańczowymi kabelkami w miejsce pierwszej. Zanurzył trzy palce w czarownej miksturze na parapecie i skropił nią słuchawkę. Eskulap sięgnął po Capuccino.

„.... halo, panie senatorze, mam to, o co prosił nasz wspólny znajomy.... Dobrze, przyniosę po zmierzchu.... zaraz zapiszę.... Mam. Ja też. .... Pozdrawiam i do zobaczenia w klubie.”

„....Wyskrobek. Dajcie mi tu raport tego grafomana, Wontorka....”

„....halo... Tak, to ja. A kogoście się spodziewali? To przecież moje biuro...! ...Aresztowaliście zboczeńca? .... Że kto? ...Nagi masochista z parku?... Do aresztu! Aha, przypominam, że palowanie w takim przypadku, to nie najlepszy pomysł!...”

„Pizzeria.... To, co zwykle. Podwójnie.”

„.... Dyżurny, wezwijcie mi no tego ... kurdupła.... No, Wontorka!...”

Ze słuchawki dobiegł pisk, co było nieomylnym znakiem, że transmisja dobiegła końca.

- To nie było miłe – skwitował urażony Eskulap. – Chciwe, bezmózgie yeti...!

- Nie ubliżaj ludziom śniegu, bo sam możesz zostać kiedyś jednym z nich, drogi Eskulapie! Zapamiętaj moje słowa! – uśmiechnął się mag i począł podłączać trzecią, ukradzioną słuchawkę. – Najważniejsze już wiemy. Z trzeciej słuchawki raczej nie wydobydziemy nic ciekawego, ale warto spróbować. Chcesz ją uruchomić?

Śledczy z ciekawością dziecka spojrzał na dziwny mechanizm.

- A zaklęcie? – spytał.

- I tu mnie masz! – czarownik ciężko usiadł na pufie. – Nie ma zaklęcia. Wystarczy trzy palce lewej ręki zanurzyć w miksturze ofiarnej i skropić nią przedmiot...

Wontorek z pewną miną i nieskrywanym błyskiem w oku złapał szklanice do prawej ręki, podskoczył do stolika i z radosnym „Hokus-pokus” skropił obficie instalację. Po chwili ze słuchawki zaczął się unosić kłęb czarnego dymu, przy czym wydawała ona odgłos, jak ostro hamujący, stary autobus. Wontorek odruchowo schował się za oparcie fotela. Skonsternowany Pierwiosnek szybkim ruchem ręki wyciągnął pomarańczowe kabelki z urządzenia.

- Na świętego Flaurosa! – zmarszczył czoło mag. – Co się mogło stać? Możesz już wyjść zza fotela, wasza odwaga.

- Schroniłem się tylko na wypadek, gdyby ten twój wynalazek miał eksplodować! – zaooponował ostro detektyw pozostając na wszelki wypadek za fotelem. Po chwili wypełził jednak z bezpiecznego schronienia i porwał szklanę z Capuccino. Pociągnął długi łyk....

- Uuuuugh! – skrzywił się po chwili. – Przez te twoje czary, to nawet mi Capuccino skwaśniało. Ten twój Kwaśnawy chyba maczał w tym palce!

- Wypraszam sobie – odpalił Pierwiosnek. – Odon Kwaśnawy to guru wszystkich eksperymentujących czarowników. Pokaz mi to twoje Capuccino... Eskulap?

- Co?

- Ja to cię chyba w ropuchę zamienię!

- Ale dlaczego? – nadymał się Wontorek.

- A czym skropiłeś trzecią słuchawkę? – uśmiechnął się czarownik wiedząc już, jaka reakcja zaszła pod wpływem Capuccino śledczego Eskulapa Wontorka.

- Cholera! – skrzywił się kwaśnawo detektyw. – Mam nadzieję, że ta twoja mikstura ofiarna nie jest trująca.

- Najwyżej sraczki dostaniesz.

Pierwiosnek począł demontować instalację, kiedy nagle szklana kula rozbłysnęła przyjemnym, niebieskawym światłem. W kuli ukazał się starszy jegomość w fioletowym mundurze.

- Hallo! – starszy jegomość popukał w ekran. – Jest tam, kto?

- Ki demon? – spytał Wontorek unosząc się z fotela po tym, jak opadł nań ciężko przytłoczony widmem rychłego rozwolnienia od nadmiaru czarownych ziółek.

- Portier Knappke – odparł mag, który delikatnie potarł kulę. – Dzień dobry, herr Knappke!

- Mogę do was podjechać?

- Zawsze jest pan mile widziany.

- To ja zaraz tam u was będę...

I jak oznajmił, tak zrobił. Po niespełna minucie otworzyły się drzwi windy, z której wysiadł zasuszony staruszek w fioletowym uniformie. Rażno podszedł do drzwi wejściowych firmy „1001 Życzeń, Spółka z Wielce Ograniczoną Odpowiedzialnością”, które i tak były wiecznie otwarte: po prostu nikt przy zdrowych zmysłach nie wysiadał na trzynastym piętrze, więc nie było się, czego obawiać.

- Witam szanownego kolegę – Wontorek wstał z fotela i skinieniem głowy powitał portiera.

- Ja już dawno w policji nie robię – odparł odrobinę zmieszany staruszek, ale widać było, że słowa Eskulapa mile połechtały jego próżność.

- Ale wszyscy doskonale wiedzą, kto przymknął Kubę – Rozpylacza!

- To miłe – wtrącił się Pierwiosnek. – Ale co pana, panie Knappke przygnało aż na trzynaste piętro?

- A co? – portier uśmiechnął się promiennie. – Myślicie, że stary Knappke to taki bojaźliwy? Nie bardzo wierzę w te ludzkie przesady, a poza tym profesjonalista musi dokładnie znać swoje miejsce pracy. Zresztą dług mam, wdzięczności znaczy się, wobec pana prezesa.

Nie trzeba było być śledczym, żeby znać realia życia. Emerytowanemu policjantowi bardzo ciężko było znaleźć jakąkolwiek miłą i intratną posadkę, aby dorobić sobie do skromnej, mundurowej emerytury. Najwidoczniej Pierwszy, który formalnie nadal był prezesem spółki, maczał w tym palce...

- Panie Knappke, nie ma, o czym mówić – Pierwiosnek odwzajemnił uśmiech. – Wuj pana bardzo ceni za profesjonalizm i nadzwyczajną spostrzegawczość.

- Spostrzegawczość, o właśnie! – ożywił się staruszek. – Obserwuje was jakiś ciemny typ, był nawet u mnie coś podpytać, ale ja to kamień w wodę! Nic!

- Obserwuje?

- Ano, tak. Stoi pod budynkiem i jak wychodzicie, to on coś notuje. Znaczy się, sprawdza was, a nie kogokolwiek innego. Tylko was!

- A dopiero mówiłem o pańskiej spostrzegawczości... - mistrz był zdumiony zdolnościami staruszka.

- He, wszyscy myślą, że stary Knappke siedzi i tylko te durne seriale ogląda.

- Racja – przyznał Eskulap. – Nie doceniają starego lisa. Staż, rutyna, lata pracy!

- Jak go poznamy? – spytał czarnoksiężnik. – Tego szpicla, oczywiście.

- No tak, byłbym zapomniał – portier pacnął się w czoło. – Włączcie sobie podgląd na tym łoo – wskazał na szklaną kulę. – Ustawiłem mój mały komunikator prosto na niego.

- Panie Knappke – śledczy wstał z miejsca. – Jest pan genialny! Napije się pan prawdziwego Capuccino?

- Nie, dziękuję – staruszek skrzywił się we wszystko mówiącym grymasie. – Za bardzo śmierdzi werbeną, a poza tym czas wracać na posterunek. Służba nie druźba! Czuwaj!

I salutując zamaszyście wślizgnął się do windy. Tymczasem Pierwiosnek stał już nad szklaną kulą i mruczał coś po starosumeryjsku. Potarł delikatnie powierzchnię kuli i już po chwili wewnątrz ukazał się młodzieniec w czarnym garniturku i ciemnych okularach.

- Staruszek jest niesamowity! Idealnie ustawił kadr i ostrość!

- Pamiętaj, że pies zawsze będzie psem – dodał śledczy pochylając się nad szklaną kulą. – Ty, ja znam tą gębę!

- Co to za doliniarz?

- Nie doliniarz – Wontorek pokręcił głową. – Gorzej.

- Oświeć mnie. Przecież nie zawsze będę używać czarów do poznania rzeczy oczywistych, nawet dla ciebie. To za drogo kosztuje.

- Nazywają go Immanuel. Jest nieszkodliwy, nie popełnił żadnego przestępstwa; mało tego – nigdy nie mogliśmy go przymknąć. Niemniej to groźny przestępca. Pierwiosnek przysiadł na krawędzi rzeźbionego stolika wpatrując się w kulę.

- To ja już nic nie rozumiem – przyznał faktycznie nic już nie rozumiejąc. – Przestępca, który nie popełnia przestępstw, nieszkodliwy, a obawia się go postrach wszystkich doliniarzy, śledczy Eskulap Stary Zgred Wontorek....

- Nie żartuj sobie teraz – Eskulap przybrał poważny wyraz twarzy. – Ten facet, to oko cyngla.

- Przepraszam, brzmi to jak przedłużacz do klamki.

- To taki nasz żargon – przyznał Wontorek zamyślając się. – Cyngiel to płatny morderca, oko – to jego czujka. Namierza ofiarę.

Eskulap wychylił duszkiem pół szklanki naparu z werbeny nie skrzywiwszy się nawet. Po chwili oblizał wargi i po tym Pierwiosnek poznał, że sprawa jest naprawdę poważna.

- To, jeżeli nie możesz podbić oka, to może warto zablokować cyngiel?

- To nie takie proste! – Eskulap prawie podskoczył, co oznaczało, że sprawę traktował jak osobiste wyzwanie. – Wielokrotnie już próbowaliśmy!

Tym razem Pierwiosnek wziął do ręki szklankę.

- Jest taki dobry? – wypił łyżeczek brązowego napoju. – Ty naprawdę pomyliłeś szklanki. Wiesz, co? Jak na mój gust za dużo słodzisz. Już lepiej sobie zapal tego swojego kopciucha.

- Ograniczam się do czterdziestu dziennie – detektyw wyraźnie się zamyślił. – Gdyby tak ściągnąć tu tego Immanuela i go przycisnąć.... Tylko musiałbyś zrobić to ty, bo ja, jako funkcjonariusz państwowy, nie mogę wykonywać ruchów poza prawem...

- Mam mu gębę obić? – zdziwił się mag. – Z moją posturą?

-To fakt, że masz mięśnie, jak bocian pięty, no, ale ty też podobno jesteś profesjonalistą, więc może go po prostu poczarujesz?

Pierwiosnek wstał, podszedł do szklanej kuli i potarł ją w kierunku odwrotnym, niż zazwyczaj to robił. Kula pojaśniała na czerwono, by po chwili ukazać gładko ogolonego gościa w brązowej skórze ze stójką i z zielonym lokiem nad zadartym nosem.

- Czego dusza pragnie – odparła nonszalancko postać ze szklanej kuli. – A, to ty! Kopę lat.

- Cześć - Pierwiosnek ponownie pochylił się nad kulą. – Potrzebuję waszej pomocy. Gdzie chłopaki?

- Robią kiosk przecnicę dalej...

- Ja tego nie słyszałem! – wtrącił się śledczy Wontorek.

- Kogo to słyszą moje biedne uszy! – zielony loczek uśmiechnął się krzywo. – Śledczy Wontorek! Z nagrania, czy osobiście?

Eskulap po raz kolejny ciężko dźwignął się z fotela i nachylił się nad monitorkiem.

- Drizzt, już ja ci nagram! Czterdzieści osiem ci nagram! Na dzień dobry!

- Pierwiosnek, każ mu się zamknąć, albo zadzwoń później.

- Czekaj – mistrz zakrył kulę dłońmi i obrócił się do przyjaciela. – Drogi Eskulapie, zamknij się z łaski swojej na trzy minuty.

- Ale to przecież młodzieżowy gang! Okradają kiosk!
  - A tam – mag wskazał na plac przed wieżowcem spółdzielni usługowej. – Siedzi jakiś okular zakapiora. To chyba gorsza perspektywa? No to zrób to dla dobra sprawy, proszę cię.
  - Dobra – odparł niezbyt zadowolony detektyw siadając ciężko na fotelu. Po chwili ćmił już swoją ulubioną stopięćdziesiątkę. Kłęby gęstego dymu poszybowały w strefę podsufitową.
  - Załatwione – powiedział do kuli mag przywracając uprzednio fonię. – Słuchaj Drizzt, wisicie mi jeszcze drobną przysługę, o ile dobrze pamiętam.
  - Błogosławiona twoja niepamięć – skrzywił się gostek w skórze ze stójką. – Wiem, pamiętam, swój honor mam. Coś buchnąć dla ciebie?
  - Nie tym razem – mistrz pokręcił głową. – Pokażę ci zaraz klienta, który obserwuje moje biuro.
  - Sklepać mu michę?
  - Nie, ale możecie zrobić skromną zadymę, jak przy buchance. Jak się będziecie szamotać, to możecie go kilka razy kopnąć w dupę, tak przez przypadek niby. Jak już się wkurzy i zacznie was gonić, powyzywajcie go trochę na podpuchę. A potem myk do windy i na trzynaste piętro. Jasne?
  - Łatwizna – po raz trzeci zielony loczek skrzywił się w grymasie naśladującym luzacki uśmieszek. – Załatw z portierem, by nie robił kwasów. To podobno jakiś były pies?
  - Zaraz z nim pogadam – uśmiechnął się Pierwiosnek i po chwili ponownie rozmawiał ze starszym panem w fioletowym mundurku.
- Tymczasem Eskulap dopalał kolejną stopięćdziesiątkę.

\* \* \*

Drzwi windy otworzyły się z wielkim trudem i na korytarz wytoczyła kłębiąca się masa ludzkich rąk i nóg wspomagana okrzykami i tumanem wzniecanego kurzu. Po chwili bezkształtna masa przetoczyła się do drzwi wejściowych Agencji Czarowniczej, by tuż za drzwiami wytracić swój impet. Przed oczekujący Pierwiosnikiem stanął mocno zaskoczony młody człowiek w czarnym, wymiętolonym garniturku i lekko sfatygowanych, ciemnych okularach. Tuż za nim ustawiła się niezwykła trójca: gładko ogolony, szczupły gostek w brązowej skórze ze stójką i zawadiacko wywiniętym, zafarbowanym na zielono loczkiem, dzierzący w dłoni pokrętko od hydrantu ppoż., niewysoki, rozczochrany chudzielec o wybitnie szczurzej twarzy z widocznym skorpionem wytatuowanym na ramieniu oraz równie widocznej brzytwie w ręku i średniej postury elegant w czarnej koszuli zapiętej po samą szyję oraz atrybutem władzy pod postacią kija golfowego Iron200. Pierwiosnek przysiadł na oparciu fotela, zza którego coś podejrzanie się kopciło.

- Witam w moich skromnych progach – rozpoczął z lekkim półuśmiechem. – Cieszę się niezmiernie, że raczył pan wpaść. Nie przeszkadza panu fakt, że znajdujemy się na TRZYNASTYM piętrze?
  - Nnniiiee... - pod gościem wyraźnie ugięły się nogi. Szybki kopniak w tyłek wymierzony przez chudzielca o szczurzej twarzy równie szybko przywrócił go do pionu.
  - Pozwolę sobie, więc – ciągnął mag. – przedstawić moich pomocników. Z zielonym loczkiem Drizzt, od wielu lat szef najgroźniejszego młodzieżowego gangu w New Warsaw City. Jego specjalność to szybka chirurgia plastyczna.
  - Muszę jeszcze dużo poćwiczyć – Drizzt szybko uderzył pięścią w prowizoryczny kastet.
  - Będzie okazja – skłonił się lekko czarownik i gładko przeszedł do dalszej prezentacji. – Niewysoki dżentelmen o szczurzej twarzy stojący za panem, to niejaki Lukas...
  - Lukas Władca Szczurów, jo! – warknęła szczurza twarz.
  - ...specjalizujący się w goleniu. Bez znieczulenia, ma się rozumieć. Trzeci elegant to Mangel – czarny kołnierzyk ukłonił się nisko. – Specjalizuje się właśnie w znieczulaniu, więc doskonale uzupełnia nasz zespół pierwszej pomocy. Proszę wybaczyć, zespołu ostatniej posługi, niestety, nie posiadamy.
  - Czuję się za-za-za-szczycony... - wymamrotał kompletnie skołowany czarny garnitur.
  - A teraz zadam panu kilka pytań i radzę odpowiadać bardzo szczerze – ojcowski wyraz twarzy mistrza nie wróżył nic dobrego. – Po pierwsze, mam tu zespół pierwszej pomocy, po drugie za fotelem ukryłem mój niezawodny wykrywacz kłamstw. Kiedy przestanie buchać dym, znak to nieomyślny, że łyże pan jak pies. A więc mój drogi Immanuelu, dlaczego pan obserwuje agencję?
  - Nnnie obserwuję agencji.... – gość był wybitnie zdenerwowany.
  - A kogo pan obserwuje?
  - Nikogo. Czekam po prostu na kogoś.... – Immanuel nerwowo zerkał przez ramię na zespół pierwszej pomocy.
  - He, he! Mom brzytwę, jo!, jo!, jo! – przypomniał Lukas machając swoją ulubioną zabawką.
  - Dobra, już dobra! – wrzasnął przerażony gość. – Obserwuję jednego gliniarza.
  - Śledczego?
  - Uhm! – padło krótkie potwierdzenie. Tymczasem Mangel zaczął wywijać zgrabne ósemki swoim błyszczącym kijem golfowym.
  - Wontorka?
- Tym razem to dym zza fotela przykuł uwagę wszystkich. Zgęstniał dwukrotnie.
- Po dymie widzę, że jak dotąd jest pan z nami szczerzy – uśmiechnął się Pierwiosnek. – Kto zlecił obserwację?
  - Nie mogę tego powiedzieć!
  - Mangel! Pan sobie życzy znieczulenie...

- Dobra, powiem! – czarny garnitur skulił się odruchowo. - Niejaki Mace, kryptonim „Centaur”, cyngiel korporacji Mardi.
  - Aha! – zamyślił się Pierwiosnek. – Ile wam dają za Wontorka?
  - Trzy tysiące krugerandów...
  - Kiedy będzie akcja?
  - Jak to, „kiedy”? – zdziwił się Immanuel. – Mace wyruszył dwie godziny temu!
  - Słuchaj no! – Mag wstał i podszedł do gościa. – Tracę cierpliwość, bo coś chyba jednak kręcisz. Po co obserwujesz śledczego Wontorka?
  - Patrzę, kiedy zniknie – odpalił zapytany.
  - Zniknie? Kogo ma zastrzelić „Centaur” Mace? I gdzie on teraz jest?
  - Ebenezera Wontorka, lat dwadzieścia trzy. Poszedł do magazynów korporacji.
  - Dość tych bredni – Mag stracił cierpliwość. – Mangel, wyprowadź pana, bo mnie mierz, pan właśnie wychodzi.
- Na twarzy czarnego garniturka widać było wyraźny wyraz ulgi. Mangel złapał go za kołnierz i pociągnął w kierunku windy mrucząc po drodze:
- ... i kochaniutki zapomnij o tej dzielnicy, bo to my tu rządzymy, dobra? – cedząc to przez zęby wrzucił gościa do windy. Zanim zamknęły się drzwi, świsnął posrebrzany kij golfowy. Mangel wrócił do biura.
  - Chyba go nie zabiłeś? – zaciekawił się Pierwiosnek.
  - Uwaliłem mu tylko krawat, ale gość będzie musiał zmienić spodnie...
- Faktycznie; na końcu kija golfowego powiewała niewielka szmatka w kolorze blue bahama.
- No to jesteśmy kwita – Drizzt wyciągnął rękę na pożegnanie. – Ale jak będziesz miał jeszcze kiedyś taki kabaret, to dzwoń. Usługa gratis.
  - He, bosko! – Lukas Szczurza Twarz sprawnym ruchem nadgarstka schował brzytwę. – Nara, pozdro! Jo!
- Mangel tylko skłonił się lekko i wyszedł za towarzyszami. Powoli, majestatycznie odwrócił się fotel odsłaniając śledczego Wontorka z dwoma długąśnymi papierosami w ustach.
- Muszę przyznać, że jak zakopciłeś drugiego, to pomyślałem, że położyłeś już całą sprawę. Rozumiesz coś z tego?
  - Ebenezer to mój dziadek, tylko, że on już z osiem lat nie żyje – Eskulap wyraźnie się zamyślił.
  - Poczekaj! – Czarownik zerwał się na równe nogi, podbiegł do szklanej kuli i wymamrotał kilka prostych formułek. – No tak! Chcą wykorzystać paradoks dziadka!
  - Jaki paradoks? Mów jaśniej, albo po naszemu!
  - Szperałeś wokół korporacji Mardi, tak?
  - Tak – przyznał skwapliwie Wontorek.
  - Komisarz Wyskrobek przekazał komuś twoje akta za pośrednictwem senatora, tak?
  - Tak.
  - Ebenezer to twój dziadek, tak?

- Tak.
- Gdybyś był zwykłym szaraczkiem i tak by było trudno cię sprzątnąć, tak?
- Tak.
- ...ale jesteś policjantem, więc śledztwo prowadziliby federalni przy użyciu wszelkich dostępnych środków, w tym także czarów. Prawda szybko by wyszła na jaw, tak?
- Nudzi mnie już powtarzanie w kółko „tak”.
- ...ale gdyby tak ktoś kropnął twojego dziadka zanim spłodził syna, to nigdy byś się nie narodził, tak?
- Hmmmmmm!
- I oto, mój drogi Eskulapie – triumfował Pierwiosnek. – dochodzimy do sedna sprawy. Pamiętasz aferę rakietową, kiedy to spadłem ci na głowę jak bawiłeś się w zamaskowanego super bohatera w magazynach korporacji Mardi?
- Aha, a potem chciałeś mnie wymarcować miaucząc na całą dzielnicę... Pamiętam!
- Stał tam ołtarz ofiarny demona, odpowiedzialnego za różne czasy. To dzięki niemu można było przesłać coś w przeszłość...
- I myślisz, że posłali Mace`a? – Eskulap zerwał się na równe nogi. – Szybko, bo ten zakapior sprzątnie mojego dziadka!
- Czekaj! – czarownik złapał przyjaciela za ramię i przytrzymał go w miejscu. – Teoria paradoksu dziadka polegała na tym, że podróżnik w czasie cofnął się do lat, kiedy to jego dziadek był młody. Tam niechący powodował śmierć swojego przodka, przez co sam nie mógł nigdy zaistnieć, a więc dokonać podróży w czasie i zabić dziadka. Trochę to skomplikowane, nie? O jednym tylko zapomniałeś – nie wiemy, kogo szukać. Podaj mi rytualne szaty, szybko!
- Masz! – rzut Wontorka był nad wyraz celny. – Mam coś robić?
- Otwórz szarą księgę na stronie piątej – mag przez chwilę zaplatał się w powłóczystą szatę – i recytuj inwokację. Mamy już imię gagatka, więc trzeba tylko rozpocząć rytuał i zaraz go wywołam w kuli....
- Tymczasem śledczy Wontorek z szybkością karabinu maszynowego wypływał już z siebie słowa Inwokacji nieświadom tego, że oto właśnie uczestniczy po raz pierwszy w życiu w poważnych czarach. Kiedy tylko skończył, Pierwiosnek pochylił się nad szklaną kulą spowitą błękitnawym blaskiem. Dookoła poczęły formować się pojedyncze ogniki wyładowań towarzyszących pojawieniu się ektoplazmy, by po dwóch sekundach uformować we wnętrzu szklanej kuli obraz młodego bruneta o surowym spojrzeniu.
- Dobra, mamy go! – wrzasnął Pierwiosnek zrzucając w biegu rytualne szaty. – Do windy!
- Oby tylko nie było za późno! – dodał Eskulap wciskając paczkę stopięćdziesiątek do kieszeni marynarki.



Kiedy już zziębnięci stali w windzie obserwując licznik pięter, nagle ze śledczym Wontorkiem zaczęło się dziać coś podejrzanego. Jego rysy twarzy się zamazały, wszystko się zlało w jedną całość, bo po chwili uformować inną, nową twarz śledczego Eskulapa Wontorka, owszem, podobną do poprzedniej, lecz teraz rysy twarzy były bardziej ostre, co nadawało Wontorkowi urodę lisiej, chytrej mordki.

- Eskulap, odwróć się szybko!

- No, co? – śledczy wykonał szybki obrót. – Zwykła ściana...

- Popatrz w lustro!

- O kur....!

- Wiesz, co to znaczy?

- Urok jakiś?

- Mace dopadł Ebenezera!

- Aresztuję gnoja, jak tylko wróci!

- Nie wróci – wzruszył ramionami Pierwiosnek. – To była podróż w jedną stronę. Kto go niby ma odesłać z powrotem? Czarnoksiężnik zatrudniony w korporacji jeszcze się nie urodził, twój szef Wyskrobek zresztą też.... Myślę, że gdyby „Centaur” o tym wiedział, nigdy w życiu by się nie zgodził.

W tym momencie winda dojechała do parteru. Obaj wysiedli do holu wejściowego nie śpiesząc się już.

- Hej, panowie! – zza kontuaru recepcji wystawała czapka będąca kompletem do fioletowego uniformu. – fajne te wasze chłopaki, sprytnie takie! Ale tego szpicla załatwili!

- Przynajmniej tyle, herr Knappke, przynajmniej tyle! – westchnął Wontorek.

- O, widzę, że zmienił pan wygląd, drogi kolego – uwadze staruszka nic nie uchodziło. – Świetny pomysł! Pomyślałem, że powiesz tu sobie starą fotografię z dni mojej chwały, kiedy to pojмалиśmy Kubę – Rozpylacza....

Staruszek zniknął za kontuarem, by po chwili wychylić się ze starym zdjęciem oprawnym w złoconą ramkę.

- O, ten tutaj podporucznik, to ja! – wypiął dumnie pierś.

- A to, kto? – zapytał Pierwiosnek wskazując na skutego łańcuchami bruneta w granatowej koszuli w prążki.

- Jak to, kto? – zachnął się portier. – Kuba–Rozpylacz, seryjny morderca!

- Mace! – wyrwało się obu przyjaciółom równocześnie. – Tak, to świetny pomysł z tym zdjęciem, herr Knappke, świetny pomysł! – dodał Wontorek.

- Wiesz, co, Eskulapie?

- Hmmm?

- Dzięki tobie – ciągnął mistrz poklepując przyjaciela po ramieniu. – trzeba będzie zmienić podręczniki fizyki temporalnej.

- Możesz sprecyzować? – wypalił zaskoczony śledczy.

- Nie ma już czegoś takiego, jak paradoks dziadka. W przypadku śmierci jakiegoś przodka zastępuje go inny człowiek, bo natura nie lubi próżni, tak, więc straciłeś jednego przodka, ale w jego miejsce zyskałeś innego. Po prostu twoja babka wyszła za kogoś innego. Zmiana rysów twarzy, to potwierdzenie faktu, że otrzymałeś dawkę innych genów. Nie mniej, nadal jesteś Eskulapem Wontorkiem. I za to cię lubię.

- To, co? Od dziś mamy Paradoks Wontorka? – zapytał policjant i wpakował sobie w usta kolejną stopięćdziesiątkę.

\* \* \* \* \*

\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*PRO PUBLICO BONO – (łac.) dla dobra publicznego; SZKLANA KULA – jeżeli nie wiesz, co to jest i do czego służy przy czarowaniu, to idź dalej bawić się w piaskownicy; ODON KWAŚNAWY – wielki ukłon w kierunku Adama Słodowego, guru wszystkich majsterkowiczów; CZAROPRZESTRZEŃ – przestrzeń, w której możliwe są czary. Zajmuje około 99,9999999999 % wszechświata; BELET – demon średniego rzędu; KUBA – ROZPYLACZ – seryjny morderca działający z użyciem broni maszynowej.*

# SEZON NA PIERWIOSNKA

## Rozdział VII: Stara moneta

*O królu przeklętym, którego uratować  
mogła tylko solidarność międzypokoleniowa.*

Pamiętam to prawie tak dobrze, jakby to było dosłownie wczoraj. Mając niecałe pięć lat bawiłem się w rogu piaskownicy sypiąc łopatką piaseczek na czerwone siteczko wydarte brutalnie z kompletu foremek o różnych kształtach. He, z foremkami to mi się kojarzy mój kumpel, który dwanaście lat później usiłował być dowcipny i powiedział jednej panience przy kości, że się z nią nie bawi, bo ma brzydkie foremki. Potem jedna foremka podbiła mu oko, druga o mało nie udusiła, kiedy biedak dostał się w zasięg morderczych i niezbyt czułych ramion..., dlatego pomny, że foremka może być przyczyną zguby, z należąną czcią wspominam moje wspaniałe, dziecięce zabawki. No, więc siedziałem sobie w tej piaskownicy jeszcze nieświadom faktu, że foremki mogą być i brzydkie, i ładne, i fascynujące – i grzebałem sobie w tym piaseczku. Wczoraj go przywieźli, więc był czyściutki, ładniutki i całkiem fajnie sypki. Piasek leniwie przesiąkał przez siteczko tworząc podręcznikową pryzmę o naturalnym kącie obsuwu, co mnie jako dzieciaczka nudziło już po pierwszych trzystu kilogramach piaseczku, ale sami przyznacie, że dla dziecka to lepszy odmózgawiacz, niż cztery telestwory, z korciągami na głowach. Dochodziłem już, niestety nie do wielkich pieniędzy, a raczej do wprawy w przesiewaniu, gdy o siteczko coś brzęknęło. Grudka piasku się rozsypała i ze środka wyleciał zielony pieniążek. Szybko pozbierałem swoje zabawki i poleciałem do domu pochwalić się nietypowym, bądź, co bądź, dla dzieciaka znaleziskiem. Ojciec z miną znawcy popatrzył na zaśniedziałą monetę i powiedział, że jest to stara moneta niemiecka z roku 1875. Nic mi to nie mówiło, poza tym, że z Niemcami gonili się czterej pancerni w czołgu, ale gdy usłyszałem, że mój pieniążek jest starszy od mojej prababci, to takie przedstawienie sprawy wywarło na mnie ogromne wrażenie. Od tej pory minęło sporo ziarenek czasu w siteczku wszechświata, ja wydroślałem, zacząłem się interesować innymi foremkami, ale, – o czym nie wiecie – właśnie od tego czasu wszystkie stare pieniążki z należąną czcią chowałem do drewnianego pudełka po szachach. I tak oto doszliśmy do czasów, kiedy to wagowo moje pieniążki stały się cięższe ode mnie, a ich liczba miała już trzy zera na końcu – i pomimo, że każdy z nich był niezwykle na swój sposób, bo przecież każdy reprezentował jakąś część historii ludzkości, ten jeden jedyny, naprawdę niezwykle pieniążek właśnie odbywał swoją długą podróż, aby w końcu trafić w moje łapki.

- Mam coś dla ciebie! – oznajmił mi na dzień dobry kolega, który akurat dotarł na giełdę staroci.

- He, to się zobaczy! – oznajmiłem wyciągając rękę. – Grabulka! Gdzieś był, jak cię nie było?

- Tu i ówdzie się człowiek wałęsał... - odpalił kumpel od niechcenia. Od razu było widać, że był na wczasach. U rodziny. Na wsi. Podczas żniw.

- Jak się tak dalej będziesz wałęsać, to do prezydentury dojdiesz. Pokaż, coś tam przysmyczył!

- Ładna kopia! – przyznał mój rozmówca z miną konesera grzebiąc po kieszeni spodni. – Sam bym do kolekcji włożył, gdybym coś takiego zbierał.

Po chwili w jego dłoni zaśniła niewielka, mosiężna moneta. Przyjrzałem się: rzeczywiście, jak na kopię, była dość wiernie porysowana, oklepana młotkiem i ładnie wytarta.

- Ile? – zapytałem odruchowo.

- Eeee.... Daj trzy złote i będziemy kwita! – uśmiechnął się kumpel i po tym tajemniczym uśmiechu Momy Lisy było widać, że popołudniem chce po prostu wypić sobie piwko przed telewizorem.

Cóż było robić – dałem mu na to piwko nie przypuszczając nawet, ile mnie to będzie kosztować. Powłóczyłem się jeszcze po giełdzie i w końcu zrezygnowany, – bo tylko z jednym łupem w garści – wróciłem do domu.

Od razu rażno zabrałem się do rozpracowywania mojego nowego nabytku. Na awersie był bardzo wypukły rysunek kogoś – jakby czterdziestoletniej kobiety – w dziwacznej koronie, bo składającej się kilku wież obronnych i murów. Jakieś rozmyte napisy po bokach uświadomiły mi, że nie jest to moneta z obszaru łacińskiego. Postanowiłem zająć się napisami później. Z tyłu mój nowy nabytek posiadał coś, co roboczo określiłem „rzeźbionym taboretom”, bo nic innego mi do głowy nie przychodziło. Pogrzebałem trochę po fachowej literaturze, poprzerzucałem kilka niemieckich, bogato ilustrowanych książek sprzed stu lat traktujących o przeróżnych starożytnościach i w końcu zmęczony powlokłem się do kuchni. Moneta pozostała na biurku pod oknem.

Wieczorem znowu zajrzałem do pokoiku z moimi skarbami. Już zasiadłem przed komputerem ulokowanym na biurku, aby poszukać w sieci wszelkich możliwych informacji o moim nowym nabytku, gdy w całej dzielnicy zgasło światło. I wtedy to zauważyłem – w nikłym blasku wschodzącego księżyca moja moneta miała delikatny, błękitnawy poblask. Dlaczego? Po chwili wszystko wróciło do normy – i mam tu na myśli naszą rodzimą energię elektryczną, – ale wrażenie, że coś to jest nie tak, zostało zasiane jak ziarno i poczynąło kiełkować. Postanowiłem zbadać tą mosiężną podróbkę: kilka kropel kwasu z popularnego środka do czyszczenia sanitariatów powinno rozwiązać moje wątpliwości. Nie rozwiązało – brud z monety zniknął, ale sam materiał powinien lekko zczerwienieć. A tu nic! Wziąłem silne szkło powiększające – no tak,

wżery z zielonym nalotem nie powstają na złotych monetach, więc to jednak podróbka, tylko, że wżery powstają latami! I co teraz? Wpadłem na pomysł, że przecież każda kobieta rozpozna błyskotkę na kilometr, więc dałem mój bezcenny pieniążek za trzy całe złote mojej ukochanej żonie...

\* \* \*

Umówiliśmy się po pracy pod osiedlowym marketem. Z daleka już widziałem jej zadowoloną minę, więc pełen najgorszych przeczuć szybko załatwiłem rytuał buzi-buzi i zapytałem o efekt wizyty u złotnika.

- Mam dla ciebie dwie wiadomości – odpaliła moja ślubna. – Dobrą i złą.

- Oj nie drocz się ze mną! – prychnąłem niczym kot. – Dawaj tą dobrą!

- Twoja moneta jest złota.

- A ta druga? – odruchowo spytałem nie do końca wierząc w swoje szczęście.

Zobaczyłem, jak jej usteczka układają się w serduszko.

- Kupiłam sobie nowe buty!

Prawie zemdląłem.

\* \* \*

Kiedy już doszedłem do siebie, okazało się, że nadal jestem właścicielem starej monety. Była, co prawda, złota, ale nie tak do końca – był to elektron, rzadki stop złota i srebra. To by tłumaczyło te zielone wżery. Cokolwiek by nie powiedzieć innego, była to jednak cenna zdobycz dla takiego niedzielnego zbieracza staroci, jak ja.

Nastał wieczór, rzekłabym, że ten bardzo późny. Moneta schła na parapiecie zabezpieczona bezbarwnym lakierem. Jak co wieczór dopisałem kilka linijek do tandetnego opowiadania, które właśnie tworzyłem, zapisałem wszystko dla potomnych i wyłączyłem komputer. I wtedy stała się rzecz, co najmniej dziwna: spoczywający na biurku stary skalpel chirurgiczny, którego od lat używałem do oskrobywania różnych drobnych zanieczyszczeń z powłok metalicznych zaczął wędrować mi po biurku. Przetarłem oczy, bo wiadomo, że czasami zmęczenie płata różne głupie figle, ale nie! Skalpel nadal kontynuował swoją chaotyczną wędrówkę po biurku. Po chwili zaczął także wirować wokół własnej osi, ale już w towarzystwie dwóch długopisów. Zerwałem się na równe nogi uderzając boleśnie kolaniem o front otwartej szuflady. Zabawa stawała się niebezpieczna, bo do tańca dołączyły nożyczki. Ręką próbowałem powstrzymać długopis. Zgodnie z oczekiwaniami zaległ martwy poddając się mojej woli, lecz po chwili, już uwolniony, rozpoczął taniec od nowa. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do jakiś łowców zjawisk paranormalnych, ale przypomniałem sobie film „Poltergeist” i stwierdziłem, że parapsychole mogą tylko pogorszyć sytuację. Obróciłem się, aby sięgnąć po ciężkie obciążniki pod postacią kilkunastu tomów encyklopedii, gdy zobaczyłem moja nową monetę na

parapecie. W bladym świetle księżycy mieniła się błękitnawym blaskiem wyrzucając z siebie, co jakiś czas miniaturowe błyskawice. Tego już było za wiele! Niewiele myśląc porwałem pierwszą lepszą książkę z półki i nakryłem pieniądze. Tak jak podpowiedziała mi intuicja – wszelki ruch na biurku zamarł. Wygląda na to, że odciąłem źródło zasilania pod postacią światła księżycy. Ale co i dlaczego? Tego mi już moja „kobieca” intuicja nie podpowiadała. Dlaczego użyłem określenia „kobieca”? Jakiś czas temu z nudów wziąłem do ręki tzw. „babską” gazetę, aby sprawdzić, czy faktycznie jest tam tyle ciekawych rzeczy. Fryzury, przepisy, cellulitis, trądzik i ubrane modelki – same nudy. No i obowiązkowy psychotest: „Jaką jesteś kobietą”. Wziąłem ołówek i pozakreślałem odpowiednie kratki. Po szybkim zsumowaniu punktów przeczytałem wynik zaczynający się od słów: „Jesteś, stuprocentową kobietą...”. No i właśnie: to chyba stąd ta intuicja, tym bardziej, że o męskiej intuicji chyba nikt nigdy nie słyszał. Jedno stało się dla mnie jasne: jeżeli chciałem zachować mój nowy nabytek, musiałem się dowiedzieć, co to za tajemnicza siła jest w nim zaklęta i jak się jej pozbyć.

Następnego wieczora z dumą stwierdziłem, że naszukałem się jak głupi po mojej obszernej biblioteczce i nic nie znalazłem. Mało tego – w Internecie też nic. Dzwoniłem do radiestetów, ale ci mi poradzili, abym zadzwonił na jakiś telefon zaufania. Tam z kolei okazało się, że jest to poradnia dla nerwowo i psychicznie chorych, więc stwierdziłem, że to nie dla mnie. Duma mnie z tego powodu rozsadzała, bo być normalnym w dzisiejszych czasach, to coś wyjątkowego, ale efektu poszukiwań jak nie było wcześniej, tak i nie było później. Kicha!

Zrezygnowany przerzucałem od niechcenia książki traktujące o różnych mitologiach, ale tam też nic nie było. Potem przyszła kolej na starożytności – też nic. W końcu bajki i podania ludowe... I wtedy mi coś zaświtało. Szybko odszukałem słownik świata arabskiego. Hmmm! Dżin to poważna sprawa, ale one siedziały głównie w lampach, kufrach i fajkach wodnych. Pomijam te dżiny, które są w butelkach z etykietką informującą o czterdziestu procentach. Dobra, a może Templariusze? Wskazówka zegara przesuwiała się majestatycznie ku godzinie pierwszej, a ja grzebałem po makulaturze szukając czegoś o pieniądzach. Mam! Judaszowe srebrniki, przeklęte monety, które nieczyste spłynęły krwią – stąd też ich nazwa: krwawe srebrniki. Od razu się domyśliłem, że krwawy kolor srebrniki zawdzięczały gigantycznej domieszce miedzi do srebra, gdyż dawniej właśnie tak pomnażano ilość majątku: do kadzi srebra wlewano dwie kadzie miedzi i mieszano. W ten sposób otrzymywano „srebro” monetowe z trzech kadzi. Po wykonaniu – a właściwie wykuciu – cienkiej blachy, kroczy wycinał z niej kółka. Kółka mincerz kładł do stempla w walił młotem w bijnik, ile mu bozia pary w rękach dała. Wychodziła moneta, która była niezbyt estetyczna i zdrowo zabrudzona. Z tym ostatnim radzono sobie tak, że moczono cały ten majątek w roztworze kamienia winnego, przez co

uzyskiwano „wybielenie” srebra. Otrzymywano piękną, srebrną monetę, którą liczarz inwentaryzował i składał w pańskim skarbcu. Jednak proces bielenia był odwracalny – wystarczyło monetę po iluś tam latach w obiegu wrzucić do słabego kwasu, aby uzyskała swój naturalny, srebrno – czerwony kolor. Tajemnicę krwawych srebrników miałem już wyjaśnioną, lecz dlaczego były przekłete? Około drugiej znalazłem w książce „My Cyganie – opowiadania ludowe” krótki tekst o Cygance, która zabiła swojego skąpego męża dla bogactwa. Zadusiła go we śnie, kiedy ten wciąż trzymał sakiewkę ze złotem w rękach. Niestety, pieniądze od tego momentu były przekłete, bo dusza Cygana nie poszła do nieba, tylko zamieszkała w dukatach, które doprowadziły babę do szaleństwa. To tyle w skrócie, ale wiedziałem już mniej więcej, co jest grane z judaszowymi srebrnikami, a co za tym idzie – z moim pieniążkiem. Chwile później padłem – dochodziła trzecia.

\* \* \*

Wieczorem miałem odrobinę szczęścia – księżyc lśnił jak cygańska patelnia, na niebie nie było ani jednej chmurki. Położyłem na biurku kilka długopisów i podniosłem ciężką książkę wciąż spoczywającą na starej monecie. Gdy tylko światło księżyca dotarło do monety, biurowy cyrk ożył na nowo. Szybko położyłem książkę z powrotem na pieniążku i zrobiłem rachunek sumienia: w monecie, która jest mimo wszystko autentyczna, zagnieździła się dusza człowieka, który został zamordowany w momencie, kiedy trzymał tą kasę w ręku. W świetle księżyca z przekłętego przedmiotu emanuje energia, która narasta w funkcji czasu. Od razu pomyślałem o zmajstrowaniu domowej mini-elektrowni, co rozwiązałoby mi wiele problemów z dużymi rachunkami za media, tylko jak taką energię kontrolować? Równie dobrze mógłbym pod biurkiem próbować rozszczepiać atom! Pozostaje teraz problem – jak pozbyć się uwięzionej duszy i odzyskać cenny numizmat? Pierwsza moja myśl – przejrzeć gazety i poszukać ogłoszenia naszych lokalnych ghostbusters. Zapomniałem tylko, że takie numery, to tylko w amerykańskich filmach są możliwe, a jechać do Hollywood w ciemno z nawiedzonym przedmiotem, to chyba zbyt kosztowna i zbyt ryzykowna impreza. Zadzwońłem do redakcji miesięcznika „Czarodziejka”, ale tam automat poinformował mnie, że po naciśnięciu klawisza 1 mogę osłuchać horoskop, po naciśnięciu 2 postawią mi karty tarota, po naciśnięciu 3 w ogóle spadnie na mnie kosmiczne szczęście, i tak dalej. Koszt to jedyne 9,99 PLN plus VAT za minutę. Taniocha! Przestałem rozmyślać o kosmicznym szczęściu, które na mnie spadnie, bo to już na mnie spadło, co zawsze z przekąsem potwierdza żona dając do zrozumienia, że to właśnie ona jest tym nadzwyczajnym darem losu. Postanowiłem dać sobie spokój ze spekulacjami na temat szczęścia; zastanawiałem się tylko, kto mi może pomóc i wreszcie wykombinowałem: czarownik Pierwiosnek, mój pra-pra-pra-do-entejwnuk. Tylko jak się z nim skomunikować? W czarowniczych przygodach

wszyscy używają magicznych luster stałego klienta, tyle, że w moich czasach jeszcze ich nie wynaleziono. Ale moment – wszystkie transmisje i tak trafiają do szklanej kuli! A ja taką kulę mam w witrynie! Co prawda w szkłe są zatopione jakieś kwiatki, ale najważniejsza jest KULA! Niewiele się zastanawiając wyciągnąłem szklaną kulę z witryny i pomyślałem, że jak ją upuszczę na podłogę, to żona da mi takiego bobu, aż mi duchy nie będą straszne. Pieczołowicie i z należnym namaszczeniem ustawiłem kulę na biurku i zacząłem delikatnie pocierać ją zgodnie z ruchem wskazówek zegara odczytując formułkę aktywującą (taki czarowniczy PIN), którą znalazłem w jednym z wcześniejszych opowiadań o czarownikach.

Nic.

Potarłem jeszcze raz.

Znowu nic.

Potarłem mocniej i szybciej.

Jak myślicie?

Dobrze myślicie...!

Po trzech próbach tarłem ten cholerny kawałek szkła jak idiota. Gdyby tak ktoś kręcił to na kamerce i wysłał to do programu „Optymista Roku”, miałyby murowane pierwsze miejsce, wygraną w postaci trzybiegowej lodówki z turbosprężarką i tysiąc litrów renomowanej wody mineralnej niewiadomego pochodzenia do dyspozycji. Od tego tarcia to już mnie ręka rozbolała, więc pewien tego, że sam z własnej kiesy muszę sobie wypłacić szkodliwe, przetarłem ją jeszcze raz, tym razem tylko po to, aby zetrzeć z niej odbicia moich paluchów. Z tym, że było to bardzo delikatnie i w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. No tak! Mój stary podręcznik korzystania z magicznych, szklanych kul był pisany na drugiej półkuli, a ja za chińskiego boga nie zdawałem sobie sprawy z faktu, że siła Coriolisa ma także wpływ na prymitywne czary. Tymczasem szkło rozjaśnił szary poblask, po czym blask zmienił się na błękitnawy, a w kuli ukazał się dość młody, wysoki gość o szczupłej twarzy i smutnych oczach.

- Cześć, coś taki smutny? – zagałem.

- Eskulap zniknął – burknął mag w szklanej kuli.

- Zabradziażył gdzieś? Jeszcze o tym nie czytałem... - mruknąłem usiłując sobie przypomnieć, czy czytałem już najnowszą część „Opowieści ze świata czarowników”...

- W waszym świecie jeszcze ta część opowiadania o czarownikach się nie ukazała. Nie, zniknął w przeszłości, a właściwie wpadł w wir czasowy i wylądował gdzieś w przeszłości. A chciał tylko uratować swojego przodka! Jak mu było? Eci?

- Ecik? Hanys? Mogę jakoś pomóc? – spytałem uprzejmie. W końcu sam byłem hanysem.

- Może w twoim świecie wiadomo już coś o tym przodku? Nazywał się Oetzi, zamarzł na lodowcu gdzieś w Alpach około pięć tysięcy lat temu...



- Zaraz, jakieś kilka latek temu czytałem taką historię! – coś mi zaczęło świtać pod kopułką. – Jakaś para staruszków znalazła takie mrożone truchło, a ponieważ obok leżała kraciasta marynarka, pomyśleli, że to ofiara wypadku. Podobno nawet mu sztuczne oddychanie robili!
- Hmmm! – podskoczył Pierwiosnek. – To cenna uwaga! Jak ci się mogę zrewanżować?
- Poradź, jak pozbyć się ducha uwiecznionego w niewielkim przedmiocie?
- Przedmiot zawiera złoto, srebro, drogie kamienie? – dopytywał się mag ze szklanej kuli.
- Stara moneta – odpaliłem. – Stop srebra ze złotem.
- Najlepszym będzie Lustro Czarownicy. Aha, użyj Szatańskiego Różańca jako wzmacniacza!
- No to spadam – mruknąłem pośpiesznie, bo przecież czas naglił. Potarłem ponownie szklaną kulę, która po chwili powróciła do swojej zwyczajnej, szarej barwy. Kilka sekund później była już tylko zwyczajną szklaną kulą z zielonym kwiatkiem zatopionym wewnątrz.

\* \* \*

Dwa dni później nadarzyła się okazja: byłem w domu sam, był wieczór, świecił księżyc. Wyciągnąłem z moich najtajniejszych zakamarków biurka Szatański Różaniec, dziwny naszyjnik z niklowych monet i stalowego łańcucha o odpowiednim układzie oczek, będącego najpotężniejszym wzmacniaczem energii psychicznej, jaki tylko udało mi się skonstruować. Ten wzmacniacz był jednocześnie moją tarczą obronną przed różnymi czarami – potrafił je zatrzymać lub znacznie osłabić. Lustro Czarownicy wisiało w sypialni nad komodą. W ponad dwustuletnią, secesyjną ramę wprawiłem złote lustro i niechcący stworzyłem portal zwany Lustrem Czarownicy. Czym się różni złote lustro od zwykłego? Zwykłe ma srebrny odbłask i bazuje na związkach srebra. Złote ma inne domieszki, nie jest tak czyste, a duchy mogą w nim znaleźć swoje odbicie, dlatego jest tak cenne w świecie magii. Poza tym odbijane obrazy przyjmują lekko złotawą barwę, co czyni takie lustro bardzo atrakcyjnym elementem dekoracyjnym.

Z komody pousuwałem wszystkie zdobniczki, szkatułki i kosmetyki. Pod lustrem ustawiłem przeklętą monetę tak, aby rozłożony Szatański Różaniec okalał ją ze wszystkich stron tworząc coś na kształt miniaturowego magicznego kręgu. Ustawiłem monety różańca awersami do góry tak, aby wszystkie miały jednakowy rysunek. Czekałem, ale nic się nie działo. Już myślałem nad stosownymi zaklęciami, których oczywiście nie znałem, kiedy gdzieś pod kopułką zapaliło się zielone światło sygnalizujące, że już wiem, dlaczego nic się nie dzieje. A zasilanie? No tak, tylko światło księżyca nie pada na komodę, która stoi cztery metry od okna. Owszem, można to wszystko zainstalować przy oknie, tylko kazaczok z czterdziestokilowym lustrem po całym pokoju jest nader

ryzykowny, a zbyt wiele pracy i funduszy włożyłem w odnowienie lustra, aby je teraz w tak głupi sposób rozbić. Rozwiązaniem okazało się nieduże, kobiece lustro do makijażu. Co prawda dziwnie wyglądało na parapecie, ale skutecznie odbijało światło księżyca i oświetlało moją czarowną instalację. Najpierw błękitnawym blaskiem rozblęsnęła złota moneta w środku magicznego kręgu. Powoli, acz systematycznie, poczęły z niej strzelać niewielkie błyskawice sięgające do oczek łańcucha okalającego przeklęty przedmiot. Po chwili do gamy efektów specjalnych doszedł jaśniejszy blask bijący od każdej z niklowych monet uwiecznionych w strukturze różańca. Kiedy blask przybrał na sile, z monet wystrzeliły w górę świetliste promienie łącząc się po chwili jakieś pół metra nad centralnie ulokowaną starą monetą. Całość tworzyła kształtem ruchomą, świetlistą klatkę zbudowaną z wyładowań elektrycznych. Podszedłem do komody i stanąłem naprzeciw lustra, w którym odbijało się całe zjawisko. Spojrzałem na odbicie i prawie mnie замуrowało: w lustrze przed moim odbiciem oprócz świetlistych promyków majaczył cień twarzy młodego mężczyzny. Nie za bardzo wiedząc, co robić, wypaliłem jak na jakimś tanim seansie spirytystycznym.

- Duchu, zaklinam cię – gadaj: ktoś ty!

- Voitia..! – jęknęła zjawą.

- Jaki Wojtek? – potrząsnąłem głową, nie bardzo rozumiejąc. Moje drugie ja w lustrze ukryte za twarzą zrobiło to samo.

- Parakalo...! – dodała zjawą.

Tak już było lepiej! Mój wykolejony ekspres myśli powrócił na właściwe tory! Kiedyś, dawno temu planowałem z kumplem uciec do Brazylii – poszukiwali inżynierów, dawali mieszkanie i okrągłą pensyjkę na start. Niestety, sytuacja gospodarcza kraju, jaka się rozwinęła w kilka miesięcy, zniechęciła mnie do czegokolwiek. Potem już wiedziałem, że chyba wyjadę szukać szczęścia, tak jak to robiło wielu kolegów, a jak robi dziś, co trzeci młody Polak. Postanowiłem jednak nauczyć się jakiegoś abstrakcyjnego języka i skorzystać z luki, jaka wytworzyła się na innych kierunkach, niż zachód. Wybór padł na arabski.... Ale nie dałem rady. Zwiedziłem za to Grecję i trochę gadałem po grecku, więc zacząłem się uczyć tego dziwnego języka. Korzystałem ze starych materiałów pisanych, więc to, co się nauczyłem było łamańcem greki klasycznej i odmiany potocznej zwanej dimotikią. No tak, tego nie wiecie, że jakiś czas temu Grecy wprowadzili dimotikię jako język urzędowy, wysyłając w diabły kilka tysięcy lat tradycji greki klasycznej, ale mniejsza o to! Mówiłem po grecku i mój przeklęty duch – także!

Tymczasem pokaz fajerwerków trwał dalej.

- Voitia... parakalo! <... pomocy... proszę – tłum. red.> – jęczał duch trochę mało wyraźnie, ale głos z zaświatów, pomimo, że ledwie zrozumiały, był na tyle czytelny, że kumałem, o co chodzi.

- Pos ses lene? <jak ci na imię> – zapytałem i od razu zobaczyłem zdziwienie na jego twarzy.

- Onomazome Antiochion.... <zwę się Antiochion> – odpowiedziało dumnie widmo, które od razu w myśli ochrzciłem „Antek”. Brzmiało swojsko.

- Ime ksenoz, polonoz. Apo pu ise? <Jestem obcym, Polakiem. Skąd jesteś?> - ciągnąłem dalej, bo jak mu miałem pomóc, to przynajmniej chciałem o nim coś wiedzieć.

- Apo Antiochion.... <z Antiochionu>.

- Antiochion apo Antiochion? <Antiochion z Antiochionu> - wypaliłem nic nie jarząc. To tak jakbym powiedział: Michał z Michał, albo Katarzyna z Katarzyna. Gdziekolwiek by ten Katarzyn nie leżał.

- Me lene Antiochion... Vasileuz tiz Atiochioz... <moje imie Antiochion.. król Antiochii> - powtórzyło widmo w lustrze.

- Den katalaveno... <nie rozumiem...> - dodałem skubiąc się po nieogolonym zarście.

- Vojteste me... parakalo... aggeloz mu... vojteste.... <pomóż mi... proszę.... Aniele... pomóż> – jęczał duch nakręcony jak katarynka.

To już mnie zatkało. To, że duch chciał pomocy, to rozumiem. To, że chciał ode mnie, to też da się wytłumaczyć, bo zakupiłem tą jego cholerną monetę. Ale skąd wiedział o tym Aniele? Odżyły wspomnienia Anioła - skazańca uwięzionego w ludzkim ciele na kilka kolejnych, marnych egzystencji naznaczonych bólem, cierpieniem i świadomością własnej niedoskonałości. Ja, skazany duch wyższego rzędu miałem pomóc znaleźć spokój jakiegoś Antosia z Antosiowa... więc wskazałem palcem na lustro.

- Dromo gia paradisu... <droga do raju>.

Twarz ducha rozpromieniał się w zrozumieniu. Z monety wystrzelił potężny słup światła, który po chwili się załamał i całym impetem uderzył o powierzchnię mojego magicznego lustra. Nastąpił błysk magnezji, a gdy błędna poświata monety się dopalała, usłyszałem coś, co zmroziło mi krew w żyłach.

- Efkariosto.... nasedume se... ligo chrono... <dziękuję... do zobaczenia wkrótce>.

Czyżbym tym jednym dobrym uczynkiem skrócił swój ziemski wyrok? Oto tajemnica wiary...

\* \* \*

Posprzątałem po tych wszystkich pokazach światel. Szatański Różaniec ulokowałem bezpiecznie w skrytce pod biurkiem, lustro nadal było wielkim, złotym lustrem. Moja moneta była wolna od wszelkich duchów i ze spokojem mogłem ją przechowywać, aż do czasu, gdy Antoś powita mnie w innym świecie i oznajmi, że oto nadszedł kres mojej wiecznej tułaczki. Bijąc się z tymi myślami położyłem się spać.

\* \* \*

Tydzień później zdarzyły się trzy zajścia, które miały związek z opisanymi wcześniej wydarzeniami. Kupiłem kolejny tom „Historii Świata” Wellingtona i wyczytałem ciekawostkę: oto po śmierci Aleksandra Wielkiego potężne imperium zostało podzielone pomiędzy jego wiernych generałów. Każdy z nich ogłosił się królem danego obszaru, każdy założył dynastię. W starożytnej Syrii jednym z kolejnych królów był Antioch. Co prawda w dynastii „Antosiów” było aż dwunastu, ale jeden mi utkwił w pamięci: poślubił swoją macochę, córkę króla sąsiedniego państwa, które potem podbił, teścia zaś zgładził. Zginął z ręki własnej żony zaszytyletowany... Tyle historia, ja natomiast wiedziałem jeszcze coś więcej – w chwili śmierci trzymał w ręku złotą monetę. Miast nazwanych jego – Antiocha – imieniem było aż dziewięć. Nie było to chyba aż takie ważne, z którego pochodził.

Druga rzecz związana, to udało mi się odcyfrować, co pisze na mojej monecie: ANTIOXION. Co prawda, jest na niej wizerunek kogoś starszego od mojego Antosia, ale jak się okazało – był to Posejdon w tzw. „koronie morza”. Wytarty wizerunek taboretu na rewersie okazał się schematycznym wyobrażeniem starożytnej galery.

Spotkałem też kolegę, który mi ten trefny towar wcisnął. Od razu na mnie wskoczył z rewelacyjną monetą z carskiej Rosji, tylko za piąta! Lecz kiedy wyciągnął ją z kieszeni i kiedy zobaczyłem wokół niej błądą, czerwoną poświatę... domyślcie się sami.

\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*FOREMKI – ten etap chyba każdy przerabiał, szczególnie dorośli faceci; ZIELONY PIENIAŻEK Z 1875 ROKU – naprawdę go znalazłem!; STARA MONETA – rzeczywiście ją mam – kupiłem jako kopię; ŻONA – wyznacznik, który według kawalerów, odróżnia prawdziwych mężczyzn od chłopców; każdy chłopiec chce to mieć, aby stać się prawdziwym mężczyzną, jednakże każdy chłopiec po ślubie szybko zmienia zdanie...; SREBRNIKI – srebrne monety używane od dawna; ich proces produkcji został opisany wiernie, aczkolwiek skrótowo; POLTERGEIST – polski tytuł „Duch”; GHOSTBUSTERS – komedia z Billem Murrayem i Susan „Sigourney” Weaver o nieudacznikach parapsycholach łapiących duchy w całym mieście; KAZACZOK – bardzo żywiołowy kozacki taniec ludowy; SYRIA – kraj, który powstał po rozpadzie imperium Aleksandra Wielkiego. Pierwotnie nie miał nic wspólnego z Arabami.*

## SEZON NA PIERWIOSNKA

### Rozdział VIII: Człowiek Śniegu

#### *O zakrętach historii, miłości do kotów i o murzyńskich korzeniach pewnego detektywa.*

W potężnej zamieci śnieżnej Wędrowiec nieubłaganie piał się na szczyt góry. Stopy owinięte w królicze skóry powoli, acz systematycznie, krok za krokiem, coraz bardziej zapadały się w śnieg i nic nie pomogły zaimprovizowane z wierzbowych witek, naprędcie sklecone rakiety śnieżne. Potężny kostur dawał oparcie umęczonemu ciału, które coraz wyraźniej domagało się odpoczynku, lecz Wędrowiec wiedział, że ta właśnie chwila odpoczynku będzie już oznaczać odpoczynek wieczny.

Przystanął na moment, aby wyciągnąć z niewielkiego skórzanego woreczka kawałek magicznego grzyba i włożyć go do ust. Wiedział, że musi przemóc wstręt i przeżuwać to świństwo; wiedział też, że tak ohydny smak postawi go na nogi i przyniesie orzeźwienie. Rana zadana podstępnie z boku przez napastnika dawała o sobie znać coraz wyraźniej, więc Wędrowiec przełożył do drugiej ręki ciężki kostur i wznowił wspinaczkę po stromym zboczu. Wiedział, że do wlotu jaskini pozostało mu jeszcze sporo drogi...

\* \* \*

- No, nareszcie! – zgorzkniały głos wyrażał skrajne niedowierzanie. – Ty wiesz, że tu można jajo urodzić? Zdażyłem się trzy razy umyć i pięć razy ogolić i do tego poopalać się pod kwarcówką!

- Jajo się znosi, drogi Eskulapie, jajo się znosi! – czarownik Pierwiosnek wszedł do biura targając całe naręcze jednorazowych reklamówek. Od kiedy śledczy Eskulap Wontorek został jego kuratorem sądowym, zdażył już polubić tego przedwcześnie stetryczalego policjanta.

- Czekaj, zaraz wrzucę te twoje ciuchy do szafy pancernej – pochylił się, aby uchwycić ciężkie pokrętło opasłej, stalowej szafy. - ... to pogadamy, uff!

- Tak właściwie, to agencja ma kasy, jak lodu, a nie kupiliście sobie nawet porządných mebli – przyznał z przekąsem Wontorek i miał w tym twierdzeniu odrobinę racji. Agencja Czarownicza „1001 Życzeń Spółka z Wielce Ograniczoną Odpowiedzialnością” dysponowała sporym kapitałem, a od wielu lat jej jedynym majątkiem ruchomym było biurko, stół, bufet w aneksie kuchennym, leciwa maszyna do pisania, szklana kula i bardziej wiekowa, niż masywna szafa pancerna. Piękny, wielki holowizor nie wchodził w stan posiadania spółki, gdyż był własnością samego Wontorka.

- A po co mamy zagracać biuro? – zadudniło z głębi szafy. – Zresztą wujowie są tego samego zdania.

Oczywiście Pierwiosnek miał na myśli Prezesa firmy oraz dwóch jego wspólników, przy czym, choć tylko dla jednego był siostrzeńcem, do wszystkich trzech czarowników mówił per „wujku”.

- Przyniosłeś wszystko?

- Chyba tak – skulona postać z szafy poczęła się delikatnie wycofywać. – Nie mogłem tylko znaleźć twojej marynarki w kratę. Długo się tu będziesz ukrywać?

- Nie wiem, co też korporacja wykombinowała.

- Dobra, zreasumujmy posiadaną wiedzę – drzwi do szafy zamknęły się z hukiem. Czarownik obrócił się i stanął jak wryty. Przed nim siedział murzyn.

\* \* \*

- Oj, przestań się pieklić! To nie moja wina! Nie mogłeś powąchać wody po goleniu? Nie podpadło ci, że nie pachnie lawendą?

- Ale żeby coś takiego?!!! – wrzeszczał wciąż wpatrzony w lustro murzyn Eskulap Wontorek. – Co za głupi pomysł! Tylko ty mogłeś wpaść na taką nedorzecznosc!

- Nedorzecznosc? Przepraszam! – tym razem młody mistrz podniósł głos. – To była moja butelka! A że wyglądała na dosyć solidną, wlałem tam dość dużą ilość azotanu srebra! A swoją drogą, dobrze, że tego nie wypileś! Korporacja Mardi nie musiałaby wynajmować profesjonalisty!

Już samo wspomnienie kłopotów ostudziło wybuchowy zapal śledczego. Polował przecież na niego professional killer wynajęty przez zbrodniczą korporację Mardi. Co prawda korporacja już raz wynajmowała płatnego zabójcę, lecz tym razem podobno ściągnęli specjała aż z Kielec.

- Czy będzie pan łaskawy – wycedził po chwili już całkiem spokojnie czarny jak smoła policjant. – obznajomić mnie, co to za kłątwa spadła na moją fizys?

- Ależ z największą sadystyczną przyjemnością! – odwarczał Pierwiosnek i usiadł naprzeciw murzyna. – Przygotowywałem wczoraj zestaw do wezwania Samaela, demona odpowiedzialnego za mądrość i oświecenie. Do tego potrzebowałem między innymi azotanu srebra, po to tylko, aby utworzyć srebrną kałużę, jako portal wejściowy wewnątrz magicznego kręgu...

- Rozumiem – westchnął Wontorek. – Wlałeś potrzebną ilość do buteleczki po wodzie kolońskiej „Antyczna”, ja goliłem się kilka razy i przez pomyłkę się tym wysmarowałem. No i dopadła mnie kłątwa tego twojego Samuela...!

- Samaela! – oburzył się mag. – To bardzo mądry demon, nie obrażaj go jakimś żydostwem!

- Znowu jestem ofiarą czarów! – jęczał Wontorek spoglądając co jakiś czas na swoje czarne oblicze w lusterku.

- Nie czarów, drogi Eskulapie, tylko własnego roztargnienia. – skwitował z filozoficzną miną czarownik, dodając po chwili: I elementarnej chemii.

- Ufff! Więc to jednak nie czary! – odetchnął murzyn i rozsiadł się w fotelu. Po chwili w jego otworze gębowym zajarzyła się czerwonym blaskiem jego ulubiona stopięćdziesiątka.

- Nawet czary cię nie oduczą palenia tego świństwa! – Pierwiosnek starał się rozegnać kłęby czarnego, papierosowego dymu, lecz chyba jednak na darmo. – To była elementarna chemia. Azotan srebra wniknął w twoje pory. Kiedy dokładnie się nim wysmarowałeś i włożyłeś z nudów pod kwarcówkę, zaszły dwa zdarzenia: zacząłeś się pocić z gorąca – to raz. Pot zawiera związki chloru, które weszły w reakcję z azotanem i wytworzył się na twojej skórze nowy związek, mianowicie chlorek srebra. Czyli – jak wolisz – sam się pokryłeś warstwą światłoczułą. Potem – także na własne życzenie – naświetliłeś sobie gębę... A co się dzieje z naświetlaną kliszą?

- Hmmmm....! – na twarzy detektywa poczęło się malować zrozumienie.

- Właśnie! Ciemnieje! Dokładnie, tak jak ty!

- Cholewcia! – zachnął się Wontorek. – Czułem, że ta twoja woda kolońska, to jakaś lipa! Była prawie bez zapachu!

- Eskulapie, pomyśl! Wszystkie panny twoje, tego lata opalenizna jest bardzo trendy!

- Dwie dekady temu nie byłem spoko, dekadę temu nie byłem cool, to i teraz nie będę trendy. Powiedz mi, jak to zmyć.

- Masz cztery drogi – Pierwiosnek rozłożył ręce i pomyślał, że gdyby tak rozłożył cztery, byłby podobny do pewnej starożytnej rzeźby. Tylko minę miałby głupszą.

- Po pierwsze – kontynuował mag. – Czary. Bardzo czasochłonne i kosztowne. Tydzień wyjęty z życiorysu.

- Tydzień? – śledczy podskoczył na fotelu, jakby miał w spodniach dwa wojownicze raki.

- Uhm! Sposób drugi – chemia. Kosztowny i nie daje gwarancji. Do tego zanikają te... no... orzeszki.

- Jakie orzeszki?! – śledczy podskoczył raz jeszcze nic nie kumając. – Nic nie kumam!

- No... te.... Wiesz, użył tego kiedyś jeden taki znany piosenkarz. Urodził się jako czarnoskóry mężczyzna, zmarł jako biała kobieta....

- Aha! – zaświtało w głowie. – Jajca!

- Sposób trzeci: polewamy cię odplamiaczem. Pewne jest, że wybieli, skóra zejdzie i będziesz wyglądał jak rasowy Indianin...

- Się mi to coraz mniej podobie.... Coś tańszego i mniej bolesnego proszę.

- Jest też sposób czwarty, najprostszy i najmniej kosztowny. Przy tym bezbolesny.

- No to mów! – i znowu przerośnięte murzynytko radośnie podskoczyło.

- Nie robisz nic – uśmiechnął się czarownik i przysiadł na biurku. – Jako ciemnoskóry jesteś nie do rozpoznania, a przecież musisz się ukryć. A w środę cała ta lipna opalenizna i tak zejdzie.

Detektyw wstał spokojnie z fotela i podszedł do okna.

- To nie mogłeś tak od razu powiedzieć?

- Uwielbiam cię drażnić.

- Jedno mnie martwi – zasepił się policjant. – Komisarz Wyskrobek przekazał za pośrednictwem senatora dla ludzi korporacji Mardi moje akta osobowe. Po co im to?

- Mam myśl! – to mówiąc Pierwiosnek podszedł do szklanej kuli. Ściągnął z niej aksamitną, czarną narzutkę, po czym otworzył szufladę biurka, wyciągnął niewielkie pudełeczko, coś lepkiego w kolorze szarym, dwa pomarańczowe kabelki i zwykłą, telefoniczną słuchawkę. Do tego podręcznik majsterkowania Odon Kwaśnawego...

- Znowu czarujesz słuchawkę?

- Nie tym razem! – mag nachylił się nad częściami w zaczął je składać według schematu zamieszczonego w książce. – Słuchawkę można przesłuchać tylko raz, później domeny węglowe ulegają depolaryzacji.

- Dupo, co, przepraszam?

- Przez grzeczność i szacunek do ciebie – mag pochylił się dla odmiany nad Wontorkiem – Nie powiem. Masz, dzwoni do dyżurnej sekretarki, podobno cieszysz się jej specjalnymi względami.

- Skąd o tym wiesz? – śledczy wybałuszył oczy kompletnie zaskoczony.

- Za dużo przez sen gadasz. A teraz kręć i zapytaj, co jest z twoją teczką.

\* \* \*

Kompletnie zaskoczony Wontorek przysiadł na fotelu. Po chwili Pierwiosnek podszedł do przyjaciela i bardzo delikatnie, z widoczną troską w oczach zamknął jego rozdziawioną ze zdziwienia japo. Poglaskał go czule po przerzedzonej czuprynie i zasiadł na obrotowym taborecie vis-a-vis szklanej kuli.

- Dżemkuję – wybąkał przez zaciśnięte wargi detektyw. – Czy wiesz, czo ukradli z mojej kartoteki?

- Drogi Eskulapie, możesz już mówić normalnie. No, chyba, że twoje zdziwienie trwa nadal.

- Masz rację. Zniknął tylko raport z „Genographic Project Ltd”.

- Policję stać na to? – zdziwił się mag.

- Dofinansowanie ze środków strukturalnych IntPol-u dostajemy – Wontorek westchnął jak skazaniec. - Po jaką grzybicę im to?

- Czekaj... – czarownik pochylił się nad kulą i zaczął całą serię mamrotań w języku starosumeryjskim. Po dwudziestym którymś przetarciu kuli ręką ta rozbłysła różową poświatą.

- O! – zainteresował się śledczy. – Masz podgląd klubu erotycznego?

- Nie – rzucił mistrz nie odrywając wzroku od szklanej kuli. – Twój plik jest zdrowo pozabezpieczany.

Pierwiosnek wymarotał jeszcze jedną formułkę i dodał całkiem po naszymu „kierownik Piotr!”. I wtedy stały się dwie rzeczy: poświata w kuli zmieniła



kolor na niebieskawy, natomiast sam czarnoksiężnik uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jak mnie przymknęli pierwszy raz, widziałem jak komendant Kulomiot korzystał z bazy danych policji... i zapamiętałem hasło. Ten dureń, który nastał po nim, nic nie zmienił!

- Masz rację – przyznał ochoczo Wontorek. – Dureń.

Tymczasem Pierwiosnek już studiował dokument. Znad fotela detektywa uniósł się kłęb czarnego dymu, co oznaczać mogło tylko dwie rzeczy – kolejnego papierosa serii 150 w ustach detektywa, lub pożar mieszkania.

- Mam! – wrzasnął mag. – Pamiętasz nasłanego mordercę, który cofnął się w czasie i kropnął twojego dziadka?

- Taaaak?

- Spróbują raz jeszcze! – z triumfalnym uśmiechem na twarzy czarownik oderwał się od błyskającego narzędzia pracy.

- Phi! – Wontorek tylko wzruszył ramionami. – Chroni mnie fizyczny „paradoks Wontorka”!

I tu mag założył ręce i przybrał poważną minę.

- Teraz im się uda.

- Niby, jakim cudem?

- Według badań GP zarówno i twoja matka, jak i ojciec musieli mieć wspólnego przodka – jakieś pięć tysięcy lat temu. Mówi ci coś nazwisko Oetzi?

- Gdyby to był Uzi – tak. A tego to nawet nie aresztowałem...

- Spokojna twoja kwadratowa... W każdym bądź razie dzięki temu ty i mister Oetzi macie identyczne DNA. Fantastyczny przypadek!

Wontorek wstał z fotela i zgasił niedopałka.

- Wiesz, nie interesuje mnie to DNO – podszedł do wieszaka i ściągnął stary prochowiec. – Raczej to, co mnie czeka... Jakies sugestie?

- Punkt startowy już znamy: magazyn korporacji Mardi... - czarownik zamyślił się na chwilę. – Murzyna nikt nie rozpozna, ale i tak wzbudzisz sensację. Podaj mi proszę mój płaszcz czarowniczy.

Po minucie odziany w płaszcz Pierwiosnek złapał mocno protestującego Eskulapa Wontorka za fraki i przykrył płaszczem. Pomimo szamotaniny obaj panowie nagle stracili na nieprzejrzystości, aż zniknęli całkowicie.

\* \* \*

We wrześniu 1991 roku para niemieckich alpinistów podczas wyprawy na lodowiec Schnalstal w Alpach Tyrolskich natknęła się na wystające spod śniegu ciało. Ponieważ miało to miejsce na wysokości 3200 metrów nad poziomem morza, pomyśleli, że maja do czynienia z ciałem ofiary nieszczęśliwego wypadku. W związku z tym ciało sprowadzono do Niemiec, lecz po dokładnych oględzinach okazało się, że ofiara przeleżała pod lodem 5300 lat. „Oetzi” – bo tak ochrzciła nieszczęśnika prasa w całych Niemczech, był mężczyzną w sile

wieku, miał około 165 cm wzrostu, był ubrany w skóry różnych zwierząt oraz tzw. plecionki z traw, miał na wyposażeniu plecak obramowany prętami leszczynowymi, torbę z kory brzoźowej oraz dziwny pakuneczek z „lekami” – kawałki huby brzoźowej, *Piptosporus Betulinis*. Obok ciała, – co dziwne – leżała całkiem współczesna marynarka w kratę. Po dokładnym zbadaniu jego ciało umieszczono w klimatyzowanej komorze w muzeum w Bolzano.

\* \* \*

W magazynie korporacji panował półmrok. Można by zaryzykować stwierdzenie, że panował tam także swego rodzaju bezruch, a biorąc pod uwagę duchotę spowodowaną zatechnym powietrzem i centymetrową warstwę kurzu gdzieś tam, bezruch ten był całkowity. W bezruchu tym pojawiła się drobna anomalia, bowiem przez okno uchylone w strefie podsufitowej zaczęły się gramolić dwa przykurzone cienie. Jeden, ten dłuższy, spłynął z gracją na zastygłą przed laty samopoziomującą wylewkę, drugi, zaczepiwszy o zawias z głośnym odgłosem prucia pacnął o matkę ziemię...

- O żesz ty! – jęknął cień.

- Ciiii....! – zasyczał drugi.

- Dobrze, że jestem genitalicznie doskonały!

- Genetycznie Eskulapie, genetycznie!

Obaj przyjaciele przemknęli w kierunku dobrze oświetlonego, niewielkiego podestu z niewielkim ołtarzykiem.

- Miałem nosa, co? – wyszeptał Pierwiosnek. – Patrz! Wszystko gotowe do ceremonii!

- Poczekaj! – syknął Eskulap i błyskawicznie czmychnął w kierunku podestu. Po chwili jeszcze szybciej wrócił trzymając kilka kartek papieru z odręcznymi notatkami.

- Co skubnąłeś?

- Za ciemno!

- Chwila, moment. Tak lepiej? – zapytał mag trzymając w ręku jarzące się słabym blaskiem miniaturowe zwierciadelko stałego klienta.

- To jakiś plan .... A reszta to bełkot..... – detektyw nerwowo przerzucał kartki.

- Ale to poznaję! Kawałek mojej kraciastej marynarki! Po jaką grzybicę im moje odświętne ciuchy?

Mistrz zamyślił się na chwilę.

- Twój przodek ma takie samo DNA, a twoje jest na marynarce. Po prostu namierzają go, i to bardzo prostymi czarami! Aż dziw, że kryminalistyka nie wprowadziła jeszcze tej metody!...

- Przecież wiesz, że gliniarze nie lubią czarów! To babrania dla federalnych! Zrozumiesz coś z tego? – śledczy podał przyjacielowi tajemnicze zapiski.

- O święty Samuelu! – jęknął Pierwiosnek. – To schemat ołtarza, mapa dojścia ... zaraz.... na jakiejś górze, wysoko w Alpach, w jaskini jest już gotowy drugi

ołtarz! Nasz morderca nie jest taki głupi, jak poprzednik – chce mieć gwarancję powrotu! Patrz, tu jest opis rytuały i spisane są wszystkie niezbędne zaklęcia!

Wontorek patrzył na przyjaciela z niedowierzaniem. Tym razem bez wytrzeszczu oczu i bez karpia. Po chwili wyciągnął z kieszeni kilka kartek i pognał z powrotem do ołtarza. Kiedy powrócił zadowolony, Pierwiosnka roznosiła ciekawość.

- Co mu podłożyłeś?

- Nakaz aresztowania niejakiego Shiro i listę zakupów od ciotki Mildred. Trudno, w tym tygodniu staruszka obejdzie się bez brukselki! – Wontorek chciał się roześmiać, lecz tylko skulił się za drewnianą skrzynką, bo oto nagle drzwi boczne do magazynu gwałtownie się otworzyły i wszedł ciemny typ w długim skórzanym płaszczu i ciemnych okularach. Czarny płaszcz kroczył majestatycznie, niemalże płynął, jak pomyślał obserwujący go czarownik, lecz siedzący tuż obok śledczy Eskulap Wontorek wiedział, że wynika to z ogromnej ilości broni ukrytej pod czarnym płaszczem mordercy. Tymczasem zabójca podszedł do ołtarza i wyciągnął z drewnianej skrzynki szklaną kulę. W chwilę później w kuli ukazał się jakiś mroczny cień, niestety niewidoczny dla obserwujących całe zdarzenie z daleka przyjaciół.

„Witam, panie Darco. Cieszę się, że jest już pan na miejscu.”

Czarny płaszcz uklonił się nieznacznie. Jego twarz nadal pozostawała bez wyrazu.

„Tuż obok ołtarza odnajdzie pan mapę, gdzie w przeszłości można znaleźć analogiczny portal do podróży w czasie do tego, który widzi pan przed sobą oraz listę czynności i stosowne zaklęcia, aby go uruchomić. Proszę to schować i strzec jak oka w głowie. Kraciasta marynarka należy do pańskiego celu, natomiast drewniany przyrząd w szkatułce obok wskaże panu kierunek na cel. Nie wymaga on żadnych zaklęć. A teraz proszę się przygotować: wraz z zaklęciami uruchamiam odliczanie”.

Tajemniczy głos przeszedł na chrapliwy starosumeryjski. Morderca wszedł na stopień i stanął spokojnie naprzeciwko ołtarza. Jednocześnie Wontorek zaczął się przesuwac w kierunku ołtarza kryjąc się w cieniu drewnianych skrzyń.

- Eskulap! – syknął Pierwiosnek. – Co ty, do cholery, kombinujesz!

- Ratuję własną dupę! – odpowiedział detektyw nie przerywając podchodów. – Myślałem, że ten bandzior robi to sam....

I nie kończąc kwestii podbiegł do skrytobójcy. Kiedy tylko złapał go za kołnierz skózanego płaszcza, stała się rzecz straszna – obu splecionych mężczyzn spowił gęsty dym, nastąpił intensywny, biały błysk, w powietrzu dał się wyczuć zapach palonej siarki. Śledczy Eskulap Wontorek i zabójca zniknęli.

\* \* \*

Pierwiosnek siedział sam w biurze agencji. Za oknem skrzył się srebrzysty sierpik księżyca. Mag w zadumie wpatrywał się w paczkę stopięćdziesiątek

leżącą na stole rozmyślając o dziwnym zdarzeniu sprzed miesiąca. Wtem czarodziejska, szklana kula spoczywająca w oprawie z czarnego onyksu rozblysnęła żółtym, pulsującym światłem. Czarownik podszedł do kuli, przetarł ją delikatnie dłonią. Blask zmienił się na błękitnawy, a w kuli ukazał się wysoki gość o złotawym odcieniu czupryny i szarych, wilczych oczach.

- Cześć, coś taki smutny? – zagał gość.

- Eskulap zniknął – burknął mag.

- Zabradziały gdzieś? Jeszcze o tym nie czytałem...

- W waszym świecie jeszcze ta część opowiadania o czarownikach się nie ukazała. Nie, zniknął w przeszłości, a właściwie wpadł w wir czasowy i wylądował gdzieś w przeszłości. A chciał tylko uratować swojego przodka! Jak mu było? Eci?

- Ecik? Hanys? Mogę jakoś pomóc? – spytał uprzejmie rozmówca.

- Może w twoim świecie wiadomo już coś o tym przodku? Nazywał się Oetzi, zamarzył na lodowcu gdzieś w Alpach około pięć tysięcy lat temu...

- Zaraz, jakieś kilka latek temu czytałem taką historię! – wilcze oczy zapłonęły iskierką. – Jakaś para staruszków znalazła takie mrożone truchło, a ponieważ obok leżała kraciasta marynarka, pomyśleli, że to ofiara wypadku. Podobno nawet mu sztuczne oddychanie robili!

- Hmmm! – podskoczył Pierwiosnek. – To cenna uwaga! Jak ci się mogę zrewanżować?

- Poradź, jak pozbyć się ducha uwiecznionego w niewielkim przedmiocie?

- Przedmiot zawiera złoto, srebro, drogie kamienie? – dopytywał się mag.

- Stara moneta – odpalił gość w kuli. – Stop srebra ze złotem.

- Najlepszym będzie Lustro Czarownicy. Aha, użyj Szatańskiego Różańca jako wzmacniacza!

- No to spadam – mruknął pośpiesznie złotowłosego właściciel szarych oczu i magiczna kula Pierwiosnka powróciła do swojej zwyczajnej, szarej barwy.

\* \* \*

Trzy dni później w biurze agencji czarowniczej „1001 Życzeń” Spółka z Wielce Ograniczoną Odpowiedzialnością mieszczącej się na trzynastym piętrze wysokiego wieżowca Spółdzielni Usługowej pojawił się nowy mebel. Była to okazała miska. Miska stała na podłodze parując wrzącą niemal cieczą. Z obłoków pary wyłaniały się dwie gołe łydki zwieńczone siedzącym w fotelu śledczym Eskulapem Wontorkiem. Siedział owinięty kocem w swoim ulubionym fotelu, ćmiąc swoje ulubione, okropnie kopące papierosy z serii stopięćdziesiąt. Powietrzem, dookoła co chwilę wstrząsała eksplozja...

- Aaaaaaa...psik! – kichnął po raz setny detektyw przecierając czerwony nos.

- Pomyślności! – wrzasnął z kuchni Pierwiosnek pojawiając się po chwili w pokoju z wielką filiżanką gorącej herbaty z sokiem malinowym.

- Znowu jakiś magiczny napar? – spytał wybitnie skrzywiony Wontorek.

- Ależ Eskulapie! – zaperzył się mag. – Pierwszy gatunek liściastej herbaty z sokiem malinowym z pierwszego tłoczenia! Parzone bez namaczania!

- Aha – mruknął czerwony nos. – Dawaj.

Ciszę biura wypełniło głośnie siorbanie. Czarownik przysiadł na taborecie naprzeciw miski z gorącą wodą.

- Dolać ci wrzątku?

- A ty, co? Rosół gotujesz?

- Wracasz do formy. Robisz się upierdliwy jak zwykle. Lepiej opowiedz, co ci się przydarzyło.

- Coś błysnęło i krajobraz mi się zmienił na jakieś zarośnięte chaszcze. Ten bandzior mnie dziabnął nożem, odskoczył i możesz mi wierzyć, tyle go widziałem.

- ???

- Nadepnął śpiącemu kotu na ogon... Aaaaapsik! Uff! Kiciuś miał ze trzy metry i kły długie jak turkmeńskie noże – Wontorek wzdrygnął się na samo wspomnienie. – Najpierw mnie powąchał, ale moje zamiłowanie do stopięćdziesiątek uratowało mi życie. W zapachu bardziej przypominałem mu popielnik, niż obiad, więc pognął za tym bandytą. Jak ich ostatnio widziałem, to galopowali w dolinie jakiś kilometr dalej... Aaaapsik! Gdyby nasi sportowcy mieli tak skuteczny doping, wszystkie złote medale należałyby do nich. A Potem? Aaaapsik! Szedłem dość długo według mapy do jaskini, gdzie powinien być ołtarz otwierający portal powrotny, trochę kombinowałem z odzieniem i wyposażeniem, ale jak się nie ma, co się lubi, to człowiek improwizuje. Potem żułem jakieś świństwo do przygotowania mikstury ofiarnej i jakoś się udało... Dotarłem.

- Hmmmm... – zadumał się mag zastanawiając się, czy powiedzieć przyjacielowi prawdę. – Chyba jednak nie dotarłeś.

- Nie... co? – szczerze zdziwił się detektyw. – To, co ja tu robię?

- Siedzisz i zaczynasz być upierdliwy. Teraz może ja ci streszczę, co się wydarzyło: zniknąłeś i nie było cię ponad miesiąc. A przy okazji gratuluję awansu – czarownik powstał i oddał Wontorkowi błazeński salut. Odpowiedziała mu erupcja czarnego dymu z dopalanej stopięćdziesiątki.

- Moment, ja chyba naprawdę coś przeoczyłem! – odparł zaskoczony, aczkolwiek mile połechtany po próżności Eskulap.

- Jak zniknąłeś trzeba było powiadomić mundurowych – wzruszył ramionami mag przybierając poważny wyraz twarzy. – Po co mieli mnie oskarżyć o zabicie i ukrycie ciała mojego ukochanego kuratora sądowego? A tak powiadomiłem, specjalna komisja zbadała sprawę, federalni powęszyli, uznano cię za zaginionego w akcji i na wszelki wypadek awansowano pośmiertnie do stopnia komisarza.

- Co mi po chlebowym, jak jest on pośmiertny! – tragizował Wontorek.

- Nie tragizuj, uznano cię za zaginionego, nie zmarłego... A przy okazji wyszły na jaw machlojki komisarza Wyskrobka. Chyba nie muszę dodawać, że emerytowanego komisarza Wyskrobka?

- No to mende mamy z głowy! – z uśmiechem skonstatował śledczy. – Najważniejsze, że dotarłem do ołtarza.

- Ile mam ci powtarzać, że nie dotarłeś?

- Nic nie rozumiem!

- No to czytaj! – i z absolutnie szczerym uśmiechem mistrz Pierwiosnek rzucił zaskoczonemu przyjacielowi poranną gazetę. – A przy okazji: stawiasz drinka Mangelowi i Lukasowi.

„Warsaw City Herald, nr 16547, wydanie poranne:  
 Jak donosi nasz korespondent z południa Europy, w muzeum starożytności alpejskich w Bolzano dokonano zuchwałej kradzieży. Ze szklanej, klimatyzowanej gabloty zniknęło zamrożone ciało Oetziego, legendarnego myśliwego z epoki brązu, uwięzionego przez pięć tysięcy lat w lodowcu Schnalstal w Alpach Tyrolskich. Policja z Bolzano jest przekonana, że jest to kolejna kradzież na zlecenie. IntPol na całym świecie śledzi uważnie rynek starożytności...”

\* \* \* \* \*

\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*OETZI – wszystko, co o nim napisałem jest prawdą, za wyjątkiem kraciastej marynarki; PROFESSIONAL KILLER – tego chyba tłumaczyć nie muszę; KIELTZE – to nasze pocziwe Kielce, ojczyzna wszystkich scyzoryków; „ANTYCZNA” – czarowniczy odpowiednik słynnej, polskiej wody kolońskiej „Prastara”; ZNANY PIOSENKARZ – Michael Jackson; AZOTAN SREBRA – opisana reakcja jest jak najbardziej prawdziwa; ODON KWAŚNAWY – guru wszystkich czarujących (dosłownie) majsterkowiczów, czarowniczy odpowiednik Adama Słodowego; GENOGRAPHIC PROJECT – trwa obecnie, ustala pochodzenie danej grupy ludzi na podstawie badań DNA; LUSTRO CZAROWNICY, SZATAŃSKI RÓŻANIEC – magiczne artefakty będące w moim posiadaniu; KICIUŚ – Smyrodon. Drobną kant z mojej strony; w czasach Oetziego takie kotki były już nieco wymarłe.*

## SEZON NA PIERWIOSNKA

### Rozdział IX: Kiosk z klątwami

#### *Ostrzeżenie przed nieodpowiedzialnym używaniem nawet najprostszyc czarów.*

Na trzynastym piętrze biurowca Spółdzielni Usługowej w samym centrum New Warsaw City syrena przeciwpożarowa wyła jak opętana. Wokół unosiły się kłęby czarnego dymu i pewne było, że stało się najgorsze. Nikt nie biegał, nikt nie panikował, nikt nawet nie krzyczał. Po prostu zwykli śmiertelnicy obawiali się przebywania na trzynastym piętrze, co było zrozumiałe. Każdy nowoczesny człowiek obawiał się trzynastki, która we wszelkich numerologicznych zestawieniach oznaczała gigantycznego pecha. Tymczasem właśnie na trzynastym piętrze powoli, flegmatycznie uchyliły się drzwi windy, która akurat osiągnęła odpowiedni pułap. Jeszcze bardziej powoli i jeszcze bardziej flegmatycznie, acz z należytych dostojnością, wysiadł z windy opasły pracownik techniczny. Wszyscy bez wyjątku na jego widok mieli jednoznaczne skojarzenie – borsuk, gdyż wyglądał zupełnie jak Pan Borsuk z popularnej dobranocki 3D w holowizji. Nosił podobne, długie farmerki z wielką kieszenią na narzędzia z przodu, taką samą czerwoną czapeczkę z daszkiem i miał nawet kilkudniową, siwą bródkę. Tylko – jak sam twierdził – puchaty ogonek miał nie z tej strony, co jego holowizyjny odpowiednik. No i jemu gorzej płacili.

Systematycznie, tyle tylko, że ociężale, skierował się do białych, biurowych drzwi z niebieską tablicą „Agencja Czarownicza - 1001 Życzeń. Spółka z wielce ograniczoną odpowiedzialnością”. Bez żadnego pukania i tym podobnych ceregieli, techniczny Pan Borsuk złapał za klamkę i dostojnie przekroczył próg biura. Tam, także bez pytania, sięgnął po taboret. Z miną wyrażającą znużenie rutyną wszedł na uginający się pod nim stół, sięgnął do kangurzej kieszeni swoich nieskazitelných farmerek i wyszukał odpowiednie narzędzie. Był to niewielki młotek, narzędzie proste, genialne i niezawodne w sytuacjach, gdy zawodziły wszelkie prawa logiki. Technik stanął na palcach, wziął niewielki zamach i stuknął młotkiem w czujkę dymową. Alarm przestał wyć.

- Teraz przynajmniej mogę się zdrzemnąć – mruknął gramoląc się z powrotem na poziom wyskubanego linoleum. Podeszedł do okna i uchylił lewe skrzydło. – Dobranoc!

Po chwili drzwi windy zamknęły się za nim.

- Dobranoc... - mruknęła rozkojarzona postać spowita kłębami czarnego dymu wydobywającymi się z czeluści wielgachnego fotela..

Po kilkunastu minutach delikatny przeciąg rozwał czarną chmurę potwornego dymu ukazując siedzącego w fotelu śledczego Eskulapa Wontorka z niedopałkiem kolejnej stopięćdziesiątki w zębach. W popielniczce obok leżało ich już dwanaście.

Detektyw wypróbował już chyba wszystkie metody wspomagania dedukcji: bezmyślne skubanie się po brodzie, przeczesywanie przepięknych załączków łysiny, podkręcanie nieistniejącego wąsa i przesiadywanie w gęstym, nikotynowym dymie. Pozostało już tylko jedno, ostateczne rozwiązanie. Detektyw wstał, na wszelki wypadek rozejrzał się wkoło, jakby się obawiając, że ktoś może zauważyć jego sekretne miejsce. Upewniwszy się, że jest absolutnie sam, wyciągnął oparcie fotela i z ukrytego schowka wytargał połyskujące politurą skrzypce. Grać nie umiał, ale wiedział z literatury fachowej, że żalosny jęk skrzypiec jest w stanie poruszyć nawet mury, a co dopiero szare komórki. Z lekką niepewnością stanął na wyprostowanych nogach, przyłożył skrzypce do ramienia, niepewnie pochwycił smyczek i rozpoczął rzępolenie. W majestatycznej ciszy biura agencji czarowniczej rozbrzmiały łagodne niczym balsam dźwięki koncertu skrzypcowego as-dur Nicolo Paganiniego.

- O żesz kur...! – westchnął zaskoczony śledczy.

\* \* \*

Wontorek siedział jak zwykle w swoim ulubionym fotelu. Jego naburmuszona mina zdradzała, że dowcip przyjaciela wcale mu nie przypadł do gustu.

- Jak można było wymyślić coś tak głupiego?

- Ależ Eskulapie! – mistrz Pierwiosnek pochylił swoje oblicze nad kryształową kulą oglądając po raz trzydziesty drugi powtórkę z monitoringu, ukazującą kompletnie zaskoczonego detektywa ze skrzypcami w ręku. – Portier Knappke mówił, że czasami obserwuje wieczorami, jak z pięter powyżej uciekają wszystkie pająki i myszy, więc ciekaw byłem, co jest grane. No i metodą dedukcji doszedłem do wniosku, że uciekają przed intensywnym źródłem poddźwięków.

- Wypraszam sobie! – oburzył się detektyw. – Dedukcja to moja domena!

- No niech ci będzie – przyznał młody mag. - Niemniej naturalny ciąg logiki doprowadził mnie do stwierdzenia, że tym niemiłym źródłem dźwięków jesteś ty, drogi Eskulapie. A swoją drogą, skutecznie przepłoszyłeś te gryzonie. Od czasu twoich... hmm... koncertów nie widziałem ani jednego. Nie pomyślałbyś aby o zmianie profesji?

- Pierwiosnek, zlituj się! – śledczy zapadł się w fotel cały czerwony na twarzy. – Mogłeś mi przyprawiać czarami wszystko, ale nie moje skrzypce!

- Zapisalem ci w smyczku wspaniały koncert – Oburzył się czarownik. – Nie każdemu jest dane wysłuchać tak niezwykle wykonanie!

- Ale nadal było to nagranie, nie ważne jak zapisane!

- Nie unós się, Eskulapciu – skwitował mag z uśmiechem. – Złość piękności szkodzi.

Wontorek poderwał się z fotela.



- Co ty mi tu o urodzie pociskasz! – wykrzyknął machając rękami. – Problem jest i nie widzę rozwiązania!
- O właśnie! – mag usiadł na krześle za szklaną kulą. – Powiedz, co cię gryzie od tygodnia. Chcesz się wyłożyć na kozetkę?
- Sprawa jest poważna, więc nie rób sobie jaj! – śledczy wymownie pogroził palcem. – Tylko ani pary z gęby! O skrzypcach tym bardziej!
- Pierwiosnek przejechał palcami po ustach zamykając wyimaginowany zamek błyskawiczny.
- Polegaj na mnie, jak na harcerzu! – dodał.
- W mieście grasuje seryjny morderca! – wypalił Wontorek.
- To go łapcie...
- To nie takie proste! Nie ma żadnych śladów przestępstwa!
- To skąd wiesz, że to seryjny morderca? – mag założył dłonie oczekując wyjaśnień.
- Sprawa jest poważna – Eskulap przysiadł na oparciu fotela sięgając do kieszeni koszuli po kolejną stopięćdziesiątkę. – Mamy czterdzieści trzy trupy.
- Ile? – mag aż wstał z krzesła.
- Czterdzieści trzy. Wszystko wygląda na bardzo nieszczęśliwe wypadki. Nie ma żadnych śladów....
- Koneksje?
- Żadnych związków pomiędzy ofiarami! – błysnęła zapalniczka rozżarzając stopięćdziesiątkę milutkim, czerwonym ognikiem.
- Może to faktycznie wypadki?
- Nie wierzę w takie nagromadzenie nieszczęśliwych wypadków! Wyobraź sobie, w ciągu dwóch tygodni faceta przebitego własnym kaktusem, aktora udławionego ziemią do kwiatków, nauczycielkę zakłutą przez stado mrówek, biznesmena przygniecione go żyrandolem, ucznia uwieszonego na prysznicu i księgową z tysiącem ran od rozbitego, kryształowego wazonu. A to tylko wierzchołek góry lodowej!
- Trzeba przyznać, że nawet Pierwiosnek był pod wrażeniem absurdalności tych wszystkich śmiertelnych wypadków.
- Trzeba było poprosić o konsultację czarowników federalnych.
- Konsultowaliśmy – detektyw pokiwał z politowaniem głową wypuszczając kłęb czarnego dymu.
- I co?
- I nic.
- To znaczy?
- Żadnego uroku nie rzucono – stwierdził śledczy. – Kilkakrotne badania nie wykazały nic. Żadnych śladów energii psychicznej, ataków czarowniczych, czy rzuconych uroków. Zupełnie tak, jakby śmierć się uwzięła na tych ludzi i po prostu nie odpuściła sobie, dopóki w wymyślny sposób ich nie ukatrupiła.
- Naczytałeś się horrorów – Pierwiosnek wyjął paczkę żelków w kształcie gwiazdek i mlasnął głośno pakując sobie do ust całą garść.

- Być może – przytaknął detektyw. – Jak ty możesz wcinać ten słodzony krochmal?

- Tak jak ty możesz palić te zmielone podkłady kolejowe okraszone suszoną kapustą – odparł przytomnie mistrz.. – Czyli nic nie macie? To skąd wiadomo, że to seryjny morderca?

Nad głową Eskulapa pojawił się tuzin kóleczek wypuszczonych przez rozkoszującego się dymem detektywa.

- Pod wycieraczką każdego z mieszkań, w którym miał miejsce nieszczęśliwy wypadek, odnaleziono mały, skórzany, czerwony woreczek z dziwną zawartością. Tak, jakby ktoś oznaczał mieszkanie, w którym ma się wydarzyć nieszczęście.

- Dziwne... - Pierwiosnek z całą pewnością chciał coś dodać, ale w tym momencie magiczna kula stojąca na srebrnej podstawie przed nim rozjarzyła się błękitnawym blaskiem ukazując zasuszonego staruszka w mundurze portiera.

- Witam panie Knappke – rzekła mag. – Czym można służyć?

- Jest tu dwóch dżentelmenów z resortu – portier mrugnął konfidencjonalnie. – Przyjechali po pana Wontorka, podobno jest następny. Pan Wontorek podobno ma wiedzieć, o co chodzi. Zresztą ja też już wiem.

- Zaraz przyjdę! – krzyknął Eskulap i pognął do sąsiedniego pomieszczenia po płaszcz.

Po chwili szamotaniny wpadł z powrotem do pokoju, gdzie przed wygaszoną już kulą nadal siedział młody czarownik.

- Chodź ze mną – zaproponował śledczy. – Może ty coś zauważysz.

- Znam się tylko na czarach – Pierwiosnek wzruszył ramionami. – A federalni są lepiej szkoleni. Jak oni nic nie znaleźli...

- Nie marudź, chodź! – Eskulap złapał czarownika pod pachy i postawił do pozycji zasadniczej. – Żylaków odbytu się nabawisz siedząc w tym biurze non-stop! Tylko ani słowa o skrzypcach!

\* \* \*

Do niewielkiego mieszkania na drugim piętrze kamienicy czynszowej prowadziły drzwi wykładane jasnobrązową boazerią. Skromne wyposażenie kawalerki świadczyło tylko o niezbyt bogatym, aczkolwiek porządnym lokatorze, kimkolwiek on nie był. W środku oczekiwali już młodszy śledczy i technik, który pozabezpieczał najważniejsze ślady, choć było pewne, że i w tym przypadku nie będzie przełomu w śledztwie. Eskulap wszedł do pokoju i z obojętną miną obejrzał pochyloną kobietę około czterdziestki nabitą na kij od szczotki wsparty o koślawe klepki parkietu.

- Cześć - Rzucił do pracujących policjantów. – Jak to wygląda?

- Fajnie – rzucił młodszy śledczy. – Wygląda na to, że szczotka się kobiecie zaklinowała między klepkami parkietu, a kiedy kobiecina naparła na kij, ten pękł tuż przy uchwycie, a babina całym impetem poleciała na ostry kołek.

- A ty coś masz? – detektyw skierował pytanie do technika.
- Nic. Tak jak i poprzednio – technik wstał i popatrzył na zgięte wpół ciało nieszczęsnej lokatorki. – Poza tym ładny tyłek. Szkoda! A ten, to, kto?

Technik podszedł do Pierwiosnka, który lekko zniechęcony wielką kałużą krwi wokół miotły nadal oczekiwał w przedpokoju.

- Cywilny konsultant – odparł od niechcienia Wontorek.
- Trochę ci zzieleniał – technik uśmiechnął się ukazując złotego zęba w klawiaturze. Po chwili sięgnął do kieszeni. – Chcesz miętówkę? Pomoże ci przetrwać ten pierwszy raz.
- Dziękuję – odparł mag pchając sobie w usta od razu trzy sztuki.

Wontorek obrócił się i podszedł do technika.

- Woreczek zabezpieczyłeś? – zapytał.
- Jak zwykle.
- Co tym razem?
- Zobacz – technik nałożył gumowe rękawiczki, choć określił przedmiot jako „czysty”.

W niewielkim, foliowym woreczku znajdował się jeszcze mniejszy, skórzany woreczek w kolorze czerwonym, przewiązany zwykłym sznurkiem. Obok było kilka drzazg odłupanych z klocka drewna.

- Czy drzazgi pochodzą z kija od miotły? – zdziwił się detektyw.
- Nie – bąknął technik. – To zwykłe, miękkie drewno opałowe. Dostępne w całym mieście.
- A sznurek?
- Jak zwykle. Dostępny w całym mieście, na każdej poczcie.
- Cholera jasna! – zaklął detektyw.
- Jak zwykle – skwitował młodszy kolega. – Także dostępna w całym mieście.
- Masz jakieś sugestie? – Wontorek skierował pytanie do czarownika.
- Poza tym, że mi przeszła ochota na puszczenie pawia, to chyba tylko dwie.
- Wal!
- To na razie teoria... Czy masz może dokumentację innych zbrodni?

Eskulap zawahał się na moment. Nie był pewien, czy wprowadzenie cywila do sekcji kryminalnej będzie dobrze widziane przez przełożonych.

- No dobra – dodał po chwili. – Pojedziemy na komendę.
- Śmigajcie – rzucił technik. – Poczekamy, aż zabiorą ciało, potem zaplombujemy lokal. Ciekawe, co wykombinował ten twój konsultant.

\* \* \*

Przez przysłonięte żaluzje sączyły się ciepłe promyki popołudniowego słońca. Pierwiosnek siedział w służbowym fotelu śledczego Eskulapa Wontorka i z lekkim obrzydzeniem oglądał ponad czterdzieści fotografii z domniemanych miejsc zbrodni. Na biurku tuż przed nim leżały rozłożone fotografie ofiar w

różnych pozycjach, natomiast jedynym wspólnym wyznacznikiem wszystkich tych niezwykłych fotek, było morze krwi pod ofiarą. Z paroma wyjątkami.

- Nic ich nie łączy – Eskulap bezlitośnie ćmił swoją ulubioną stopięćdziesiątkę. – Poza tymi tajemniczymi woreczkami.

- O właśnie! – ożywił się mag. – Mogę je zobaczyć?

Eskulap podszedł do drzwi i poprosił kolegę o przyniesienie dowodów do prowadzonej sprawy. Po kilku minutach pojawił się umundurowany policjant taszczący spore pudło.

Śledczy postawił je na biurku i wygrzebał spięte ze sobą foliowe worki z dziwną zawartością.

- Proszę. Z każdego miejsca zbrodni jeden – Wontorek podał przyjacielowi dowody.

- Hmmmm – zadumał się mag przyglądając się każdemu z nich. – Różne ściegi... drobnutkie szycie... jakby krasnoludki je wykonały...

- Nie przesadzasz z interpretacją? – Eskulap był już trochę poirytowany, wszak sprawa nie posunęła się ani na krok, a nieboszczyków przybywało. – Nie mogę się uganiać za brodatymi kurdupłami w czerwonych czapeczkach.

- Nie do tego zmierzam – mag dalej porównywał poszczególne woreczki. – każdy z nich jest jakby szyty przez małe, zręczne rączki, ale każdy jakby przez inne. Ciekawe!

- Może masz rację. Bardziej mnie intryguje, co one oznaczają. Czy faktycznie są markerami do wyznaczania feralnego miejsca?

- Nie do końca masz rację – mag popadł w zadumę obserwując poszczególne przedmioty wyciągnięte z kolejnych, czerwonych woreczków. – Czy można to jakoś przyporządkować do zdjęć?

- Po sygnaturze na worku zabezpieczającym dowód. – Eskulap odwrócił foliowy worek ukazując wypisany ręcznie na białej naklejce numer sprawy.

- Aha! – skwitował mag i błyskawicznie rozłożył wszystkie zdjęcia na biurku anektując przy okazji drukarkę i faks. Po chwili na każdym zdjęciu wylądował jeden woreczek z tajemniczą zawartością.

- I co ci wyszło z tego pasjansa? – Wontorek jak zwykle był sceptyczny.

- Sam popatrz – mag odsunął się robiąc miejsce przyjacielowi. – Czy coś cię nie zastanawia?

- Oświeć mnie, o wielki!

- Facet nadziany na kaktusa – Pierwiosnek podniósł woreczek przyporządkowany do odpowiedniego, makabrycznego zdjęcia. – Woreczek zawiera kolce.

- Aha...?

- Ten znany aktor... Rafaelski. Udławiony ziemią z kwiatków, bo akurat się potknął i wylądował twarzą w doniczce z fikusem. W woreczku jest ziemia. Badaliście ją?

- Tak. Pochodzi z pobliskiego cmentarza.

- Ziemia cmentarna? – zdziwił się mistrz. – Osobliwe! Dalej: nauczycielka zagryziona przez mrówki w swoim domu: w woreczku kilka odciętych owadzich główek.

- Czego to dowodzi? – zapytał śledczy.

- Moment – mag pochwycił kolejne zdjęcie i kolejny woreczek. – Biznesmen, żyrandol i kamień w woreczku. Ciężki kamień. Albo to: ohydne zdjęcie....

- Księgowa – objaśnił detektyw. – Wykrwawiła się. Tysiąc ran od szkła.

- Biedaczka! W woreczku potłuczone szkło.

- Zaczynam nadążać – twarz Eskulapa rozjaśnił uśmiech. – A dziś kobieta nabita na kołek, nieważne, jaki, byle drewniany, a w woreczku drzazgi!

- Dokładnie tak, mój drogi Eskulapie!

- Jestem genialny, nie?

- Masz rację: nie.

- Dobra – Eskulap po raz pierwszy od tygodnia pozwolił sobie na odrobinę radości, bo oto śledztwo poruszyło się odrobinę do przodu. – Więc to jest zapowiedź rodzaju śmierci?

- Nie Eskulapie – czarownik potrząsnął swoją złocistą czupryną. – To jest mina.

- Jaka mina?

- Czarownicza mina. Dokładnie nie wiem, nie znam tej magii, ale mogę popytać. Niemniej – odpowiedz sobie na pytanie: gdzie są umieszczane?

- Pod wycieraczką...

- Właśnie! – z uśmiechem odpowiedział Pierwiosnek. – Delikwent, na którego zastawiono pułapkę przestępuje przez nią i bum! Uruchamia falę nieszczęść! A rodzaj fali nieszczęść zależy od przedmiotu ukrytego w „minie”. Zauważ, zawsze jest to coś, przedmiot, zbiór przedmiotów o złej symbolice. Potłuczone szkło, drzazgi, ziemia z cmentarza... Coś muszę jeszcze sprawdzić.

- Mianowicie?

- Daj mi czystą kartkę z drukarki... Czy mogę zawartość woreczków wysypać na kartkę?

- Tak – odparł śledczy. – Mikroślady już zostały zdjęte, zresztą i tak ich nie było.

Czarownik wysypał potłuczone szkło na śnieżnobiałą kartkę formatu A4, którą otrzymał od lekko zdziwionego Wontorka. Sięgnął do paska i odwiązał czarny mieszek, który po rozwiązaniu okazał się pełen żółtawego proszku.

- Jakaś twoja magiczna miksturka? – zapytał Eskulap, jak zwykle uprzedzony do magii, nawet tej najprostszej.

- Zwykła techniczna siarka – objaśnił przyjaciel. – Niezastąpiona jako indykator czarów. Posypie teraz szczyptą siarki przedmiot z czerwonego woreczka i poobserwujemy, co się będzie działo.

Faktycznie, żółty proszek po zetknięciu się ze stłuczonym szkłem zmienił się w płynną ciapę, która poczęła jakby wrzeć i po chwili przybrała kolor brązu. Wszystko było jasne.

- Te przedmioty zostały poświęcone – zawyrokował Pierwiosnek.

- Rozumiem, że szukamy czarujących krasnoludków, które atakują na oślepi, bo nie lubią ludzi? – Eskulap z impetem zagasił papierosa w popielniczce. – Nikt mi w to nie uwierzy, a już szczególnie szef. Co robisz?
- Odcinam kawałeczki skóry z każdego woreczka – wyjaśnił czarownik operując przy woreczku nożyczkami ze służbowego zestawu śledczego Eskulapa Wontorka.

\* \* \*

Wieczorem Pierwiosnek poprosił Wontorka o natychmiastowy przyjazd do Agencji. Pogoda była wymarzona na wieczorny spacer, blado świecił jesienny księżyc, dookoła tu i ówdzie dawał o sobie znać świerszcz zwiastując powoli nadchodzącą zimę... niemniej, detektyw zjawił się w biurowcu Spółdzielni Usługowej dobrze po dziesiątej. Kiedy tylko wjechał na trzynaste piętro, od razu został porwany – dosłownie – przez pewnego zaprzyjaźnionego czarownika, który działał jak w ekstazie.

- Tłumaczyć ci dokładnie, tak abyś zrozumiał? – zapytał mag pokazując zakłopotanemu detektywowi niewielkie urządzenie sprzężone z magiczną kulą.
- Wy tłumacz, jak dla idioty – uśmiechnął się policjant, bo nawet nie chciał wiedzieć, co młody mistrz magii znowu wymyślił. – Tak, abym nic nie zrozumiał, byle szybko. Wieczór jest naprawdę piękny, więc idę do Clicklego na Capuccino. Raz się żyje. Podobno...
- Nie gładź, siadaj – To ostatnie polecenie nie było potrzebne, bo śledczy został już brutalnie usadzony na taborecie.
- O w mordę – jęknął. – Czym ja ci zawiniłem, że mnie tak mordujesz tą swoją magią?
- Mówiłem ci, że marudzisz?
- Zawsze mi to powtarzasz.
- I jak?
- Nieskutecznie, niestety!

Mistrz machnął tylko rękami i pospiesznie wyszedł do sąsiedniego pokoju. Po chwili wrócił odziany w rytualny płaszcz z białego płótna z czerwonymi haftami, z których Wontorek i tak nie rozumiał nic. Czarna magia!

Tymczasem Pierwiosnek ułożył fragment czerwonej skóry na czymś, co wyglądało na futurystyczne kowadełko ustawione pomiędzy dwoma porcelanowymi miseczkami, z czego jedna była wypełniona białym proszkiem, druga zaś przezroczystą cieczą. Całość była podłączona kabelkami ze srebrną podstawą szklanej kuli. Pierwiosnek wymruczał krótką inwokację po starosumeryjsku i aptecznym zakraplaczem pobrał odrobinę ciemnej cieczy z buteleczki, której do tej pory zaskoczony Wontorek nie zauważył.

- To jest mini ołtarz demona, który ujawnia wywołującemu innych magów. Wystarczy odrobina mikstury ofiarnej, bo i przedmiot nie jest duży, kilka

inwokacji, a po chwili demon zezwolił nam zobaczyć twórcę tych magicznych cacuszek... tego całego pola minowego, jak wolisz.

Faktycznie, w bladym świetle rozjaśnionej szklanej kuli poczęła się rysować ludzka sylwetka.

- Mamy naszego krasnala? – wyszeptał z niedowierzaniem detektyw.

- Ejże, Eskulapie! Nie musisz tak bogobojnie szeptać. Chyba tak, poczekajmy aż obraz się wyostreży.

Po chwili w szklanej kuli majaczył obraz malutkiej, uśmiechniętej dziewczynki z długimi warkoczami.

- Nic z tego nie rozumiem – rzucił na wydechu mag, po czym energicznie zmienił próbkę i ponowił eksperyment.

Nie minęły trzy minuty, a w szklanej kuli ukazał się góra pięcioletni aniołeczek z kucykiem. Kolejna próbka zdradziła inną dziewczynkę, z ciemnymi, krótkimi włosami, ale jedno było pewne: dziecko nie mogło mieć więcej, jak sześć lat.

- Ty, ten twój duch to jakiś pedofil? – zapytał Wontorek nie bardzo pewien, do czego miał prowadzić eksperyment czarownika.

- Nie obrażaj go, to bardzo mądry i użyteczny duch – przestrzegł mistrz. – Niestety, choć zawsze przekazuje informacje wprost, teraz chyba posłużył się zagadką.

- Czy możesz mi jakoś zarejestrować obrazy tych dziewczynek?

- Nagram ci to na crystal dysk z powtórki, teraz obejrzymy pozostałe fragmenty woreczków.

Niestety, pozostałe próbki także ujawniły tylko małe dziewczynki. Po północy Eskulap postanowił już iść do domu. Spakował crystal dysk do kieszeni i zjechał windą na parter. Tym razem wziął taksówkę.

\* \* \*

Rano Pierwiosnek pognął na komendę. Nie, dlatego, że chronicznie przepadał za psami i niekoniecznie, dlatego, że nagle został cywilnym konsultantem policji do spraw czarów, ale tylko, dlatego, że nad ranem miał koszmarny sen. We śnie, a raczej w wizji widział, jak Eskulap stoi przed więzienną celą pełną małych, popłakujących dziewczynek i ryczy z całych sił: „Jesteście aresztowane za rzucanie śmiertelnych uroków! Paragraf 485 KK!”. Jednak kiedy dotarł do biura detektywa, przekonał się, że jego sen miał bardzo wiele wspólnego z rzeczywistością.

- Rozesłałem z samego raniuszka wywiadowców do wszystkich przedszkoli w mieście z wydrukowanymi wizerunkami poszukiwanych dziewczynek...! – oznajmił radośnie śledczy na widok przyjaciela. – Jadłeś już śniadanie?

- Chyba nie aresztowałeś czterdzieścioro kilkoro dzieci? Nie, nie jadłem – odparł zdyszany mag.

- To chodź do bufetu na kanapkę – Wontorek wstał i gestem zaprosił, a właściwie wyprosił przyjaciela. – Zasłużyłeś na porządne śniadanie. Policja stawia.

- Już wiem, na co idą moje podatki...!

- A czy jako działalność niszowa nie jesteś, aby zwolniony z podatków? – śledczy przybrał ojcowski wyraz twarzy, jakby chciał dodać „synu, nie ucz ojca dzieci robić!”.

Zeszli po schodach do bufetu, zamówili po dwie kanapki z białym serem i tuńczykiem na świeżej sałacie, do tego kakao.

- Nasi wywiadowcy nie musieli długo szukać. Przy Dry Gin Road jest przedszkole niepubliczne i wyobraź sobie, że wszystkie fotki, jakie miał wywiadowca pasowały do dziewczęcej części grupy starszaków! – oznajmił zadowolony z siebie Wontorek.

- Głatułacie!

- Nie mów z pełnymi ustami, przyskasz serem na lewo i prawo! – oburzył się policjant.

- Pardon! – odparł mag koncentrując się na sałacie i tuńczyku. – I co? Aresztowałeś wszystkie starszaki i maluchy?

- Nie, ale jestem po południu umówiony z kilkoma mamuškami podejrzanych dziewczynek. Wpadnę do ciebie wieczorkiem, to obgadamy wyniki rozmów i dalszą strategię. Coś mi mówi, że będzie to niezły pasztet!

- Chwilowo tuńczyk i to całkiem dobry – odparł czarownik i wepchał sobie pół kanapki do ust. Eskulap parsknął śmiechem.

\* \* \*

Wieczorem śledczy Wontorek przyszedł prawie punktualnie. Prawie, bo nie określił godziny, o jakiej porze jest u niego wieczór. Dochodziła dziewiąta.

- Witaj pogromco przedszkolaków. Powlepieałeś już dzieciom mandaty za złe parkowanie rowerków, czy za zaśmiecanie ulic pieluchami? – rzucił będącemu jeszcze przy windzie śledczemu czarownik.

- Choróbcia dróbcia! – wrzasnął rozdrażniony Eskulap wymachując jakimś kolorowym brukowcem. – Gazety zwęszyły już sensację!

- Siadaj – mag wskazał przybyłemu fotel i podsunął puszkę prażonych fasolek.

- Dzięki – uprzejmie odparł detektyw. – Nie jadam tego świństwa. To dobre dla wróbli!

Tymczasem Pierwiosnek wstał, podszedł do szklanej kuli i potarł ją delikatnie.

- Pytałem wuja o te woreczki. Sprawa jest poważna. Oto nagranie wypowiedzi Pierwszego, który jest najwyższym mistrzem magii spośród obecnie żyjących magów. Poza tym to właściciel agencji, prezes, no i mój szef.

- No to posłuchajmy...- Wontorek rozsiadł się w fotelu i zaczął grzebać w kieszeni za paczką swoich ulubionych papierosów.



W szklanej kuli rozjaśnionej błękitną poświatą pojawił się mistrz w ciemnych okularach i hawajskiej koszuli. Miast magicznych artefaktów trzymał w ręku kieliszek z białym drinkiem zwieńczonym lukrowaną wisienką.

„... tego, o co pytasz, nie widziałem przynajmniej od czterystu lat. To czarownicze pułapki zwane amuletkami, lub „małymi klątwami”; prymitywne i cholernie skuteczne! Bazują na prostej magii ziemi, umieszcza się je głównie na progu domostwa wroga. Na początku w określonym dniu i o określonej godzinie – zgodnie z kalendarzem gwiazdowym – sporządza się malutki woreczek z czerwonej skóry. Woreczek musi być uszyty przez dziewczicę! Do środka wsypuje się tzw. „zły przedmiot”, koniecznie poświęcony. I tyle. Teraz wystarczy pułapkę umieścić i czekać na efekt. Opis tego mechanizmu zawarłem w „Zielonym Grimmuarze”, ale nigdy nie stosowałem. To takie nieeleganckie, atakować znienacka... To chyba tyle – obrony przed tym nie ma, można tylko osłabić działanie. A teraz prosba – panie Wontorek, niech pan zgasi tego śmierdzącego papierosa!”.

Kula poszarzała, nagranie się skończyło. Ukryty za magiczną kulą młody mag dusił się ze śmiechu. W fotelu siedział śledczy Wontorek zastanawiając się, co zrobić z zapalonym papierosem.

- Minę masz nie tęgą, drogi Eskulapie! – Pierwiosnkowi trudno było opanować chichot.

- Skąd on wiedział...?

- Mój drogi, to nie było trudne do przewidzenia! – odparł wciąż uśmiechnięty mistrz. – Tak właściwie, gdybyś siedział bez stopięćdziesiątki, to dopiero by było święto!

Eskulap na wszelki wypadek zagasił jednak papierosa. Wstał i podszedł do biurka.

- Reasumując. Wiemy już, dlaczego produkują to przedszkolaki.

- Gwarancja dziewictwa... - zamyślił się Pierwiosnek. – Potem jest już różnie, młodzież dziś bardzo wcześnie dorasta. Ale kto za tym stoi?

- Ty sobie myślisz, że policja to tylko się kanapkami obżera? – tajemniczy uśmiech Eskulapa zapowiadał rewelację. – Wiemy także, kto. Pytanie tylko, po co? Brak motywu.

- No to mów, co i jak, ciekawość mnie rozsadza!

- Sprawczynią jest pani przedszkolanka, która uczy dziewczynki szycia – objaśnił detektyw z miną triumfatora. – Dzieci robią niewinne robótki ręczne, najładniejsze umieszcza się w gablotce, reszta jest wykorzystywana nieco inaczej, jak już wiesz.

- Dobra, łykam to – Pierwiosnek przyjął rewelację ze stoickim spokojem. – Znamy już modus operandi, znamy sprawcę, tylko, jaki jest motyw?

- Pojęcia najmniejszego nie mam.

Przez chwilę Wontorek wpatrywał się tępo w zagaszonego papierosa.

- Co ci chodzi po głowie?

- Pchełki – palnął śledczy, choć było wiadomo, że coś faktycznie się rodzi w jego skołowanym umyśle. W bólach.

- Myślę... - zaczął niepewnie. – Myślę, że tu powinien ingerować człowiek-spyt.

Pierwiosnek aż poderwał się z siedzenia.

- Foxman? – zapytał zdziwiony. – Znowu przywdziejesz lisią maseczkę zamaskowanego bohatera i tą gejowską pelerynę?

Pomimo pewnych oporów czarownika, pewnym było, że Eskulap już postanowił.

- Postanowione! – palnął pięścią w blat biurka i po chwili pożałował, bo palnął ociupinkę za mocno. – Oficjalnie nie mogę wejść do jej mieszkania bez nakazu, a załatwianie papierów potrwa z tydzień. Musisz ją odciągnąć.

- Ja? – zdziwił się mistrz.

- A widzisz tu kogoś jeszcze?

- Hmmm!

- O wpół do dziesiątej wyprowadza pieska, więc staniesz pod blokiem z tym – tu Eskulap wyszarpnął kwiatki z wazonu. – Powiesz, że jesteś jej nowym sąsiadem z bloku naprzeciwko i zaprosisz do kina, dyskoteki, czy gdzie tam chcesz, a ja wtedy sprawdzę mieszkanie.

- Oszalałeś! – wrzasnął Pierwiosnek. – Mam podrywać starą, zdziwaczalą pannę z pieskiem? I co ja jej powiem?!

Eskulap przywdział uśmiech numer pięć.

- To, co kobiety lubią najbardziej – zniżył tajemniczo głos. – Komplement. Poza tym ona jest prawie w twoim wieku.

- Drogi Eskulapie, od nadmiaru tuńczyka w żołądku klepki ci się poprzestawiały! Musiał być niezbyt świeży!– Pierwiosnek nadal był zbulwersowany pomysłem przyjaciela. – To, co mam jej powiedzieć?

- A ja wiem? – śledczy zruszył ramionami. – Może coś wyszukanego? Że jest piękna jak nereida? No, zbieraj się, nie mamy czasu!

- O Święty Samaelu, aleś mnie przyjacielem obdarzył! – jęknął cywilny konsultant Eskulapa „Foxmana” Wontorka. Dochodziła dziewiąta piętnaście.

\* \* \*

O jedenastej drzwi Agencji Czarowniczej „1001 Życzeń” uchyliły się powtórnie. Do pokoju wszedł bardzo cichutko pewien przygarbiony cień. Wstydliwie, z cichutkim pojękiwaniem udał się na wielgachny, luksusowy fotel. Nim do niego dotarł, światło w pokoju zapaliło się demaskując czekającego za biurkiem maga.

- Co ci się stało? – Pierwiosnek nie był w stanie opanować zdziwienia na widok przyjaciela.

Istotnie, Eskulap Wontorek wyglądał żałośnie. Poszarpana peleryna, lisa масечка nabita kolcami, oberwany rękaw czarnego golfu i brak jednego buta. Obraz nędzy i rozpacz.

- Wlazłem na balkon – wyjaśnił śledczy zdejmując lisią масечkę. – W mieszkaniu był piesek, więc rękaw. Kiedy już zagnałem bydlę do łazienki – peleryna - i zacząłem przeszukiwanie, niespodziewanie ktoś przyszedł. Uciekłem na balkon i stanąłem za barierką. Tam został but. A ta jędra wypuściła psa z łazienki...

- Dopadł cię?

- Pod balkonem był krzak dzikiej róży. A co się stało tobie? – Nędza i Rozpacz rozsiadły się wygodnie w fotelu sięgając za oparcie, gdzie niechybnie znajdowała się kolejna paczka stopięćdziesiątek. Kłęb czarnego dymu informował wszem i wobec, że tajemniczy Foxman się nie mylił.

- Było nawet miło. Szła do domu bez psa – zaczął czarownik. – Podszedłem, dałem kwiatki z pytaniem, czy przyjmie od nieznajomego, uśmiechnęła się i coś zaszczębiotała. Potem zaprosiłem do kina, pocisnąłem ten kit o oczarowanym sąsiedzie i zasunąłem ten komplement z hemoroidą.

- Co?! – Wontorek wybałuszył oczy.

- Powiedziałem jej, że jest jak rozkwitająca hemoroida – palnął Pierwiosnek. – Przecież sam mi tak kazałeś...

- NEREIDA, bałwanie! Nereida! – Eskulap zakrztusił się dymem, aż oczy mu zaszczyły łzami.

- Aha – uciał zdezorientowany mag. – A jaka jest różnica?

- Khe! – śledczy nadal kaszłał, jednocześnie śmiejąc się i ocierając łzy na przemian i w dowolnej konfiguracji. – Hemoroida to inaczej żyłak odbytu.

- To już wiem, dlaczego dostałem w pysk – mruknął mag i zaczął wodzić wzrokiem po przyniesionej uprzednio przez detektywa gazecie. Nagle spoważniał.

- Eskulapie!

- Khe, co?

- Khe gazeta!

- Człowiek się tu krztusi, a ty sobie z niego jaja robisz! – przyznał z oburzeniem.

- Mamy kolejny trop – twarz młodego mistrza nabrała rumieńców także i z drugiej strony.

- Pójdziemy śladem gazety? – Eskulap wyraźnie spoważniał. - Przecież to szmatławiec!

- Ale go czytujesz! Posłuchaj ogłoszenia: „Chcesz się pozbyć kogoś, kto cię denerwuje, zakup Magiczny Woreczek Mamy Wiewiórki! Tel. 0700 666 666”.

- Co za bzdura? – Eskulap najwyraźniej na nadażał. – Mam aresztować Wiewiórkę i do tego matkę?

Pierwiosnek wstał z krzesła i podszedł z otwartą gazetą do przyjaciela. W tle ogłoszenia widniał czerwony mieszek, identyczny z tym, jakich policja miała już kilkadziesiąt w swojej kolekcji.

- Patrz i mnie nie denerwuj, bo zadzwonię do Mamy Wiewiórki! – zagroził mag.
- Mylisz się! – wykrzyknął śledczy i zerwał się z fotela. – To ja zadzwonię!

\* \* \*

Nazajutrz z samego rana Pierwiosnek odebrał wezwanie do stawienia się w komendzie w celu dokonania dalszych czynności śledczych. Został przez policyjny automat poinformowany o tajemnicy służbowej, oraz o tym, że przysługuje mu wynagrodzenie w wysokości pół krugeranda za godzinę, jako cywilnemu konsultantowi policji. „Kapusiowe” nie było może imponujące, ale bardziej pociągało go zakończenie prowadzonej przez śledczego Wontorka sprawy tajemniczych pułapek czarowniczych. Już o ósmej stawiał się na komendzie, gdzie uprzejmy dyżurny usadowił go na drewnianej ławie. Po chwili w drzwiach pojawił się śledczy Eskulap Wontorek dzierżąc dwie potężne kanapki z jajecznicą i pieczarkami.

- Cześć, jedna dla ciebie – wystękał między solidnymi kęsami.
- Nie żałujecie tu sobie – skwitował mag. – Cześć i dzięki. Jeszcze nic nie jadłem.
- Sprawdziliśmy – ciągnął Wontorek gestem zapraszając mistrza magii na korytarz. – Numer zarejestrowano na pewną miłą kioskarkę. Muszę przyznać, że wśród innych kioskarek, ta się bardzo wyróżnia.
- Ma trzy cycki?
- No, trzeba przyznać, że jest niezła – twarz Eskulapa wykrzywił półuśmiech. – Ta wyjątkowa dama jest starszą siostrą twojej hemoroidy.
- Nawet mi nie przypominaj! – wrzasnął Pierwiosnek wzbudzając tym sensację w korytarzu komendy. – Chcesz oberwać pieczarkę?
- Oddam jajecznicą! Nie marudź, chodź!
- Dokąd mnie ciagniesz, brutalu?
- Idziemy do kiosku zamówić „małą kłatwę” – odparł Wontorek i wpakował sobie pół bułki w usta. Dalsza konwersacja była niemożliwa, tym bardziej, że detektywa zatkało. Dosłownie i w dodatku na kilkanaście minut.

\* \* \*

- Zamówiłeś, jak ci kazałem? – spytał detektyw przyjaciela, gdy ten wrócił w mrok bramy kamienicy vis-a-vis kiosku.
- Tak – skinął Pierwiosnek. - Mam się zgłosić o zachodzie słońca.
- Cena?
- Dwieście krugerandów, tak jak mówiłeś – mag wyciągnął z kieszeni drażetki.
- Chcesz?
- Nie, dzięki – Wontorek wsadził ręce w kieszenie i zaczął się bujać na piętach.
- Ale coś mi się wydaje, że miałeś mi coś zakupić...?

- Masz te swoje kopciuchy! – fabrycznie nowiutka paczka stopięćdziesiątek powędrowała błyskawicznie do ręki detektywa.

- No to czekamy na jej ruch.

Jasnym było, że skoro Pierwiosnek miał się zgłosić po zamówienie wieczorem, to „małej kłątwy” nie ma jeszcze w miejscu odbioru.

- Chwileczkę, zamyka kiosk! – Eskulap przylgnął do ozdobnego portyku.

- Daj się kobiecie spokojnie wysikać! – mruknął mag pchając sobie w usta całą garść pomarańczowych draży.

Tymczasem kobieta zamknęła kiosk i poszła wzdłuż witryn sklepowych. Gdy dotarła na wysokość mięsnego, Wontorek ruszył ostrożnie za nią, ciągnąc za ramię przyjaciela. Minęli Jim Beam Street, skręcili w bulwar Olmeca i kiedy dochodzili do Preasure Tower, kobieta niespodziewanie przeszła na drugą stronę ulicy.

- Ty, ja już wiem, gdzie ona idzie! – szepnął zasapany Pierwiosnek i przeszedł przez dziurę w płocie mijanej właśnie szkoły. Eskulap podążył za nim, bo wiedział, że czarownik zna teren, jak własną kieszeń, jeszcze z czasów młodzieżowego gangu. Po sforsowaniu żywopłotu i dwóch parkanów, detektyw i jego cywilny konsultant stanęli pod znajomo wyglądającym blokiem.

- Miałem nosa! – mruknął śledczy. – Woreczki trzyma u siostruni!

- Idziemy tam? – zdziwił się mag, gdy Wontorek wszedł do klatki schodowej.

- A jak mam je aresztować? Telegramem?

- No dobra, już dobra!

Weszli. Po zaliczeniu kilkudziesięciu schodów stanęli przed drzwiami mieszkania. Eskulap delikatnie złapał za klamkę, drzwi się uchyliły. Na szafce w przedpokoju stała reklamówka wypełniona małymi, czerwonymi woreczkami. W przymkniętym pokoju obok słychać było dwa kobiece głosy. Detektyw delikatnie, najciszej jak umiał wziął reklamówkę z trefnym towarem i podał czarownikowi.

- Trzymaj! – szepnął. – Najlepiej wynieś i zabezpiecz na zewnątrz.

Pierwiosnek zniknął na chwilę.

- Dziwię się, że nie zamknęły mieszkania na zamek... - wyszeptał po powrocie.

- No przecież mają psa! – skonstatował Wontorek i w tym momencie poruszył się obok nich wielki cień spoczywający nieruchomo w korytarzu.

- Pies! – wrzasnął czarownik, lecz było już za późno. Gigantyczna bestia skoczyła na Eskulapa przyduszając go całym ciężarem ciała, ten poleciał na przyjaciela zwalając go z nóg podwójnym ciężarem ciała. Potężny łoskot padających ciał wywabił rozmawiające dziewczyny z pokoju. Spośród płataniny rąk, nóg, łap i innych kończyn wyslizgnęła się ręka z policyjną odznaką.

- Jesteście aresztowane w imieniu prawa! – zakrzyknęła zupełnie po ludzku wielonoga hybryda.

- Wiejemy! – zakrzyknęła stojąca w drzwiach pokoju kioskarka. Zręcznie jak kozica przeskoczyła przez skotłowane na chodniczku ciała i pognęła ku wolności, prosto w czelusć klatki schodowej. Tuż za nią wyskoczyła młodsza

siostra, chwilę po nich z podłogi zerwał się olbrzymi pies i dał susa w drzwi. Sekundę później budynek zadrżał, a potężny łomot wzbudził szyby we wszystkich oknach. Do mieszkania wdarł się tuman białego kurzu. Kiedy biała chmura opadła, obnażyła dwóch siedzących na dywaniku białych jak czeladnicy młynarza osobników, przy czym jeden z nich miał coś jakby szczotkę w zębach.

- Eskulap?

- Tfu! Co? – odparł drugi młynarczyk.

- Co ty tam konsumujesz? – spytał zupełnie serio Pierwiosnek. – Upolowałeś chomika?

- To psi ogon! – warknął Wontorek plując na lewo i prawo sierścią. – To bydle mnie ugryzło, to i mu oddałem! Ciekawe, co tak gruchnęło?

- Daję głowę, że zarwały się schody w całym pionie – odparł zupełnie poważnie mag.

- A nasze drogie panie?

- Są świętej pamięci paniami.

- Skąd ta pewność? – zdziwił się policjant.

Pierwiosnek wstał i podszedł do okna. Przez okno było widać zbliżającą się na sygnale straży pożarnej oraz miejskie ekipy ratownicze.

- Te woreczki, „małe klątwy”...

- Co woreczki? – Eskulap drażył temat.

- No... - czarownik nie wiedział, co ma powiedzieć. – Wystawiłem je tylko za drzwi... były prawie na progu... no i one przez to przeszły... To moja wina!

- Przeskoczyły przez pięćdziesiąt czarowniczych pułapek na raz? – wiadomość ta zrobiła na detektywie piorunujące wrażenie. – Cud, że całe New Warsaw City nie wyleciało w powietrze!

Minutę później w oknie pokoju zamajaczyła drabina, a wraz z nią ubielona twarz strażaka.

- Schody się zarwały! – krzyknął strażak. – Ewakuacja drabiną!

Pierwiosnek przełożył nogi przez parapet.

- Widzisz – mruknął Eskulap pchając w usta swoją ulubioną stopięćdziesiątkę. – Z magią nie ma żartów!

Po chwili, gdy przyjaciel był już w pół drogi, dodał do zdziwionego strażaka:

- Przepraszam, ma pan może ogień?

\* \* \* \* \*

\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*PAN BORSUK – pierwowzorem był czeski Krtek; SKRZYPCE – instrument strunowy piłowany; NICOLO PAGANINI – genialny włoski skrzypek i kompozytor, wielki znawca piłowania skrzypiec; ŻELKI – dziś też je można kupić, nie wiem tylko, co gorsze: papierosy, czy ten krochmal; MISTRZ PIERWSZY – właściciel i szef Agencji Czarowniczej „1001 Życzeń” – niestety,*

*tu wymagana jest znajomość pierwszych odcinków cyklu; AMULETKI – tzw. „małe klatwy”, typowe dla prymitywnej magii ziemi pułapki czarownicze, ale nie tylko; HEMOROIDY – żylaki odbytu; posiada je każdy czytelnik, który zbyt długo czyta „Opowieści ze świata czarowników”.*

**OSTRZEŻENIE:** „małe klatwy” istnieją naprawdę. Nierozsądne używanie grozi śmiercią lub czymś jeszcze gorszym!

## SEZON NA PIERWIOSNKA

### Rozdział X: Najdłuższa podróż

*Kim tak naprawdę jesteśmy i czy jako  
Dzieci Boże nie zostaliśmy okłamani.*

Zastanawiacie się, zapewne, co połączyło autora tych wszystkich opowiadań z czarownikami z dalekiej przyszłości. Czy tylko bardzo odległe więzy krwi pomiędzy nimi, czy też może jest jeszcze jakieś drugie dno. Niektórzy z was będą usatysfakcjonowani, bo oprócz drugiego dna, jest także i trzecie. Tyle tylko, że to dno nie zawiera ani krztyny optymistycznego humoru, do którego tak jesteście przywiązani. To dno obnaża obłudę świata, jaki nas otacza, ze wszystkimi jego aspektami. Wszystko, co znamy, jest złe: dom, droga, wojna, krew, świat, Bóg, szatan, nawet TY. To wszystko jest złe poprzez złe pojmowanie, a TY jesteś zły, bo nic nie robisz, tylko siedzisz i oglądasz coraz więcej telewizji, po to tylko, by zająć czymś tą część mózgu, której nie udało się jeszcze uśpić. Komu?

Ktoś mi kiedyś powiedział, że z nieznanych mu przyczyn dwa światy, świat duchów i świat rzeczywisty, krzyżują się i to właśnie dzięki mnie. Sam nie wiem, co o tym sobie pomyśleć, ale być może ten ktoś miał nawet stuprocentową rację. I to było kluczem do poznania.

Zaczęło się prozaicznie: podświadomość płatała mi różne figle; a to jakiś wewnętrzny nakaz zmusił mnie do rzeźbienia w drewnie, czego efektem było coś na kształt fujarki, tyle tylko, że bez dziurek, albo zrobiłem nikomu niepotrzebny naszyjnik z łańcucha stalowego i kilku zabytkowych monet, podzieliłem karty tarota w sobie tylko znany sposób... i wszystko to miało zapewne jakiś ukryty sens, tylko jaki? Nie byłem w stanie powiedzieć.

Zdarzyło mi się pokonywać samotne studnię jaskini Piętrowa Szczelina. Wychodziłem po bardzo owocnej sesji zdjęciowej, zadowolony z życia i ogólnych warunków pogodowych... Moich dwóch współtowarzyszy zostało z przyczyn gabarytowych na powierzchni bawiąc się moim sprzętem. Sprzętem, który powinienem mieć na dupie! Jak wam łatwo się domyśleć, nie wszystko poszło po mojej myśli podczas tej całej drogi powrotnej. Pół metra od celu mojej wspinaczki świat wywrócił mi się do góry nogami, latarka - czołówka zawisała na szyi, a ja beztrząsowo runąłem w drogę powrotną. Fala gorąca, jaka zalewa człowieka w tak nieoczekiwanej sytuacji jest gorsza, niż nurkowanie w ukropie, lecz chyba nie to jest najgorsze - najgorsza jest świadomość, że zaraz się zginie, że tyle jeszcze rzeczy jest do zrobienia, tyle kobiet do poderwania, tyle wina do wypicia... A tu nic. Finito. Mokra plama. I wtedy człowiek jest w stanie pogodzić się z własną śmiercią. To się nazywa początek końca. Wszystko, co ziemskie wydaje się być



takie malutkie, a każde uczucie jest nic nie ważne w porównaniu z euforią lepszego świata, z ogromem miłości, jaki człowiek odczuwa wchodząc do niego, kiedy świat ziemski wali mu się dosłownie na głowę...

Przeżyłem dzięki zwierzęcej zręczności. Po prostu po kilkunastu metrach lotu stwierdziłem, że to bez sensu już kończyć ten marny żywot nie osiągnąwszy kompletnie nic, przy czym nie mam tu na myśli upojnej nocy ze znaną top-modelką... Kosztowało mnie to zdarte kolana, łokcie i guza oraz randkę z flaszeczką jodyny. To była cena wyjściowa, lecz wtedy, kiedy miałem przekleństwa pod adresem wynalazcy antyseptyki, nie zdawałem sobie sprawy z tego, ile mnie jeszcze to będzie kosztować. Wkrótce otrzymałem rachunek.

Wtedy miałem zginać. Będąc na krawędzi, otworzyłem bramę do innego świata. Powróciłem do swojego, lecz nie zamknąłem drzwi i wiele niesamowitych rzeczy przeciekło ze świata duchów wprost do mojej głowy - oto nawiedzały mnie duchy przeróżne, w większości przypadków przybierające postać zbliżoną do mojej, w skrajnych przypadkach podające się za np. mojego anioła stróża. Niewiara i głęboki ateizm zaszczipiony mi za młodu przez siebie samego zaowocował dziurą w fotelu. W moim fotelu. Co gorsza, dziury tej za chińskiego boga nie mogłem wytłumaczyć w żaden logiczny sposób, ponieważ zrobiły ją dwa nie przepadające za sobą duchy przy okazji Miniarmageddonu. Cóż, na piorun kulisty też nie miałem, co zwałać.

I wtedy zacząłem sobie przypominać wydarzenia, w których brałem udział i pewnie bym się nie zdziwił, gdyby nie fakt, że te wspomnienia nie należą do mnie.

\* \* \*

Urodziłam się w Wiedniu około roku 1851. Nie było wtedy jeszcze pomnika spacerującego Franza Josepha, bo jako młody chłopak dopiero objął tron i dopiero co stłumił rebelię Rakoczego w Budzie. Nie było jeszcze Uranii – akademii wszechnauk, nie było, Ringstrasse, a Wallnerstrasse nosiła dumne imię St. Annastrasse. Dlaczego tak dobrze pamiętam Wiedeń? Nie każde miasto jest tak piękne nad ranem, jak właśnie Wiedeń. Łagodna, poranna mgła zawisa wtedy nad jednym z pasażów spacerowych nad Dunajem tylko po to, aby po godzinie majestatycznie opaść w dół i odsłonić łagodne brzegi rzeki oraz oddzielający je od pasażu parkan, będący arcydziełem sztuki kowalskiej. A dlaczego tak dobrze pamiętam poranek w Wiedniu? Tam zostałam zamordowana. Wracałam w swojej śmiesznej sukni naddunajskim pasażem... Ostatnie, co pamiętam, to kuty parkan. Dziś mogę błędzić po nieznanym mi mieście z zamkniętymi oczami. Tylko ulice mają już obce nazwy...

Różaniec Silnej Woli, jedno z najsilniejszych zabezpieczeń przed złymi

czarami, urokami i obcą ingerencją duchowa. Łatwo go wykonać - potrzeba 5, 7 lub 13 identycznych monet władcy, który ciemnił twoją ojczyznę. Mogą być zwykłe miedziaki i takie oto są preferowane przez mistyków, lecz najsilniejsze różańce wykonane są z monet niklowych, ale siła tych może z czasem obrócić się przeciwko tobie, więc poprzestań na miedziakach. Sięgaj tylko tam, gdzie wzrok sięga, wbrew temu, co pisał poeta. Monety połączone być powinny łańcuchem żelaznym o jednakowej ilości oczek, którą należy dobrać eksperymentalnie, w zależności od siły wewnętrznej danej jednostki.

Roku 1937 nie pamiętam zbyt dobrze. Po prostu był. Czułem, że wszystko zmierza ku wojnie, ale jako wzorowy Niemiec swoją karierę związałem z wojskiem. Stopień feldfebla to może nie był raczej szczyt moich marzeń, ale też nie było najgorzej. Koszary w Neustadt (*obecnie Prudnik*) nie były zbyt nowoczesne i praktycznie całe tonęły w błocie. Ot, kilka budynków z czerwonej cegły, plac apelowy przypominający uzdrowisko z kąpielami błotnymi, kantyna, sracz... Wszystko było w porządku, dopóki naziści nie przejęli władzy. Nigdy nie byłem nazistą i nigdy nie zgadzałem się z ich metodami. Dzięki temu i ja byłem narażony na szykany. Nagonka trwała i doprowadziła mnie do punktu bez wyjścia. W jednym z tych przytulnych, ceglanych budynków przystawiłem sobie pistolet do skroni. Do dziś czasami łapię się na tym, że sprawdzam, czy aby nie za dużą dziurę sobie zrobiłem w czaszce. A może próbuje rozmasować mocno uszkodzone miejsce? Nie ważne, bo i tak podświadomość nakazuje mi szukać dziury po kuli w miejscu, w którym jej nie ma. W roku trzydziestym siódmym w Neustadt pociągnąłem za spust. Był poranek.

Z drzewa poświęconego Białej Bogini wycinamy żywą gałąź, obieramy delikatnie z kory i drażymy przez całą długość wypalając jednocześnie wnętrze rozgrzanym żelazem. Środek wypełniamy watą, lub tkaniną i nasączamy własną krwią – w ten oto sposób ożywiamy naszą czarnoksięską różdżkę jako symbol spełnienia naszej woli. Różdżka oraz srebrny sygnet powinny zawsze być w zasięgu ręki w pomieszczeniu, w którym zwykliśmy nocować.

Nastał nowy, piękny dzionek wypełniony letnim słońcem. Taki piękny i taki niecodzienny, a jednocześnie taki szablonowy jak każdy inny letni dzień na początku lat sześćdziesiątych. Kombinowałem. Kombinowałem tylko po to, aby mieć flotę i rąk sobie nadmiernie nie urobić. Tylko że było coraz ciężiej, non-stop patrzyli na ręce, sprawdzali, inwigilowali. Miałem wreszcie ten cholerny towar. Cholernie trefny towar, jeszcze gorący, ale cholernie dobrze płatny. Właśnie minąłem budynek Urzędu Województwa kierując się w kierunku podziemnego przejścia na Mariacką, gdy zauważyłem, że mam ogon. Przyspieszyłem skręcając w bramę znanego mi podwórka jednej z setek kamienic w centrum Katowic. Wszedłem na podwórze, wiecznie brudne i odrapane. On wszedł za mną. Zacząłem biec w kierunku wyłomu w murze,

który kiedyś oddzielał podwórze przyległej kamienicy. Przebiegłem obok rozbitego autobusu zaparkowanego na wieki pomiędzy śmietnikiem, a susząca się bielizna, gdy usłyszałem głośne "STÓJ!". Kilkanaście metrów przede mną otwierała się czeluść bramy wyjazdowej, mojej bramy ku wolności. Zdążyłem przez nią wybiec na ulicę. Kierowca jadącej ulicą Warszawy nie zdążył...

Pewnej nocy miałem dziwny sen. Idę do domu kolegi ze szkolnej ławy, drzwi  
otwiera matka.

- Dzień dobry, czy jest Jarek?

- Ale przecież Jarek nie żyje...

"Co to ma znaczyć?" - pomyślałem. Za mną w ogrodzie zamajaczyły dwie postacie. To był Jarek we własnej osobie, drugą osobą był cały zakapturzony mnich w szarej szacie. I już wiedziałem, że matka kolegi mówiła prawdę. Uśmiechnąłem się do niego.

- Czy czegoś potrzebujesz? - zapytałem.

- Dzięki, nie. Opiekuje się mną teraz Mroczny Zakonnik.

Nazajutrz inny kumpel z klasy przyniósł złe wieści. Jarek został zamordowany.

Czy 65 lat życia to dużo, czy mało? Zważywszy na moją dotychczasową statystykę, to chyba raczej dużo. I tak nie mam, czego żałować, bo nie każdy pałęta się po tym parszywym świecie od 150 lat. Nie każdy świadomie, rzecz jasna. Dowód? Nie wprost: znam każde większe miasto od Wiednia, poprzez Budapeszt, Neustadt, aż do Katowic. W każdym z tych miast czułem się jak w swoim, pomimo, że byłem tam po raz pierwszy w życiu. Poruszałem się z zamkniętymi oczami, korzystałem ze skrótów znanych tylko miejscowym – zupełnie jak w Wiedniu na starówce, gdzie jeszcze nie tak dawno spacerowałam w swojej śmiesznej sukni, czy w Prudniku, gdzie stacjonowałem w koszarach, czy na Wojewódzkiej w Katowicach, gdzie zginąłem wybiegając z bramy... To wszystko pamiętam!

I co, myślicie, że na tym kończą się moje wspomnienia? No to fajne macie wyobrażenie o tym innym świecie! Wesole, jak pragnę zakwitnąć! A niby skąd mam pewność aż tak długiego (jak na mnie) życia? Pamiętam. Mam zakodowane. Widziałem mój własny grób, tabliczkę na nim. Trochę mi dziwne miejsce znaleźli na wieczny spoczynek mojego ciała, bo co to za cmentarz bez pięknych, rosnących, rzucających chłodny cień drzew? Ale niech tam! To i tak najbardziej udane moje życie. Zawsze zastanawiałem się, gdzie to mnie wywiozą pochować. Takiego cmentarza nigdzie nie było w mojej miejscowości. Nie było, dopóki nie zaadoptowano części Parku Kultury i Wypoczynku na drugą część cmentarza Lipowego. Kiedy byłem tam po raz pierwszy rok temu, możecie mi wierzyć, ale pomimo upalnego lata poczułem przenikający mnie chłód. Zacząłem się bać.

Ale niech tam! To i tak najbardziej udane moje życie.

Jeżeli ktoś spróbuje rozłożyć tarota zgodnie z jednym z podstawowych układów "na całe życie", zauważy, że z kart, które mu pozostaną w ręku można z powodzeniem ułożyć jeszcze trzy pełne egzystencje i jedną niepełną. Ciekawe, prawda?

Jeszcze ciekawsze były eksperymenty z próbami opuszczenia swojego ciała. Metodę sprzedał mi kolega, który te zagadnienie przestudiował od strony teoretycznej, przy czym jego wiedza nabyta i moja wrodzona pokrywały się w 90 procentach, a już prawdziwy szok wywołało u mnie szczegółowe wyjaśnienie metody wglądu w cudze uczucia. A ja biedny głupol, myślałem, że moja empatia jest darem jednym na miliard! Kiedy spełniłem już wszystkie wymogi i zapragnąłem się oderwać od mojego ciała, stało się coś, czego najmniej się spodziewałem. Udało się! Myśli stały się lekkie i klarowne, a euforia wyzwolenia wzięła górę nad strachem. Kiedy wyrząłem poprzez ścianę na ulicę, to tak jakbym całym sobą przeniknął przez szmacianą kurtynę rozrywając ją na strzępy, lecz bez najmniejszego oporu. Fantastyczne i urzekające uczucie. Zapragnąłem spojrzeć na miasto z lotu ptaka i wtedy usłyszałem dudniący głos, głos, który był we mnie i był ponad wszystkim: "Ostatnia cierpliwość, Mroczny!". Poczułem się, jakby ktoś mi przyłożył łomem w czaszkę, a co gorsza, znów leżałem na łóżku i znów byłem uwięziony w ziemskiej powłoce. I wtedy inny, kobiecy głos powiedział wesolutko – zapewne, aby mnie nie przestraszyć: "Nie chce cię martwić, ale on nie żartuje".

Jaka nastała przyszłość? Nie wiem. Na pewno nastała i na pewno była lepsza. I co? Kolejne rozczarowanie? Aż do roku 2036 nie było końca świata, a ja i tak zwlekałem z moim ostatnim, niepełnym życiem. Kiedy ono było? A może ma być? Może jest zaprogramowane we mnie?

Przyszłość nie jawi mi się wcale taka różowa. Pamiętam ciemność i ten cholerny kombinezon ciśnieniowy. Jeśli myślicie, że tu chodzi o jakiś zafajdany kosmos, to się grubo mylicie. Jest przecież bardzo dużo miejsc pracy, gdzie panują lekko odmienne warunki raczej niesprzyjające życiu organicznemu na ziemi, więc chyba nic dziwnego, że w wieku dwudziestu jeden lat nie będę jakimś tam studentem, tylko zwykłym robotem pracującym w takich właśnie warunkach. Szkoda też, że kombinezon mi się rozerwie. To naprawdę boli, jak ciśnienie stara ci się rozerwać płuca, więc może pominę te i kilka innych bolesnych szczegółów. Wiem, że ostatnia rzecz z mojej tułaczki po świecie, to twarz dziewczyny. Najpiękniejszej dziewczyny, jaką w życiu widziałem. I być może moje myśli były nie na miejscu, ale strasznie żałowałem, że umieram - bo nie miałem nawet szansy się z nią umówić. Ze łzami w oczach zakończyłem najdłuższą podróż.

Jak można odczuwać uczucia innych? Sam mechanizm poznawania barw uczuć

opisał mi dopiero rok temu zaprzyjaźniony miłośnik niesamowitości. Nazwał to "metodą helmu". Ja wolę tego nie nazywać jakakolwiek metodą, ponieważ to, co on wyczytał, to tylko słowa, słowa i niesprawdzona teoria, natomiast to, czego się nauczył, ja miałem jako talent wrodzony. Najczęściej zabawiałem się poznawaniem uczuć ludzi w stosunku, co do mojej skromnej osoby. To proste jak drut - no, przynajmniej dla mnie. Jak to się robi, tego raczej nie napiszę, ale powiem wam tylko, że to działa. Czy przed pierwszą poważną randką z daną osobą nie trapiły was wątpliwości, co też ta osoba sobie myśli o matole, z którym akurat się umówiła? Można to zaliczyć do pewnego rodzaju oszustwa, ale na własne potrzeby i usprawiedliwienie poczyną, wołałbym określenie "wspomaganie własnego szczęścia w miłości".

\* \* \*

Przyznaję się szczerze i bez bicia - to, co na początku mnie fascynowało i bawiło, z biegiem czasu stawało się coraz bardziej moim przekleństwem. Bo jak tu żyć wiedząc, kiedy się umrze, że będzie się żyło raz jeszcze, (lecz co to za życie!), że koniec świata nie nastąpi razem z końcem wieku... I wtedy wpadłem na szalony pomysł. Poprosić o pomoc kogoś z innego świata, kogoś blisko ze mną związanego, ale jednocześnie obcego. Mój anioł / diabeł stróż oraz wysłany z drugiego świata duch czasu skończyli jako bohaterowie podrzędnych opowiadań z cyklu "zaczarowali go i uciekł", zresztą po tym, co im zrobiłem (jajko, brytfanna, czary i coś, o czym już nie pamiętam) na pewno nie byli nastawieni na zupełnie bezinteresowną pomoc, a szczególnie pomoc udzieloną mojej skromnej osobce.

Była jedyną osobą, duchem czy po prostu KIMŚ, kto mógł mi pomóc. Była w stu procentach zmyślona przeze mnie, a jednocześnie należała do świata duchów. To ona mnie ostrzegła przed kimś, kto miał rację udzielając mi ostatecznej nagany za najszczerzą chęć zagłębienia się w nieznane. Nazywałem ją czarownicą, bo znała moje umiejętności i wiedziała o mnie dużo więcej, niż ktokolwiek inny.

Pojawiła się zupełnie nagle w moim pokoju, ubrana jak zwykle w czarne dżinsy i jedwabną koszulę, równie czarną jak jej włosy. Muszę przyznać, że czerwone hafty na koszuli, oznaczające kategorię czarownicy, wspaniale współgrały kolorystycznie z jej żółtymi oczami. W mrocznym świetle błyszczał pośród burzy wspaniałych włosów cieniutki, srebrny diadem.

- Hej - zagadnęła cichutkim szeptem przysiadając na moim wyrku.
- Wiedziałem, że przyjdiesz. Jesteś piękna jak zwykle.
- Każdej to powtarzasz...? - roześmiała się obnażając śnieżnobiałe zęby.

- Jasne - przytaknąłem starając się również błysnąć kompletem klawiaturki w szczęście, ale chyba mi nie wyszło. Dobrze, że nie zauważyła. - Mówię to każdej pięknej czarownicy, która akurat ma nieszczęście siedzieć na moim łóżku.

- Ty jak zwykle swoje. Dalej problemy?

- Nawet nie pytaj. Mam tego dość, a w najgorszym wypadku to po prostu zeświruję.

- Słuchaj, inni oddaliby krocie za to, co ty masz zupełnie przypadkiem. Korzystaj z tego daru.

- To zbyt dużo, jak na ziemski umysł. Ile można wytrzymać? Zapamiętaj, że jeszcze jestem w miarę żywym człowiekiem, co za tym idzie, każda odpowiedź na pytanie o tajemnice wszechświata rodzi trzy następne pytania... Wolałbym tego wszystkiego nie pamiętać. Zrób coś, proszę.

Dziewczyna zamyśliła się.

- No tak, jestem przecież czarownicą. Nie mogłeś wymyślić czegoś bardziej oryginalnego?

- To nie ma nic do rzeczy. Po prostu zrób to. Ty wiesz, ja już nawet śmierci się nie boję, ja po prostu na nią czekam. Zresztą, po co mi to wszystko? I kim ja, do cholery, tak naprawdę jestem?

- Przecież wiesz! Jesteś Opiekunem-Przewodnikiem, kimś więcej, niż zwykłym szaraczkiem. I jesteś kimś zupełnie odmiennym od zwykłych uzdrowicieli.

- A odczytywanie uczuć na odległość?

- To jeden z twoich darów. Posiadasz także moc widzenia, czy jak wolisz, przepowiadania przyszłości, lecz talent nieużywany powoli zanika, więc jest to bardzo słabe.

- A moja pamięć?

- Zawsze ją miałaś. Szok spowodowany otarciem się o nasz rzeczywisty świat spowodował odblokowanie całości wspomnień.

- To już nic nie rozumiem! Jaki rzeczywisty świat?!

- Nasz jedyny świat. Nie pamiętasz? Dostałeś wyrok: cztery i pół ziemskiej egzystencji. To przecież standardowa kara. Czyżby nie przyszło ci do głowy, że jesteś skazańcem, a ziemia piekłem? Zatkąło mnie i być może nie po raz pierwszy solidnie zbaraniałem. Tym razem bez efektów akustycznych.

- Ja mimo wszystko chcę to wyrzucić z mojej głowy... Póki żyję tu...

- Czy wiesz, że dopóki nie dojdiesz do końca drogi, nie spotkamy się już? Nie będę mogła cię już chronić, a nawet, gdy się spotkamy, nie poznasz mnie - pochyliła się nade mną i pocałowała czule.

Wiedziałem o tym. Na ulicy za oknem powoli zamierało życie. W całym swoim majestacie zbliżała się noc.

Gdy rano się obudziłem, nie było jej już. Ale wiedziałem, czułem, że będzie czekać. Tego samego dnia jechałem samochodem przez centrum. Od razu, gdy

skręciliśmy poczułem, że coś jest nie tak. Kątem oka zobaczyłem zbliżający się obiekt...

Dostaliśmy w bok. Nasz samochód dosłownie przełamał się na pół, a kierownica wyskoczyła ponad dach. Nie miało to i tak znaczenia, bo obiekt, który w nas uderzył miał ponad 200 km/h na liczniku. "Żegnaj" - usłyszałem tylko jej szept. W następnej chwili siła odrzutu cisnęła mnie na szybę, która nie stanowiła dla mojej głowy żadnej przeszkody. Straciłem przytomność.

Dopiero po powrocie za szpitala zauważyłem dość istotną zmianę. Wypalona przez duchy dziura w fotelu zniknęła. Nie było też żadnych duchów, głosów, magii. Nie było czytania w cudzych uczuciach, nie było wizji przyszłości. Otaczał mnie normalny świat, ale świadomość pozostała, więc postanowiłem zebrać wszystkie dane o tych moich niesamowitych przeżyciach, umiejętnościach oraz doświadczeniach i spisać ostatnią moją opowieść.

Wtedy też dotarło do mnie, co tak naprawdę ukrywają wszystkie religie świata. Reinkarnacja, piekło i niebo – to wszystko istnieje. Bóg także. Tylko nie tak, jak to sobie ludzie umyślili.

Wyobraź sobie, że prawdziwy świat istnieje ponad naszym. Tu jesteśmy tylko skazańcami, niewolnikami naszych niedoskonałych i wiecznie psujących się ciał. Doznajemy miłości – namiastki prawdziwego uczucia z prawdziwego świata, ale także biedy, nędzy, upokorzeń. Nic nie jest nam oszczędzone. Co następuje po życiu? Kolejne – w zależności ile egzystencji wynosi nasz wyrok.... Tak, tak! Jesteśmy więźniami, nasze wyroki liczy się w egzystencjach. To nasze ziemskie więzienie, które po zamknięciu kolejnej odbytej kary staje się dla nas albo rajem, albo piekłem... Albo, jak kto woli – piekła i nieba nie ma, bo to jest to samo, różni się tylko jakością. Czym jest Bóg? To tylko klawisz, który tego więzienia dogląda. Jeszcze tylko jedno wyznanie, które wyda ci się, drogi czytelniku, szokujące. Zapewne od samego początku czytania tego tekstu, zastanawiasz się, dlaczego ja te wszystkie moje egzystencje pamiętam, dlaczego potrafię „czarować”, wnikać w najskrytsze cudze żądze... Czy wydaje ci się, że do więzienia trafiają tylko takie szaraczki jak ty? Jestem Aniołem, Opiekunem – Przewodnikiem, który musiał coś nabroić i teraz odbębnia swoją pokutę w śmiertelnym ciele. Dlatego pamiętam wszystko i coś-niecoś potrafię. W swoim obecnym życiu kilka razy spotkałem różne, skazane duchy wyższego rzędu, ale nigdy mi równego. Może jestem jedyny? I czy to jest teraz ważne?

Jedno ci powiem tylko na koniec:, jeżeli ci się wydaje, że masz nieśmiertelną duszę, to wiedz, że cię oszukano. Każdy duch jest śmiertelny – oczywiście nie w ziemskim tego słowa znaczeniu – po prostu jest to najwyższy poziom śmierci. Niektóre religie nazywają ten stan śmiercią absolutną. Coś jeszcze o innym świecie? Każdy duch ma w nim swoje prawdziwe imię – ja swoje znam, a ty?...

\* \* \*

... a ty baw się dalej w te wszystkie księżniczki, krasnoludy, elfy i smoki. Udawaj sobie kogoś zmyślonego z innego świata siedząc po uszy w tanim RPG. Erzact jest twoim domem. Niech będzie błogosławiona twoja niewiedza. Niewiedza o naszym wspólnym więzieniu.

\* \* \* \* \*

\* \* \* \* \*

*Przypisy, czyli wyjaśnienie trudnych słów:*

*PIĘTROWA SZCZELINA* – jaskinia na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, 400 m długości, 37 głębokości. Czy wspominałem, że bawiłem się 10 lat w speleologa? – opisany wypadek jest autentyczny, zresztą kraksa samochodowa na końcu opowiadania też; *NEUSTADT* – niemiecka nazwa Prudnika; *BIAŁA BOGINI* – jedno z podstawowych bóstw w czarostwie; *RÓŻANIEC*, *RÓŻDŻKA*, *KARTY TAROTA* – wyposażenie podstawowe do czynienia prostych czarów; nie muszę dodawać, że mam komplet; *METODA HEŁMU* – jest autentyczna, zainteresowanych odsyłam do literatury fachowej.

**OSTRZEŻENIE:** próby z opuszczaniem ciała mogą się skończyć tragicznie.



## SPIS TREŚCI:

|                                                                                                                            |     |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| <b>Rozdział I: Sąd Ostateczny</b> .....                                                                                    | 5   |
| <i>O tym jak umarłem, lecz także o tym, że duchy wyższego<br/>rzędu też się mylą. Tylko, kto ponosi tego konsekwencje?</i> |     |
| <b>Rozdział II: Sens Istnienia</b> .....                                                                                   | 19  |
| <i>Czy aby na pewno śnimy i czy kiedy śnimy<br/>nie śni się nam tylko, że akurat śnimy?</i>                                |     |
| <b>Rozdział III: Mundial</b> .....                                                                                         | 39  |
| <i>O tym, że bycie Matołem – to brzmi dumie,<br/>a także o wielkiej miłości samców do futbolu</i>                          |     |
| <b>Rozdział IV: Prezent</b> .....                                                                                          | 49  |
| <i>O tym, że aby zostać stwórcą wszechrzeczy,<br/>nie trzeba być ponad wszystko. Wystarczy być żarłocznym.</i>             |     |
| <b>Rozdział V: Sprawa Wagi Państwowej</b> .....                                                                            | 59  |
| <i>O tym, że preferujemy rodzime szuje<br/>i niszczymy to, czego nie rozumiemy.</i>                                        |     |
| <b>Rozdział VI: Paradoks Wontorka</b> .....                                                                                | 67  |
| <i>O telekomunikacyjnym wandalizmie<br/>pro publico bono.</i>                                                              |     |
| <b>Rozdział VII: Stara Moneta</b> .....                                                                                    | 82  |
| <i>O królu przekętym, którego uratować<br/>mogła tylko solidarność międzypokoleniowa</i>                                   |     |
| <b>Rozdział VIII: Człowiek Śniegu</b> .....                                                                                | 92  |
| <i>O zakrętach historii, miłości do kotów<br/>i o murzyńskich korzeniach pewnego detektywa.</i>                            |     |
| <b>Rozdział IX: Kiosk z Kłátwami</b> .....                                                                                 | 102 |
| <i>Ostrzeżenie przed nieodpowiedzialnym<br/>używaniem nawet najprostszych czarów.</i>                                      |     |
| <b>Rozdział X: Najdłuższa Podróż</b> .....                                                                                 | 119 |
| <i>Kim tak naprawdę jesteśmy i czy jako<br/>Dzieci Boże nie zostaliśmy okłamani.</i>                                       |     |

Tomasz Marcin Dudziński  
„Opowieści ze Świata Czarowników: sezon na Pierwiosnka”

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński  
All rights reserved

Redaktor:  
Piotr Chruśliński

Korekta:  
Małgorzata Bartosik

Copyright © by Serwis Literacki  
[www.knowacz.pl](http://www.knowacz.pl)

Wydanie I  
ISBN 978-83-925506-8-6

**Świdnik**  
**2007**

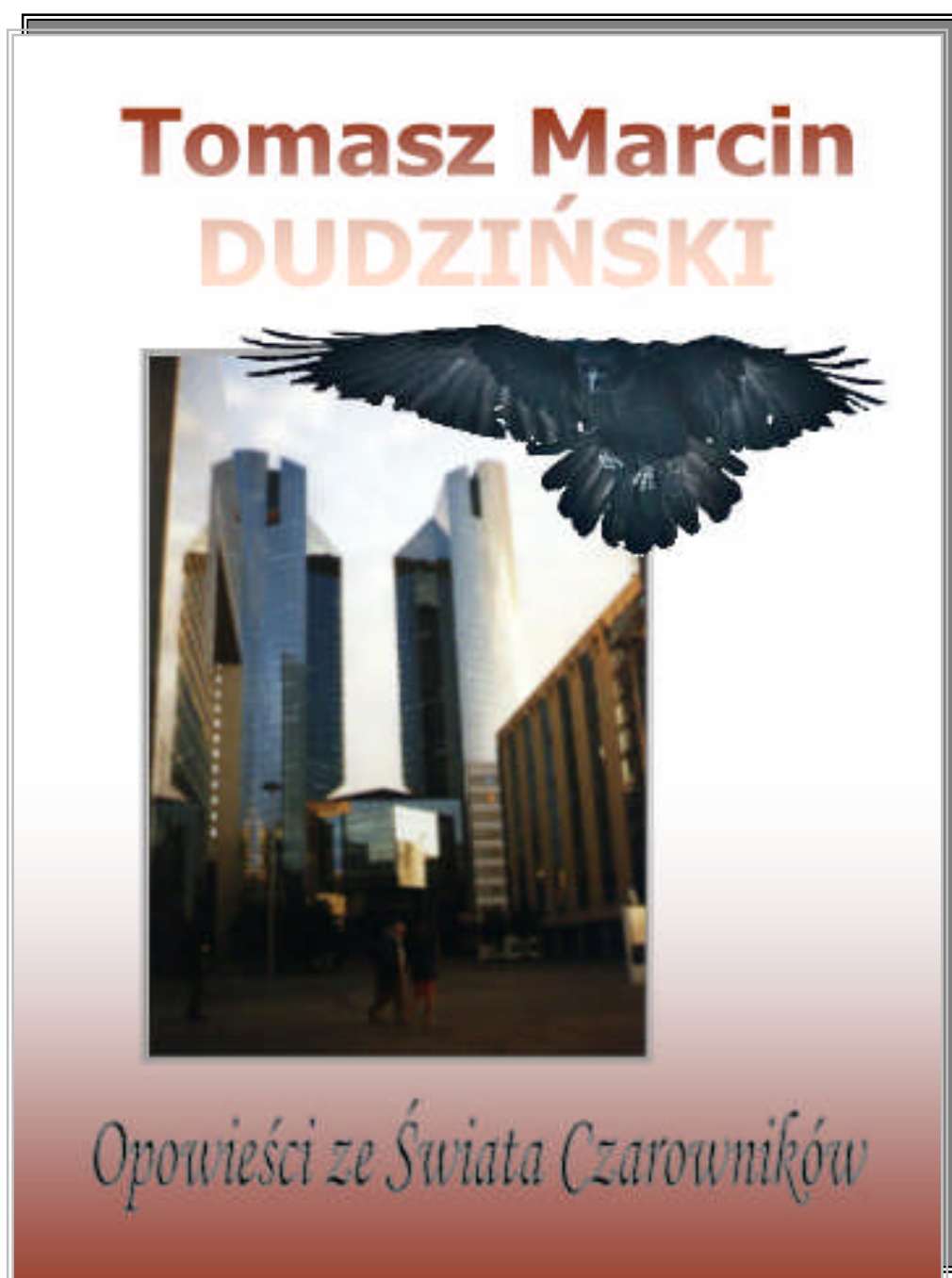
Projekt okładki:  
Tomasz Marcin Dudziński

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński  
All rights reserved



ISBN 978-83-925506-8-6

*dotychczas ukazały się:*





# Tomasz Marcin DUDZIŃSKI

Osobnik znany także jako Nyhariel; urodził się w roku 1971 w Gliwicach, gdzie mieszka do dziś. Jest absolwentem Politechniki Śląskiej i Akademii Ekonomicznej, co nie miało większego wpływu na jego przygodę z fantastyką. Pierwsze opowiadanie autorstwa Nyhariela powstało w 1986 roku i powstają one do dziś, na przekór wszystkim tym, którzy twierdzą, że są one nic nie warte.

„Opowieści ze Świata Czarowników” to cykl opowiadań z pogranicza fantastyki, fantasy i czarnego humoru, co w efekcie daje dość infantylne bajki dla dorosłych okraszone odrobiną pikanterii. Jest to druga pełnometrażowa publikacja autora. Dotychczas ukazał się pierwszy tom przygód Czarowników pod nic niemówiącym tytułem:

**„Opowieści ze świata czarowników”**

W przygotowaniu kolejny tomik opowiadań:

**„Opowieści ze świata czarowników: rozwiązanie gastronomiczne”**

oraz zbiór opowiadań już opublikowanych:

**„Czarami i ...”**

Drogi Czytelniku: wszelkie uwagi proszę kierować na adres: [nyhariel@interia.pl](mailto:nyhariel@interia.pl)  
Jeżeli wydrukowałeś sobie niniejszy zbiorek, napisz koniecznie!

## *notka o autorze*